

A woman with dark hair, wearing a white top, is looking down at three red apples. The apples are arranged in a row at the bottom of the image. The woman's face is partially visible, and she has a slight smile. The background is a plain, light color.

Julia Hoffmann

**DZIELNICA
CZERWONYCH
JABŁEK**

Replika

Oto Joanna – niezbyt szczupła, niezamężna szatynka. Rzadko wychodzi z domu, zamartwia się swoim wyglądem, mieszka tylko z kotem. Od dzieciństwa żyje w cieniu siostry, w piątkowe wieczory ogląda w łóżku filmy, a zamiast sprzątać – natłogowo czyta książki. Jak na typową szarą myszkę przystało, pracuje w biurze. Tu jakieś spotkanie, tu zaległy mail do Buby w sprawie żeberek, kurczaków lub uproszczonej instrukcji obsługi mężczyzn...

Nuda?

Tylko do czasu.

Oto na drodze Joanny staje Czapla. Nie zwykła, pospolita czapla, ale ON – ze swoim pięknym nosem, powalającym na kolana niskim głosem i cholera wie czym jeszcze.

Typowy bohater komedii romantycznej,
który ma wywrócić świat bohaterki
do góry nogami.

Czy tak się stanie?

ISBN 978-83-7674-093-5



9 788376 740935

Cena 25,90 zł

R wydawnictwo
replika

Julia Hoffmann

DZIELNICA
CZERWONYCH
JABŁEK



Replika

*Pierwsza miłość z wiatrem gna,
z niepokoju drży
Druga miłość życie zna
i z tej pierwszej drwi
A ta trzecia jak tchórz
w drzwiach przekręca klucz
I walizkę ma spakowaną już.*

Bułat Okudźawa
Trzy miłości

Prolog

Kiedy byłam mała, wszystkie domy miały czarne, dziurawe ściany. Szczerby prześwitywały nawet przez różowe gałęzie kwitnących w ogródkach jabłoni.

— To od pocisków, z czasu wojny — mówił tata i ciągnął mnie za rękę, żeby szybko dojść do sklepiku. Nie pomyślał, że mam krótsze nóżki i ledwo za nim nadążam.

W sklepiku na rogu tłusta pani ze złotym zębem nalewała mleko z blaszanej konwi do kanek i butelek przyniesionych przez klientów. Obok na ladzie leżał wielki prostokąt brązowej marmolady, a dalej siny blok smalcu. W drewnianych beczkach połyskiwały niebieskosrebrne śledzie i cuchnęła kwaszona kapusta. Na półce leżały podłużne złotawe chleby. Landrynki w szklanym słoju słodko mrugały do dzieci.

Był rok 1962.

Mężczyźni nosili prochowce i berety i palili papierosy na ulicy, patrząc spode łba na gmach partii. Kobiety toczyły wieczną walkę z brakiem waty i z oczkami lecącymi w pończochach, a co trzecią sobotę prały na tarze w blokowej pralni. Tramwaje jeździły z przenikliwym zgrzytem i hałasem, oblepione winogronami szarych pasażerów.

W pobliżu naszego domu przebiegała brukowana „kocimi łbami” droga na poligon. Wieczorem wszyst-

kie dzieci z podwórka pędziły zobaczyć kolumny żołnierzy maszerujących do koszar. Nieliczne jeszcze samochody nikomu nie utrudniały życia. Częściej przejeżdżały wozy konne, łomocząc i dźwięcząc podkowami po bruku. Załadowane węglem i ziemniakami, zawsze z ciemną postacią woźnicy z papierosem w zębach. Jesienią przesuwały się jak czarne japońskie wycinanki na tle drzew okrytych żółtymi liśćmi.

Latem podwórko spowijał zapach smołowanych dachów, zimą stał na nim bałwan z marchwiowym nosem i wyszczerbionym garnkiem na głowie.

Był rok 1962.

Całe miasto zasnuwał węglowy dym z pieców i kotłowni, spaliny z zabłoconych autobusów, dym tanich, cuchnących papierosów i zapach przepocornych, niedomytych ciał.

Czy to możliwe, że kiedyś było inaczej, tak jak mówił dziadek? I czy to możliwe, że kiedyś było lepiej — przecież to właśnie dziś landrynki są najlepsze na świecie!

Rozdział 1

Jestem z bloku, jestem dzieckiem miasta. Zaspiałam spokojnie, słysząc szum samochodów, zgrzyt nocnego autobusu i samolot podchodzący do lądowania. Uspokaja mnie woda spuszczana z wanny u sąsiadów i jazgot małego pieska spod trójki na parterze. Jest wieczór, wszyscy są w domu.

Moja ulica. Ulica Pakulska.

Trochę na uboczu, ukryta wśród drzew. Kilka bloków z lat pięćdziesiątych, przysadziste wille i rząd kolejarskich, przedwojennych domków oplecionych bluszczem. We wrześniowej porannej mgle drzewa cicho stoją nad krawężnikami. Dozorca jeszcze tutaj nie sprzątał, dopiero nadciąga ze swym drucianym wózkiem i miotłą, więc żółte liście szeleszczą jeszcze na chodniku. Już za chwilę przejdą tędy grupki spieszących się do pobliskiej szkoły uczniów, i po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich czterdziestu lat młodzi geodeci będą tu biegać ćwiczenie z kolorowymi tyczkami, ponownie wymierzając ulicę wzdłuż i wszerz.

To właśnie tutaj śledzą cię czujne spojrzenia koślawych kundelków. Mieszkają tu od lat i wszystkich znają. Mogą przechodzić przez jezdnię niezgodnie z przepisami, nikt ich nie potrafi. Są u siebie. Czarne, miodowożółte z czarnymi nosami lub sinobiałe w brudne pręgi, z falującymi na wietrze uszami nietoperza i kusym, krzywym ogonem lub z cał-

kowitym jego brakiem. Czasami wychynie spośród willi leniwy dalmatyńczyk lub rozbrykany spaniel, przejdzie elegancko stary wilczur lub futrzasty owczarek collie, a coraz częściej sunie milczącym truchtem jadowity bullterier spod blokowiska.

Pokaż mi swojego psa, powiem ci, kim jesteś — myślałam sobie, niosąc siatkę z zakupami i leniwie popatrując na boki. Najlepsza jest sobota, nic odkrywczego. Człowiek sobie idzie, ale bez pośpiechu, człowiek jest wyspany, a bez wyrzutów sumienia. Kiedy już w końcu się wstanie około dwunastej, prześlodziwszy najpierw niespieszne skoki słonecznych plam na ścianie, to pije się kawę i nie myśli o niczym, o niczym konkretnym.

Przez okno widać blokowe podwórko, na nim wysokie drzewa zaglądające do mieszkań, śmietnik z jasnych cegieł i ogródek założony przez mieszkańców. W ogródku leży kilka czerwonych sztucznych jabłek wielkości pralki automatycznej, a jedno z nich naturalistycznie zwisa z gałęzi klonu. Wieczorami lub w sobotnie przedpołudnie lokatorzy zasiadają na białej ławce przy śmietniku, piją kawę, palą papierosy, rzucają okiem na dzieci w piaskownicy i zastanawiają się, kto ukradł najnowsze nasadzenia i czy warto wkładać takie serce w ogród, skoro hołota i tak wszystko zniszczy.

— Jak gnoja złapię, to mu giry z dupy powyrzynam! — zapowiada krępy blondyn, o którym powszechnie wiadomo, że lubi przejażdżki cudzymi samochodami. Ale nie tutaj, tylko w innych dzielnicach. Tutaj czujnie popatruje na wątłego rudego chłopczyka kopiącego w piasku. I już wszyscy mają nadzieję, że jabłkom ani nowym iglakom nic nie zagraża. Wiadomość trafi tam, gdzie powinna.

Dobrze się tu mieszka, sami swoi. Należę do wyposażenia tego podwórka, tak jak trzepak, śmietnik i trawa. Nic mi nie grozi. Miejscowych bandytów i pijaków znam od dziecka, chodziliśmy do tej samej szkoły. Widzę teraz ich żony i dzieci, wiem, kto wyszedł z więzienia, a kto się zapił. Pełno tu także normalnych ludzi, takich, o których nie piszą gazety, zwykłych lokatorów mrowiska, którzy z czasem zostają świętymi.

Przez wiele lat pytali:

— Dlaczego ta Joanna nie wyszła za męża?

Ale już nie pytają.

Mam czterdzieści trzy lata. To już za późno. Oni to wiedzą i ja to wiem. W końcu nie jestem Beatą, to widać. Moją piękną siostrą Beatą. Oczy zielone jak morska woda, kasztanowe włosy i figura, za którą oglądają się wszyscy mężczyźni na ulicy — taka jest moja siostra.

W czasach naszego dzieciństwa wszyscy wykrzykiwali: „Ach, jakie śliczne dziecko!” — to na widok małej Beatki. „Ach, jaka jesteś bledziutka!” — to do mnie. Niektórzy dodawali: „Nie obgryzaj paznokci, to nieładnie!”

Lata płynęły, liście zmieniały kolory, a my sukienki. W czasach licealnych mój wygląd doprowadzał mnie do łez. Wielbiciel Beatki przepływali przez nasz dom wezbraną falą, zostawiając kwiaty, gubiąc płyty modnych zespołów i bilety na koncerty rockowe. Moja siostra śmiała się perliście albo gardłowo, w zależności od nastroju, potrząsała kasztanowymi lokami i błyskała lakierowanymi paznokciami.

— Ja mogłabym się ubrać nawet w worek od ziemniaków i przepasać sznurkiem, a oni i tak biegliby za mną! — mawiała, i miała rację.

Natura dała jej ten wdzięk i blask, jakiego nie można kupić, trzeba się z nim urodzić. Zapomniała jednak zupełnie o mnie, dla mnie nie zostało już prawie nic. Zabrakło koloru do włosów, byłam wypłowiałą, myszowatą szatynką. Nie starczyło mocnych, białych zębów i wyrazistego wcięcia w talii. Byłam egzemplarzem nedorobionym, nie podobałam się światu ani samej sobie. Niestety, nie wiedziałam, dokąd wysłać reklamacje.

Kiedy wykwitły na mojej twarzy pryszczki okresu dojrzewania, przestałam wychodzić z domu. Poza koniecznym pójściem do szkoły, gdzie chowałam się po kątach, robiłam wszystko, aby nie wyjść na ulicę przed zapadnięciem zmroku.

— Kochanie, a może poszłabyś gdzieś z koleżankami na zabawę? — pytała raz po raz mama, zaniepokojona moim ciągłym czytaniem coraz grubszych książek.

— Nie, nie chcę — mówiłam, myśląc gorzko, że takie brzydactwo jak ja nie może przecież chodzić wśród ludzi, bo uciekną w przerażeniu, i czy mama tego nie widzi?

Nasza mama, wychowana purytańsko przez przedwojenną gospozię dewotkę i zdziwaczałego ojca, nigdy nie stroiła się i nie malowała i nam też tego zabraniała. Była jednak niezwykle piękną kobietą o bujnej urodzie brunetki, toteż makijaż lub jego brak był dla niej zupełnie nieistotny. Zawsze wyglądała rewelacyjnie, i przekazała to w genach mojej siostrze.

Niestety, ja dziedziczyłam po tacie. I jakkolwiek był on człowiekiem wielkich zalet, jego typ urody nie wypadał dobrze w żeńskim wydaniu.

Najczęściej nieładne dziewczyny dodają sobie uroku strojami, makijażem i zalotnym sposobem bycia.

W naszym domu były to pojęcia nieznane albo przynajmniej otoczone wielką podejrzliwością i niechęcią. Biedna moja mama zakazywała mi nawet ułożenia sobie modnej grzywki lub skręcenia loczków koło uszu, zgodnie ze stylem lat 70.

— Nie rób takich głupot, ośmieszasz się! — fukała, krzywiąc się. Ulegałam jej, a moje szare odbicie w lustrze gasło coraz bardziej.

Taka mądra, taka głupia dziewczynka. Byłam dobrą uczennicą i posłuszną córką. I nic więcej. Na świat patrzyłam jak na cudzą grę, której reguły znają tylko wtajemniczeni.

Latem czasami wywożono mnie i siostrę na wieś, do rodziny. Na inne wakacje często brakowało pieniędzy.

Wujostwo pracowali w pegeerze i całkiem nieźle im się wiodło. Włoczyłyśmy się po oborach, buszowałyśmy po starym przypałacowym parku, uczyłyśmy się jeździć konno, a wieczorami dostawałyśmy do spróbowania bigos i pieczeń z dzika, jeszcze zanim goście przyszli na zakrapianą kolację. Później słychać było w naszym pokoju tubalny głos proboszcza i przaśne dowcipy podchmielonego zootechnika.

Ciocia Mirka, tęga, czerwona na twarzy i lubiąca dobre jedzenie, nie stroniła od wnikliwych uwag o naturze świata. Refleksyjny nastrój najczęściej dopadał ją w kuchni.

— Białe zęby, wąska talia, duże piersi to warunek powodzenia w życiu kobiety — powiedziała pewnego lata, podpierając się pod boki. — Jeśli jeszcze do tego ma pogodny charakter, wyjdzie za mąż i będzie żyć długo i szczęśliwie! — Tu obrzuciła nas uważ-

nym spojrzeniem. — Dobra przyszłość przed tobą, Beatko — orzekła i zakrzyknęła nagle: — Ach, mój Boże, przecież muszę wstawić ziemniaki!

I w ten sposób nie dowiedziałam się niestety, kiedy wyjdę za mąż. Wiedziałam jednak, że nie mam wąskiej talii, białych zębów i pogodnego usposobienia.

Ciocia również już dawno straciła smukłą linię, lecz nadal rozsadzało ją przekonanie o własnej atrakcyjności. Nigdy też nie ustawała w wysiłkach, aby wiarę tę zaszczerpić otoczeniu. Pośród rodzinnych szeptów wyłowiłyśmy kiedyś historię o strip-tizie, jaki wykonała na stole w dniu imienin miejscowego weterynarza. Rzecz zasługiwała na uwagę, gdyż nie było w tych czasach kanałów erotycznych w telewizji, a ciocia nosiła stanik rozmiar F.

Gdy zbliżał się czas matury, w czasie rodzinnych spotkań ciocia zaczęła witać mnie szczerym, wesołym okrzykiem:

— O, Joasiu, ale się robisz dupiasta!

Podczas studiów marszczyła się życzliwie:

— Mój Boże, ależ ty schudłaś, sama skóra i kości, wyglądasz jak upiór!

W dniu mojego absolutorium wyszeptwała z troską:

— Dziecko, coś musisz ze sobą zrobić, wiesz, nos można zmienić, mam znajomego chirurga plastycznego w Polanicy, przyślę ci adres, powołaj się na mnie!

Coraz częściej wydawało mi się, że nie przepadam za życiem rodzinnym.

Na szczęście co roku przychodziła wiosna ze swym jasnozielonym zapachem i beztruskimi śpiewami podwórkowych ptaków. I co roku miało się nadzieję, że teraz to już na pewno będzie inaczej.

Rozdział 2

W pewien upalny, lipcowy dzień wszyscy schronili się w chłodnej kuchni. Dom rodziców był duży i przestronny, ogród pełen cienistych drzew, ale jakoś tak się składało, że w niedzielne przedpołudnie zawsze gromadziliśmy się w krzepiącej bliskości garnków z obiadem i dymiącego parą czajnika.

— A ten wasz kot to już był kiedyś mądrzejszy — powiedział wujek, dzwoniąc przeraźliwie łyżeczką w szklance z herbatą. Siedział drobny i zasuszony, z dawnego urzędniczego nawyku bojaźliwie przygarbiony nad brzegiem stołu. Jego cienki długi nos zwrócony był niechętnie w kierunku czarnej koci-cy, która siedząc na parapecie, z gracją czyściła sobie futerko. — Teraz to już w ogóle nie słucho, co do niego mówię!

Wujek był bardzo poirytowany. Otóż przedwczoraj narzeczona Tina w napadzie złości pocięła nożyczkami jego purpurowe, zabytkowe zasłony. Fala-wały teraz smętnie jak rząd zapomnianych flag. Rodzina przypuszczała, że powodem była zazdrość.

— Ale jak można być zazdrosną o takiego chrabąszczyka? — dziwiła się po cichu Natalia, córka Beaty.

— Miłość nie jest zarezerwowana wyłącznie dla pięknych i młodych. Chrabąszczyka też ktoś kocha — powiedziała moja mama. — Czasem nawet taka wielka biała foka.

Tina była bujną kobietą. Podczas wielu lat kariery solistki operowej jej białe, pulchne ciało stopniowo się rozrastało, zwłaszcza z przodu. Obecnie przybrało spore, aczkolwiek nadal apetyczne rozmiary, jak wielka porcja bitej śmietany, jedynie główka na jego szczycie pozostawała ciągle drobna, otoczona krótką ciemną fryzurą. W twarzy uwagę zwracały usta, zawsze pomalowane na różowo, i grube czarne kreski wokół oczu w stylu Madame Butterfly. Niżej falował obszerny, miękki i pachnący perfumami biust i miało się wrażenie, że w razie niebezpieczeństwa wujek tam właśnie wskakuje, szukając schronienia.

Był to jednak przede wszystkim biust śpiewaczki. I tak jak mleko nieustannie wzbiera w piersiach karmiących matek, tak piersi Tiny rozsadały arie.

Raz po raz wyrywała się z nich nagle radosna fraza z „Barona cygańskiego” czy „Wesołej wdówki” lub dramatyczna, z „Otella”. Najtrudniej było, gdy zdarzało się to na przykład w sklepie mięsnym. Wujek rozdarty był wtedy pomiędzy miłością do Tiny i opery a poznańskim przywiązaniem do spokoju i porządku. Uśmiechał się nieśmiało i rozpaczliwie do ekspedientki i ludzi w kolejce, szybko porywał pasztetówkę i delikatnie wypychał zajętą śpiewem Tinę ze sklepu. Udawali się do domu, aby przy muzyce z płyty winylowej spożywać smakowite kanapki z zakupioną tak zgrabnie wędliną.

— *Więc pijmy, więc pijmy za zdrowie miłoości!*
— śpiewała pełnym głosem siedząca w fotelu Tina, w jednej ręce trzymając nadgryzioną kanapkę, drugą wznosząc zalotnie w kierunku łuszczącego się sufitu. — Tadzinku, dlaczego ty jesteś tak mało romantyczny. Przecież wszyscy lubią posłuchać mu-

zyki. Ciągłe w tobie siedzi ten poznaniak.

— Trochę przesadzasz, Tinusiu. Nie można tak nagle śpiewać u rzeźnika. Ale śpiewasz pięknie, jak zawsze! Chcesz herbatki?

— Tak, z cytryną. I może zostało jeszcze od wczoraj trochę śledzi w oliwie, mam wielką ochotę. No bo tatara nie zdążyliśmy przecież dzisiaj kupić, przez ten twój pośpiech.

Skąd bierze się sztuka, na jakim gruncie rodzi się talent? U Tyny wyrastał on, jak przypuszczano w rodzinie, głównie z kiełbasy. Kuchnia wegetariańska nie była skrojona na jej miarę. Smażone mięsa, krwiste kiszki i tłuste śledzie przechodziły w jej ciele tajemniczą przemianę i przeobrażały się w silny, dźwięczny i przejmujący głos.

Moja matka wyglądała przy niej jak świerszczyk. Zwłaszcza teraz, kiedy chudła i bladła z miesiąca na miesiąc. I z coraz większym trudem wspinała się na piętro po szerokich drewnianych schodach.

Sierpień nadszedł, nie zwracając niczyjej uwagi, tak jakby tylko lipiec trochę się zestarzał. Chmury zaczynały płynąć nieco poszarzałe, a zachód słońca rzucał ciemne, czerwone błyski.

Wieczór był chłodny i cichy. Za oknami szumiały dalekie pociągi i ostatni wieczorny autobus. Siedząc w kuchni, nasłuchiwałam, czy rodzice spokojnie śpią. Ojciec zasnął przed godziną, odurzony środkami przeciwbólowymi i przeciwreumatycznymi, a mamie podałam przed chwilą ostatnią na dzisiaj dawkę morfiny, po której powinna spać do szóstej rano.

Czułam się jak ich matka i ostatnia deska ratunku. Byli coraz mniejsi i coraz bardziej bezradni. Coraz większym kłopotem stawało się dla nich zrozumienie i zapamiętanie wskazówek lekarza i pielęgniarki.

Teraz, czterdzieści trzy lata po moich narodzinach, to ja myłam, ubierałam i przewijałam mamę. Wszystko się odwróciło, czas zatoczył koło.

Kiedy czasami opiekowałam się córeczką Beaty, a od ciągłego pochylania się pękał mi kręgosłup, wiedziałam, że to ma sens. Zdrowe małe ciało i bezzębny uśmiech Natalii roztopiały mi serce. Myślałam wtedy, że opieka nad niedołącznymi starszuchami musi być koszmarem. Dopiero teraz zrozumiałam, że nie ma tu specjalnej różnicy.

W oczach mojej mamy widziałam teraz przestraszoną małą dziewczynkę, która nie może sobie poradzić z ubraniem piżamki i nie rozumie najprostszych słów, nie potrafi pogryźć skórki od chleba i rozlewa herbatę. Dziewczynkę, która nagle znalazła się w wychudzonym, niewygodnym, schorowanym ciele starej kobiety i absolutnie nie może pojąć, dlaczego ją to spotkało. Dlaczego umiera na raka.

— Zobacz, to jest deser jabłkowy. Otwórz buzię — mówię, podnosząc znad słoika łyżeczkę.

Mama posłusznie otwiera usta, wkładam łyżeczkę.

— Teraz zamknij buzię. I połknij — mówię do mamy.

Patrzy na mnie ufnie i stara się zrozumieć, o co chodzi.

— Połknij, mamo, połknij to, co masz w buzi.

Oczy jej się zamykają, jeszcze nie przełknęła. Lekko przesuwam palcem po jej brodzie i ustach, ciągle mówiąc:

— Połknij, połknij.

W końcu przełyka, i widać, że jest tym bardzo zmęczona. Po dwóch następnych łyżeczkach jest wyczerpana i zaczyna zasypiać przy stole. Muszę ją jak najszybciej doprowadzić do łóżka. To już będzie po-
obiednia drzemka.

— Czy są łóżka dla obłożnie chorych, z podnoszo-
nym podglówkiem i barierkami bocznymi? — spy-
tałam.

W sklepie ze sprzętem medycznym i rehabili-
tacyjnym pełno było przedmiotów, o których ist-
nieniu nie miałam dotąd pojęcia. Chodziki, laski
o trzech nogach, krzesółka do kąpieli, krzesół-
ka do siusiania, ekologiczne materace, łóżka do
masażu, aparaty do ćwiczeń, to wszystko tłoczy-
ło się w małym, ciasnym pomieszczeniu. Przy la-
dzie stał klient oglądający podkłady dla chorych
leżących.

— Są łóżka, ale na zamówienie, tysiąc sześć-
set złotych. Jeśli pani złoży zamówienie, za trzy ty-
godnie będzie do odbioru — odpowiedziała ekspe-
dientka o miłym głosie.

— Za trzy tygodnie?! Ja potrzebuję na jutro! —
przeraziłam się.

— Oj, to niemożliwe. Musiałyby pani spróbować
w wypożyczalni.

— Obeszłam już wszystkie wypożyczalnie, nig-
dzie nie ma łóżek, wszystkie zajęte. Skierowali
mnie tutaj!

— Nic więcej nie mogę pani poradzić — zmar-
twiła się sprzedawczyni. — Takie są terminy u wy-
konawcy.

Klient oglądający podkłady odwrócił się w moją stronę.

— Niech pani spróbuje na Botanicznej, ja stamtąd wypożyczyłem — powiedział. Ujrzałam poszarzałą, niewyspaną twarz i przekrwione oczy, patrzące na mnie ze zrozumieniem.

— Ale ja właśnie wracam z Botanicznej! Odbierałam tam pieluchomajtki.

— Nie, to nie ten numer. Na Botanicznej, ale bliżej centrum, jest wypożyczalnia sprzętu, niech pani tam sprawdzi

— Dziękuję!

Wybiegłam ze sklepu, po drodze szukając kluczyków w torebce.

— Od głównej ulicy w lewo, i dalej niech pani spyta. I najlepiej jechać od razu, bo wcześniej zamykają — usłyszałam za plecami. Mężczyzna z poszarzałą twarzą, wysoki i ciemnowłosy, patrzył na mnie jak zatroskana czapla.

— Naprawdę dziękuję. Jestem przerażona tym wszystkim — wypaliłam nagle, czując jego ciepłe spojrzenie.

— To tylko na początku. Przyzwyczai się pani.

Uśmiechnął się, niepewnie skinął głową i wrócił do sklepu.

I właśnie wtedy poczułam się zupełnie, do szpiku kości, sama.

Przyszedł mail od Buby.

Kochana Joasiu, oczywiście wczoraj nie zdążyłam dokończyć, bo Bolek wściekły postawił mi przed oczami kartkę z wielkim napisem „CHCEM PIEROGI!!!!” i musiałam odłożyć słuchawkę. Więc teraz Ci piszę.

Pamiętaj, mężczyźni mają budowę uproszczoną. Punktem centralnym jest penis, od którego rurko-kabelki prowadzą do serca, żołądka i mózgu. To ostatnie połączenie jest najmniej dopracowane, gdyż kabelek często się zatyka i zawiesza, w związku z czym ciało męskie posiada dwa odrębne, autonomiczne ośrodki decyzyjne, walczące ze sobą o władzę. Najczęściej mózg wychodzi z tych zmagani pokonany, z reguły poprzez odbieranie zniekształconego obrazu rzeczywistości. Zaburzenia przekazu sprawiają, że bazyliszek z setką zębów w paszczy postrzegany jest przez mózg męski jako niezwykle kompetentny specjalista od marketingu i zarządzania płci żeńskiej, pod warunkiem, że bazyliszek systematycznie zapomina włożyć biustonosz przed wyjściem do pracy i często oblizuje paszczę.

Do penisa wraz z okablowaniem przyłączone są nogi, służące do gonienia kobiet, oraz ręce przeznaczone do ich przytrzymywania i odpędzania konkurencji. Organizmy męskie biegną zawsze za kobietami o wąskiej talii i wysilają się tak długo, aż talia straci wiotkość i zacznie się wybrzuszać. Wtedy łowca zaczyna poszukiwać nowej wąskiej talii, i czyni to na ogół nieprzerwanie przez jakieś 60 do 80 lat, chyba że wcześniej wystąpią problemy ze wzrokiem. Ale nawet w takich przypadkach wyczuwa atrakcyjne obiekty żeńskie. Prawdopodobnie posiadają oni coś w rodzaju sensora (wąchadełka-peryskopu na czubku penisa) nieznanego jeszcze nauce, który jest w stanie penetrować otoczenie nawet poprzez gruby mur betonowy.

Tak to generalnie wygląda, oczywiście są możliwe różne warianty, na przykład przewaga pierwiastków gastronomicznych nad aparatem seksualnym albo też całkowite wstrzymanie funkcji seksualnych w wyniku prowadzonych poszukiwań naukowych lub odwrotnie itp.

Ale to mi przypomina Ziutę, przyjaciółkę mojej mamy, której mąż umarł, gdy miała 65 lat. Kilka lat później przychodzę ja do niej na kawę, palimy sobie papierosy, a ona nagle mówi:

- Chodź, pokażę ci mój nowy obraz.

Zawsze obracała się w kręgach artystycznych, pełno miała malowideł, dosłownie całe ściany zapchane, ciekawa byłam, co sobie tym razem kupiła. Ale widzę, że ona mnie prowadzi do sypialni. Otwiera drzwi i mówi:

- Zobacz, jak ci się podoba?

Zbaraniałam. Na ścianie naprzeciw łóżka wisiał sporych rozmiarów obraz olejny, przedstawiający na czarnym tle wielki, dokładnie wymalowany penis w stanie gotowości, łącznie z lśniącymi w mroku jądrami... Artysta naturalistycznie przedstawił wszystkie subtelności kolorystyczne, wszystkie detale, z naprężonymi żyłami i blaskiem gładkiej główki włącznie. Miałam wrażenie, że ten napięty i prawie drgający organ za chwilę wyrwie się z ram i zacznie skakać po meblach.

- Świetny, prawda? - spytała z dumą Ziuta.

- Ja, jako wdowa, lubię sobie popatrzeć przed snem na coś ładnego.

I zaparzyłyśmy sobie herbatki, a Ziuta (*potem Ci opowiem*)

Muszę kończyć, bo Bolek pyta, czy aby nie zapomniałam, że dzisiaj jest dzień parzysty i nie wolno używać kminku. Jeśli się rozwiedziemy, to przez kminek. Bolek go nie cierpi, a ja nie lubię ciągle majeranku, tak jak on. Ale jutro jest siedemnasty, więc sobie to odbiję (wiesz, kapusta zasmażana z kminkiem, mniam mniam!)

Całuję Cię

Twoja Buba

PS: Kiedy w końcu przyjedziesz? oczywiście najlepiej w nieparzysty dzień, pa!

Rozdział 3

A swoją drogą ciekawe, pomyślałam, czy taki Czapła też ma budowę uproszczoną?

Bolek i Buba byli moimi przyjaciółmi od lat studenckich. Ona, filigranowa studentka polonistyki, i on, solidny inżynier budownictwa lądowego, tworzyli parę barwną i pełną uroku. W trakcie wielu lat małżeństwa oboje upodobnili się do siebie, przeistaczając się w dwie kragłe, obdarzone wielkim apetytem osoby, toteż w ich towarzystwie czułam się zawsze jak w pobliżu ciepłego, kaflowego pieca rozpalonego w środku mroźnej zimy. Ich ślub był jednak dla mnie jednym z tych wydarzeń, podczas których zastanawiałam się, czy już nigdy nic mi się nie uda?

Dwie godziny przed uroczystością odłamała mi się połowa zęba. Prawej górnej dwójki. Były lata osiemdziesiąte i żadnej możliwości ekspresowego ratunku. Ząb wyprodukowany naprędce z gumy do żucia odklejał się przy najmniejszym ruchu ust. Zdecydowałam jednak, że na ślubie najbliższej przyjaciółki być muszę i trudno, idę, najwyżej nie będę nic mówić, tylko miło się uśmiechać. Tak też zrobiłam.

Ślub to pestka, tylko patrzysz i się wzruszasz, doszło jednak do składania życzeń. Podchodzę do Buby przybranej luksusowo w zakupioną w Pewek-sie sukienkę i mówię:

— Kechene Bube, wiesz, że życzy czy wszystkiego najlepszego, ale dzisiaj nie mogę mówić — i ucałowałam ją rozpaczliwie. Załzawione ze wzruszenia oczy Buby zrobiły się okrągłe.

— Joasiu, co się stało?!

— Nicz, kompletnie nicz, te tylko zumb — i na sekundę pokazałam jej kikut mojej dawnej dwójki. Ujrzałam na jej twarzy dziwny skurcz i błysk w mokrych oczach, i gdyby nie okoliczności, jestem pewna, że wybuchłaby dzikim chichotem.

Potem dopiero zaczęło się najgorsze, czyli tak długo wyczekiwane wesele, na którym miał pojawić się kuzyn Bolka. A co więcej — chciano mnie z nim swatać. Widziałam go na zdjęciu i bardzo podobało mi się jego spojrzenie spod ciemnych brwi i coś drażniącego w rysunku nosa.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie. Uśmiechałam się pracowicie i życzliwie do wszystkich gości odpowiadając na pytania i zagadywania sympatycznym „mhm”. Kuzyn promieniał, poprawiał krawat i tryskał dowcipami. Jego rasowy nos i ciemna karnacja świetnie prezentowały się w blasku świec stojących pośród półmisków.

Kiedy zagrała orkiestra, poprawiłam sukienkę, aby nie zaplątać się przy wstawaniu. Niechcący rzucałam okiem w prawo i zamarłam ze zgrozy. Dopiero teraz zauważyłam, że obok mnie siedzi promienna, złotowłosa Barbi, która cały czas wybuchwała kaskadami radosnego śmiechu w odpowiedzi na żarty kuzyna. Teraz też uśmiechała się miło, ukazując pełny garnitur niezwykle licznych, dużych i zdrowych zębów. Jej długie, czarne rzęsy przesłaniające niebieskozielone oczy śledziły drogę kuzyna podnoszącego się od stołu, ciągnąc go do siebie jak na smyczy.

Uklonił się, podał jej rękę i poszli na parkiet. Objęli się jak ludzie, którzy po czterdziestu dniach wędrówki w końcu odnaleźli studnię na pustyni, i tak już zostali do końca wesela, z małymi przerwami na jedzenie i picie.

Siedziałam przy stole, łykając łyzy i dłubiąc widelcem w sałatce śledziowej. Rozglądałam się po sali i myślałam, jak tu po cichu uciec. Niektórzy goście byli już bardzo radośni, co niby jest oczywiste w trakcie wesela, mnie jednak jakoś dziwnie irytowało. Straciłam dzisiaj ząb. Straciłam mężczyznę, z którym już prawie miałam dzieci (planowałam chłopca i dziewczynkę). Okrucieństwo losu przeszło moje ciało jak co najmniej kanałowe leczenie siódemki. Nawet rozmowy sąsiadów sprawiały mi ból. Właśnie porównywali różne śluby i warunki atmosferyczne.

— W czasie naszego ślubu zaświeciło słońce. I to była taka wróżba — opowiadała pogodnie tęga brunetka około pięćdziesiątki. — Całe nasze życie jest szczęśliwe, a jeśli zdarzają się burze, to szybko przechodzą, prawda, kochanie? — zwróciła się do mężczyzny o czerwonej, wykarmionej wieprzowiną twarzy.

— Jasne, kotku. Ale to trzeba wiedzieć, co z czym, nie, chłopie? — Pochylił się małżonek do sąsiada, siwego eleganckiego pana. — Bo kobieta musi mieć, co się jej należy. — Obtarł usta ręką. — A najważniejsze, co ma się w spodniach, co tu kryć!

Siwemu panu lekko drgnął widelec w rękę, ale uśmiechnął się życzliwie do Czerwonej Twarzy. Ten odebrał to jako zachętę do dalszej konwersacji, rozparł się wygodnie na krześle i powiedział:

— Ja, chłopie, zawsze byłem jak tur, stawał mi na zawołanie.

— Ależ Józinku, no co ty — mitygowała go zaróżowiona małżonka.

— Jak tur, mówię, twardy i sztywny jak żelazo, mogłem całe wiadro z wodą zawiesić i nosić z kuchni do łazienki i z powrotem, i nic, stał. I nadal nie narzekam! — Tu klepnął z zadowoleniem swą tęgą żonę po soczystym udzie. — A pan, jak tam u pana?

Zaskoczony siwy sąsiad odłożył widelec, spojrzął z namysłem na Czerwoną Twarz i rzekł:

— Prawdę mówiąc, zawsze miałem w domu wodociąg.

Sąsiedzi znieruchomieli, bezradnie mrugając oczami. Ryknęłam śmiechem, prezentując beztrosko resztki zęba, a sałatka śledziowa spłynęła na pożyczoną od koleżanki zagraniczną sukienkę.

Zrozumiałam, że teraz już mogę iść do domu, aby spokojnie usiąść na zgliszczach i zalać się łzami.

Rozdział 4

Takiej karkówki jeszcze nie jadłaś! Bejcowała się całą noc — obwieścił tryumfalnie Bolek, mieszając pogrzebaczem w rozżarzonych brykietach. — Alkohol też schłodzony, cały dzień przed nami!

— No właśnie, wreszcie spokojnie pogadamy i przecież można się jeszcze nawet trochę opalić — dodała Buba.

Siedziałyśmy sobie wygodnie w fotelach rattanowych pod daszkiem werandy, wysuwając nogi ku słońcu i obserwując zmagania Bolka z grillem.

— Najważniejsze to wiedzieć, kiedy przewrócić mięsko — objaśniał uprzejmie swej niewielkiej widowni. — Ten, kto bejcuje, jest oczywiście ważny, ale sedno sprawy to dobre przewracanie. — Tu znowu dźgnął fachowo usmolonym pogrzebaczem.

Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo, po czym Buba powiedziała miłym głosem:

— Tak, Boleczku. Dlatego zawsze cię o to proszę.

Rzucała jednak niespokojne spojrzenia raz na mnie, raz na męża, kręcąc się w fotelu. Nagle odstaawiła szklanę z herbatą, wstała i ze słowami:

— O, znowu ta kura od Maćkowiaków przelazła! — ruszyła biegiem w kierunku ogrodzenia. Tam zatrzymała się i zaczęła rozgarniać gałęzie porzeczek, krzycząc: „A kysz, a kysz, a sio”. Jednak żaden ptak nie wychynął spośród zarośli, więc popatrzyła jesz-

cze podejrzliwie w kierunku domu sąsiadów i wolnym krokiem wróciła na fotel.

— Chyba mi się zdawało — orzekła z uśmiechem. — Ale one ciągle przelatują nad płotem i wyjadają siewki. To mnie wkurza, bo chcę mieć drugi rzut rzodkiewek.

Patrzyłam na nich z podziwem.

Już od kilku lat mieszkali na wsi pod Poznaniem. Buba uczyła polskiego w miejscowej szkole, Bolek zaś codziennie dojeżdżał do swej pracowni w mieście. Mawiali, że miejskie życie jest ponad ich nerwy i coraz bardziej lubią swój ogród i tchórze galopujące nocami po drewnianym strychu, i nawet już przyzwyczaili się do życia w domu z szambem zamiast miejskiej kanalizacji.

Obgadaliśmy już mniej więcej połowę naszych znajomych, Bolek przyniósł piwo. Rozlał do szklanek, spojrzął w stronę grilla, znieruchomiał i nagłym gestem wręczył żonie pogrzbacz, mówiąc tylko:

— Bubeńku, popilnuj no trochę, zaraz wracam. — I szybkim krokiem oddalił się w kierunku szopki i ciągnącego się za nią masywnego muru. Wkrótce zniknął w odległej części ogrodu.

— No ale w końcu kto tu jest wajchowym? — spytała Buba. — Skąd mam wiedzieć, kiedy pomieszać w tych węgielkach?

— Może poczekajmy, co się stanie, a jakby się zaczęło za bardzo rozpalać, to chluśniemy wodą i spokój.

— A, masz rację. Albo rozgarniemy. To co ty mówisz, Zosia się jednak rozwiodła z tym dentystą?

— Nie, to Teresa romansuje z kardiologiem. Mówiła mi, że jego żona miała go już dwadzieścia lat, teraz zmiana warty. Robi mu kąpiele w wannie pełnej szampana i podobno facet ma już całkiem ogłu-

piąte spojrzenie. Teresa mówi, że teraz, kiedy zrobiła doktorat, musi w końcu wyjść za mąż i wybrała sobie właśnie jego, zwłaszcza że to sąsiad, więc ma blisko.

— Czy ona w ogóle nie ma serca? — spytała Buba.

— O czym ty mówisz, ona w ogóle nie wie, co to jest.

— Zawsze taka była — westchnęła ciężko Buba. — Pamiętasz, jak się kiedyś przyklejała do Bolka?

— Pamiętam. Podła gadzina.

Nad trawnikiem zaległa miła cisza. Słysząc było tylko świerszcze grające w upale i dalekie śmiechy dzieci dochodzące z nad jeziora. Wokół nas owijał się smakowity dymek z grilla, a tłuszcz z karkówki z sykiem kapał w palenisko. Buba powoli sączyła piwo, podziwiając przy okazji swoje opalone na różowo, pulchne łydki. Czułam, że za chwilę zasnę błogo, ale niepokoiłam się o mięso.

— Gdzie jest ten Bolek? — spytałam.

— No właśnie, sama nie wiem. O, idzie!

Bolek zbliżał się wolnym krokiem, z pochyloną głową.

— Co się stało? — spytała Buba.

— Nic.

— No przecież widzę, że coś się stało.

— Jasna cholera, no jasna cholera jaśnista! — wybuchnął Bolek. — Tak to jest, jak człowiek chce przedobrzyć. Skandal będzie na całą wieś.

— Jaki skandal?

— No trudno, musimy to powiedzieć — zaczął Bolek zrezygnowanym głosem. — Joasiu, chcieliśmy zrobić prawdziwie wiejskie jedzonko, a właśnie bób pięknie obrodził.

— Tak, wyjątkowo, to przez te deszcze, dosłownie strąk na strąku — dodała Buba.

— Wstaliśmy dziś rano i narwaliśmy cały koszyk — ciągnął Bolek — tak na cztery osoby, bo jeszcze wpadnie Wichłacz, plus zapas, bo nigdy nie wiadomo, kto nagle przyjedzie w niedzielę. I zaraz po śniadaniu ugotowaliśmy całą porcję. Największy problem zawsze jest z soleniem, bo albo za mało, albo za dużo, sama rozumiesz. Więc pod koniec gotowania sprawdzam, no chyba już dobry, odcedzam, wysypuję na miskę.

— I wtedy akurat ja weszłam do kuchni, Bolek mówi: sprawdź, czy dobrze osolony. Sprawdzam, ale nie jestem pewna, biorę na talerzyk, Bolek mówi: no teraz też jeszcze można doprawić, ale czy jest dosyć miękki, sprawdzam, niektóre ziarenka twarde, inne miękkie, mówię... Bolek, najgorsze są te duże, Bolek: co ty mówisz, a te średnie są dobre, w końcu postawiliśmy michę na stole i usiedliśmy, przyszedł Gapek, on uwielbia bób, sypaliśmy mu na podłogę, nagle patrzę, jest dwunasta i ani jednego ziarenka bobu... — skończyła opowieść zrezygnowanym głosem. — A my nie możemy wstać od stołu. I nie mamy niespodzianki dla ciebie i dla Wichłacza.

— No ale gdzie tu jest skandal na całą wieś? — zdziwiłam się.

— Bo to był dopiero początek — wyjaśnił Bolek. — Po bobie wiesz, co się dzieje — wzdęcie. A myśmy zjedli potworną ilość i mamy...

— Potworne wzdęcie! — dokończyła Buba.

— No właśnie, czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem, czuję się jak ponton nadmuchany do ostatnich granic, który za chwilę pęknie. Więc kiedy was przed chwilą opuściłem, to po to, aby na chwilę —

jak by to powiedzieć — poluzować wentyl i wypuścić nadmiary w atmosferę. Specjalnie poszedłem na sam koniec ogrodu, bo tam sennie i cicho, z dala od ludzi, miejsce bezpieczne. Stanąłem sobie cicho, niby coś motyką poprawiam na grządce, a tu poszła tak straszna kanonada — bardzo was przepraszam — że aż sam się przestraszyłem, ale i poczułem wielką ulgę. I wtedy nagle nad murem wystają fioletowe szuwały, Maćkowiakowa chyba się denaturatem farbuje, i wybałuszone oczy, i sąsiadka mówi ze zgrozą: „O Jezus Maria panie Bolku, ja myślałam, że to ten mur betonowy się wali, a to pan tak bączy!”

A przecież sam pamiętam, że miała być dzisiaj u szwagierki, bo mi wczoraj mówiła! — zakończył Bolek z wyrzutem, i z wyrzutem patrzył na nas, gdy wiliśmy się konwulsyjnie w fotelach.

W końcu Buba powiedziała:

— Bo pewnie się dziwiłaś, dlaczego Gapek cię nie wita, tylko leży w cieniu i śpi jak zabity? No i oczywiście nie było żadnej kury w porzeczkach... Ale co my teraz zrobimy?

Tu mnie olśniło.

— Musicie napić się wódki. Podobno alkohol zwiotcza mięśnie, tak gdzieś czytałam. Zwiotczecie i powietrze z was ujdzie! — obwieściłam.

— Aaaaaa, w rzeczy samej! — ożywił się Bolek i ruszył do kuchennej lodówki. Nie przedłużając zbytnio sprawy, natychmiast rozpoczęliśmy kucharację. Wiadomo, *periculum in mora* (niebezpieczeństwo w zwlekaniu).

Proces leczniczy przebiegał sprawnie. Gdy przyjechał Wichłacz, powitaliśmy go z wielką serdecznością.

— Siadaj, siadaj — Bolek wpychał go na fotel. — To Joasia, nasza przyjaciółka od stu lat, poznajcie się. I zobacz, ile mamy karkówki! Będziemy się obżerać jak dzikie diabły!

Wichłacz, ich stary przyjaciel, był leśnikiem z sąsiedztwa. Dwa lata temu jego żona odeszła z menedżerem z czarną aktówką, co Wichłacz bardzo przeżył, ale teraz Buba postanowiła już zacząć nad nim pracować. Zrozumiałam, że jestem elementem nowego planu. Zwłaszcza że Wichłacz nie był blondynem. Buba wiedziała, że nie lubię osobników bładych, gdyż sama jestem słabo wybarwiona i pragnę odmiany. On zaś był krępy, misiowatym brunetem, od którego biło ciepło i spokój. Może nawet trochę zbyt wielki spokój.

Siedział w rattanie, a jego doskonale wychowany wyżeł leżał tuż obok. Mówił o lisach, które nadmierne się ostatnio mnożą i stają się niebezpieczne.

— To jest prawdziwy problem — powiedział i objął mnie zaciekawionym spojrzeniem. W jego oczach pojawiło się miłe światło i zdałam sobie sprawę, że nie budzą w nim odrazy moje fałdki na brzuchu ani też widoczne spod szortów pełne uda. Mhm, może nie lubi tych wszystkich szkieletorów z okładek, pomyślałam sobie przyjemnie. Choć i tak pod jego wzrokiem czułam się o wiele smuklejsza niż zwykle.

Leniwy dzień przesunął się wolno i słodko jak taśma filmowa w starym projektorze. Nadszedł wieczór, słońce opadało za płot. Psy bawiły się na trawie, sąsiedzi wołali dzieci na kolację. Bolek zapalił latarnie na werandzie i siedzieliśmy w ich ciepłym świetle, wśród brzęczenia nielicznych leniwych komarów. Znowu smakowały mi papierosy, a zimna wódka czysto lśniła w kieliszkach na drewnianym

stole. Wichłacz przyniósł z samochodu płytę Beatlesów i śpiewaliśmy razem z nimi te piosenki, od których łaskocze człowieka w sercu.

Skończyliśmy grubo po północy, w świetnych humorach. Czułam, że świat jeszcze może być piękny, a leśnicy w ogóle są czarującymi ludźmi. Nocowałam u Bolków, Wichłacz zaś musiał wracać do siebie, bo o piątej rano — mimo niedzieli — miał jakieś wcześniej umówione prace.

Ranek nastał ciężki. Kiedy już wyszliśmy z łózek, aby w piżamach wypić spokojną kawę na werandzie, dochodziło południe. Dzień był ciepły i mglisty, zbierało się na deszcz. Wyglądaliśmy jak ludzie po przejściach.

— Oj, żeby tylko teraz diabli gości nie nadali! — powiedział boleściwie Bolek.

I stało się. Z energicznym warkotem zajechał przed dom wielki terenowy samochód Wichłacza, wyskoczył wyżeł, za nim jego pan — świeży, elegancki i radosny. W miarę jak zbliżał się do nas, zwalniał kroku, a na jego twarzy odbijała się niepokojąca niepewność. Ujrzał przed sobą trzy szumowiny społeczne okutane w stare flanelowe piżamy, trzymające nogi na balustradzie i popijające z wielkich fajansowych kubków.

A ja, pomimo mgły i zawstydzenia, zobaczyłam nagle coś, co we wczorajszych oparach bobu, grilla i alkoholu całkowicie uszło mojej uwadze. Otóż ten nieodparcie atrakcyjny brunet Wichłacz miał maleńki nosek oraz wydatne, pulchne usta. Zatrzęsłam się. O mój Boże, czemu mnie zaślepiłeś, przecież o mały co poszlibyśmy wczoraj na siano!

— Witam, wpadłem zobaczyć, co porabiacie? — oznajmił Wichłacz rażnym głosem, obrzucając nas

byстрыm spojrzeniem człowieka pracy. Wszedł na werandę, na sekundę zatrzymał badawczy wzrok na mojej piźamie w części frontowej górnej. — I jak się spało na wsi? — spytał.

— Świetnie! — wychrypiałam, zbierając intensywnie myśli. — Naprawdę świetnie!

— No proszę! Trzeba uciekać z miasta, zawsze to mówię! — promieniał.

— Siadaj, Tomek — zachęcił Bolek słabym głosem. Racja, Wichłacz miał na imię Tomek, zupełnie o tym zapomniałam. Wichłacz to Wichłacz.

— Napijesz się kawy? — spytała Buba, całą siłą woli zwalczając opadanie powiek.

— O, chętnie. I przywiozłem wam jagody i piwo.

— Oooo! — Bolek natychmiast się ożywił. — Idę po szklanki.

— I zobacz, czy jest kremówka w lodówce, zrobimy sobie bitą śmietaną do jagód! — krzyknęła za nim Buba. — Tylko najpierw chyba się trochę uczeszemy?

— Bez przesady, bez przesady, ładnie wyglądacie, kobiety. Zresztą ja też mam w samochodzie strój niedzielny — powiedział Wichłacz.

— Znaczy co, starą piżamę? — zdziwiła się Buba.

— Stare dzinsy, na jedno wychodzi. Lecę się przebrać. — I poszedł.

— Oj, ty mu się podobasz! — orzekła Buba.

— Czemu tak myślisz?

— No widzę przecież, lata jak skowronek. I patrzy, no wiesz, wzrokiem konsumpcyjnym.

— Mhm. Buba, fajny jest ten Wichłacz, ale od innej pary.

— Co?!

— No mówię przecież, on jest od innego kompletu, tak jak but z innej pary.

— O co ci chodzi, on jest świetny!

— Ja wiem, ale nie mogę spotykać się z człowiekiem beznosym, rozumiesz chyba. I jeszcze te parówki.

— Joasiu, o czym ty mówisz? Za dużo wódki było, to wszystko. Jakie parówki?!

— On ma parówkowe usta, przypatrz się. Wyglądają jak dwie sklezione paróweczki, jedna na drugiej, a rozchylają się, gdy mówi. Zawsze się boję, że wtedy wyleci spomiędzy nich liść sałaty albo keczup. A mężczyzna powinien mieć usta w kształcie ust.

Buba parsknęła śmiechem.

— Nie, ty masz jednak fioła! A co znowu z tym nosem?

— No właśnie problem w tym, że on nie ma nosa — powiedziałam z poczuciem winy, że jestem tak opętana przez fobie.

— No przecież nie odpadł mu po zarażeniu trądem!

— Nie, ale widzisz, nos to jest takie coś, jak ma na przykład Bolek, nos musi coś wyrażać i podkreślać twarz. A Wichłacz ma nosecek, no ziarno bobu ewentualnie, zapowiedź nosa jedynie, więc kojarzy mi się z embrionem, a nie z mężczyzną, no, Buba, przestań się śmiać! — wrzasnęłam.

— Ale zobacz, jakie ma zdrowe zębki!

— A na co mi jego zębki, przecież nie będzie mi pożyczał — warknęłam wściekle.

Przyszedł Bolek ze szklankami do piwa.

— Co się tak śmiejecie? — spytał.

— A nic, tak sobie plotkujemy — powiedziała Buba. — A śmietana jest?

— Jest, ale jagody potem.

Od strony porzeczek doszło nas zadowolone gda-
kanie. Buba poderwała się jak sprężyna.

— Bolek, ja cię proszę, idź pokaż się kurom! —
zawołała.

— Ale ja ledwo się trzymam na nogach.

— To nic, tylko kilka kroków, jak cię zobaczą, za-
raz uciekną, kochanie.

— A dlaczego? — zapytałam ciekawie.

— Jak tylko go widzą, uciekają na oślep przed
siebie. Nie są takie głupie! — wyjaśniła Buba.

— Bo ja rzucam w nie grabiami! — powiedział
zadowolony Bolek. I poszedł w kierunku płotu. Rze-
czywiście, już po chwili oszalałe ptactwo zaczęło
drapać się na mur albo rzucać się w popłochu do
ucieczki w niedostępne zakamarki ogrodu, aby tam
przecisnąć się przez znane sobie dziury w siatce.

— No, zrobione! — orzekł Bolek.

Wichłacz wrócił w starych dżinsach, które pod-
kreślały jego męską sylwetkę. Spod flanelowej ko-
szuli wysuwały się opalone silne ręce pokryte
ciemnymi włosami, ręce człowieka, który nie bę-
ni w klawiaturę komputera. Usiadł swobodnie, z tą
lekkością ludzi, którzy pracują fizycznie. Duży, sil-
ny, energiczny niedźwiedź, prawdziwy facet. Los
jest złośliwy. Gdy tylko spojrzałam na jego pogodną
twarz, ogarnął mnie smutek. Dlaczego takie drobia-
zgi stają się przeszkodami nie do pokonania? Czy ja
jestem normalna?

Jagody zjedliśmy po obiedzie, a potem poszli-
śmy nad jezioro. Szybka kąpiel, gdy unosiliśmy się
na falach jak blade wieloryby w otoczeniu młodych,
smagłych foczek, kawa na werandzie i już musia-
łam śpieszyć się do domu.

— Następnym razem zapraszam do mnie, do leśniczówki! — powiedział Wichłacz przy pożegnaniu. — A na wszelki wypadek — wyciągnął z kieszeni swoją wizytówkę i podał mi ją. — Zresztą ja niedługo będę w Poznaniu, możemy to jeszcze omówić.

Cóż było robić, wręczyłam mu swoją. Czułam się głupio. Wichłaczu, musisz gdzie indziej szukać Wichłaczowej — pomyślałam, mówiąc głośno: — Jasne, jeśli będziesz, odezwij się!

Wsiadłam do samochodu. Machali do mnie na pożegnanie i uśmiechali się miło. A ja kątem oka zobaczyłam już to, czego oni jeszcze nie widzieli: podstępną tyralierę kur Maćkowiakowej wysuwającą się z chaszczy.

Niedawno przeczytałam w gazecie, że teoria czarnych dziur we wszechświecie okazała się pomyłką. Bardzo mnie to ucieszyło. Dotychczas obowiązujące opowieści o tych dziwnych miejscach, które zamieniają w nicość wszystko, co w nie wpadnie, bardzo mnie przygnębiały. Właśnie się okazało, że nic nie przepada, lecz się przeobraża.

Zawsze wolałam wersję, że jedno coś zamienia się w drugie coś, i wszystko toczy się dalej. Czarne dziury jako producenci „niczego” psuły mi koncepcję. A tak, wiadomo, woda zamienia się w parę, liście w kompost, kompost w dżdżownice, a miłość w nienawiść.

Rozdział 5

Czterdziestosiedmioletni z brzuszkiem, samotny, pozna panią". Tej treści ogłoszenie przeczytałam tydzień później. Spodobało mi się, gdyż nie było w nim opowieści o wysokim stanowisku, atrakcyjności i zamożności, nie pisał nawet o chęci poznania „odpowiedniej” albo „miłej” pani. Można powiedzieć, że człowiek był zrównoważony, tajemniczy i z poczuciem humoru albo wręcz przeciwnie — bardzo prosty i niczego poza owym brzuszkiem nie posiadał. Także sformułowanie „brzuszek” budziło we mnie pewien niepokój, gdyż mężczyźni używają tego określenia nawet wtedy, gdy dźwigają przed sobą coś o rozmiarach sporej beczki.

No trudno, raz kozie śmierć, pomyślałam sobie i zaczęłam szukać długopisu. Napiszę, co mi szkodzi. Najważniejsze, żeby nie był blondynem.

Szybko napisałam o sobie (jasna szatynka, raczej szczupła, 43 lata, humanistka, bez zobowiązań), podałam numer telefonu, zdradziłam też, że lubię herbatkę na Starym Rynku, zapakowałam list i zakleiłam kopertę. Co ja się tu będę rozgadywać, w końcu w ogóle nie wiem, kto to jest.

Tydzień później zadzwonił telefon.

— Dzień dobry, czy to pani Joanna? — spytał głos męski niewyraźny.

— Tak, słucham?

— Dostałem od pani list, odpowiedziała pani na moje ogłoszenie.

— Ach, to pan! To miło — powiedziałam, głaszcząc kocicę.

— No właśnie, i tak sobie pomyślałem, że może moglibyśmy się spotkać i porozmawiać przy herbatce — ciągnął pracowicie i z przejęciem. Wymowę i głos miał jakies przytłumione, lekko zahaczające o gwaraę poznańską, modulację pospolitą. Szkoła pomyślna, w porywach, albo wąskospecjalistyczny inżynier, pomyślałam.

— Bardzo chętnie — powiedziałam uprzejmie. W końcu pozory mylą. — A... czy może mi pan coś o sobie powiedzieć?

— To znaczy co? — spłoszył się Brzuszek.

— Na przykład, co pan robi na co dzień albo jak pan wygląda, bo jakoś musimy się rozpoznać, prawda?

— No, dużo by tu mówić, to najlepiej bezpośrednio, wie pani, tak w kawiarni, wtedy od razu zobaczymy, co i jak. A wyglądam normalnie, mam metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, szczupły trochę z brzuszkiem.

Tu nie mogłam się opanować.

— A jest pan blondynem czy brunetem, przepraszam?

— No, zdecydowanie blondyn!

Kocica wbiła mi pazurki w kolano.

— O, to fatalnie! — jęknęłam z przesadną szczerością.

— Dlaczego?!

— Bo ja też mam jasne włosy, i to jakoś nie pasuje... — brnęłam głupio.

— Ależ skąd! Ma pani taki miły głos, musimy się

spotkać. No a jeśli się sobie nie spodobamy, no to trudno, ale próbować trzeba! — zachęcał Brzuszek.

— Dobrze, to gdzie i kiedy?

— Oj, nie wiem, rzadko chodzę po lokalach, to znaczy dawniej chodziłem, teraz już nie, człowiek jest taki załatany. Może pani coś zaproponuje?

Czyli nie zna miasta i nie ma chęci przewodzenia, pomyślałam.

Podaliśmy mu adres kawiarenki, w której są wygodne fotele, i umówiliśmy się na piątek, ósma wieczór.

Uff, diabli nadali blondyna, a w piątek są takie fajne filmy w telewizji, i można je oglądać w łóżku! Może do piątku złapię grypę, nigdy nie wiadomo. Jeśli zadzwonię do Brzuszka zakatarzonym głosem i odwołam spotkanie, będzie musiał uwierzyć.

Niestety, mimo epidemii grypy byłam zdrowa jak ryba. W piątkowe popołudnie ubrałam się wyszczuplająco (człowiek pewniej się czuje, gdy lepiej wygląda) i poszłam jak na ścieście. Miałam nadzieję, że od czasu naszej rozmowy Brzuszek ściemniał i że należy do tych ludzi, którzy okazują się czarujący przy bliższym poznaniu.

Przed drzwiami kawiarni dreptał niespokojnie osobnik wysoki i brzuchaty, z jasnym, niemowlęcym puchem na okrągłej głowie. W pulchnej, różowej ręce trzymał czarny parasol, na nogach zaś miał białe buciki typu mokasyny, co zawsze budzi we mnie niewytłumaczalną panikę. Nagle poczułam, że jestem bardzo zmęczona po całym pracowitym tygodniu.

Brzuszek rozjaśnił się w uśmiechu (strój wyszczuplający!) i podszedł do mnie.

Przywitaliśmy się i weszliśmy do kawiarni, bardzo zatłoczonej w piątkowy wieczór. Nie było wol-

nego stolika, więc poszliśmy dalej. Wąskie, kręte uliczki koło Starego Rynku pełne były młodych ludzi krążących między restauracjami, pubami i kawiarniami, szukających znajomych i umawiających się przez komórki. W powietrzu musował nastrój wolności i beztroski, błyskały kolorowe makijaże, lakierowane włosy i opalone nogi kobiet, mężczyźni pachnieli dobrymi wodami toaletowymi i pierwszym dzisiejszym drinkiem. Szłam obok Brzuszka, czując wibrujące wokół życie i słysząc, jak moje wysokie obcasy stukają w chodnik całkiem bez sensu, jakbym nadawała alfabetem Morse'a do niewłaściwego adresata. Rozmawialiśmy wstępnie o pogodzie, bo to za chwilę przecież może spaść deszcz.

Znaleźliśmy kawiarenkę „Behemot”, w której ściany obwieszane były portretami kotów, a pośród stolików, foteli i kanap stały ich posążki.

— To gdzie siadamy? — spytał Brzuszek.

— Może tu? — wskazałam niewielką kanapkę.

— Dobrze.

— Albo nie, lepiej tu! — wybrałam inną.

— Dobrze.

Usiedliśmy. Błysnęły białe mokasyny, parasol został troskliwie oparty o kredensik. Przyszła kelnerka i przyjęła zamówienie. Poprosiłam tylko o herbatę (szybko wypiję i uciekam, zdążę jeszcze na film o dwudziestej drugiej). I wzięłam się do pracy w kamieniołomie.

Brzuszek opowiadał, że mieszka osiemdziesiąt kilometrów od Poznania, ale co to za odległość, co tydzień jest w mieście, bo córka tu studiuje i ma własne mieszkanie.

— Więc przyjeżdżam w każdy piątek, bo co mam sam robić w domu? Żona kilka lat temu wyjecha-

ła do pracy na Zachód, i stamtąd przysłała wniosek o rozwód. A takim byliśmy dobrym małżeństwem! — Jego niebieskie oczy zamrugały ze smutkiem i spojrzały na mnie, jakby szukając wytłumaczenia tych niespodziewanych wydarzeń. Zrobiło mi się go żal. Mokasyny czy nie mokasyny, okropnie jest zostać porzuconym. — Tylko żona zawsze wydawała za dużo pieniędzy, no ale kobiety często tak mają. Dlatego mówię córce, żeby może wynajęła drugi pokój studentowi, on nie będzie się tak ciągle kąpał jak dziewczyna, a pranie zawiezie do domu, i zawsze te rachunki są mniejsze, prawda?

— No tak — bąknęłam słysząc, jak kalkulator w jego głowie pracuje pełną parą.

— A może to niedobry pomysł? — zaniepokoił się nagle.

— Trochę niebezpieczny, to trochę jakby pan chciał zapalać zapałkę w stodole pełnej siana — wypaliłam nagle. — Czy córka ma narzeczonego?

— Kogoś tam miała, ale to się rozpadło. A co, myśli pani, że z tym studentem coś ewentualnie tego? No tak, młodość, nigdy nie wiadomo... — zaczął nerwowo pocierać brodę. — Ale ten pokój, ten drugi pokój stoi pusty i nie zarabia na siebie!

— Na pana miejscu wolałabym pranie i kąpiele niż przypadkowego człowieka w tej samej kuchni w zimowe wieczory.

— No tak, dlatego chciałem panią spytać, kobiety zawsze znają się na takich sprawach. Może już lepiej zgodzić się na te kąpiele — westchnął z bólem. — A czym pani się zajmuje, to znaczy zawodo?

— Pracuję w biurze.

— Ach, to dobrze. Teraz jest takie bezrobocie,

najważniejsze mieć pracę. Bo ja jestem emerytem wojskowym i pracuję w tartaku. Jakoś można wyżyć, ale ciężkie są czasy, nie to, co dawniej. W wojsku redukcje, trzeba było odejść, no i co się poradzi! — pokiwał głową. Cały czas obserwował mnie ukradkiem i widocznie nie było najgorzej, bo nagle spytał przymilnie:

— A pani ma może mieszkanko?

— Tak, mam — wyznałam nieopatrzenie.

— Tak? A ile pokoiaków, jeśli można zapytać?

— Dwa pokoiki, ale ten drugi sześć metrów kwadratowych, ciasnota — łągałam jak pies.

— O, to miło! Zawsze się jest u siebie, przyjemnie i swobodnie — ucieszył się Brzuszek.

Oczyrna duszy widziałam już długie rzędy białych mokasynów w moim korytarzu, ciągle wygaszone dla oszczędności lampy i skręcone na zero kaloryfery. Zimny, oślizgły dreszcz przebiegł mi po plecach. Wypiłam łyk herbaty i ukradkiem spojrzałam na zegarek. Dochodziła dziewiąta, już za chwilę będę mogła coś wymyślić.

— To aż dziwne, że tak elegancka kobieta jest sama! — zauważył sprytnie Brzuszek...

— Jakoś się nie ułożyło, też jestem rozwiedziona. Życie bywa bardzo trudne — bajdurzyłam, kiwając smętnie głową. — Ale nie trzeba tracić nadziei! — uśmiechnęłam się pocieszająco. — Wszystko będzie dobrze! Jest pan bardzo miłym człowiekiem, nawet nie wiedziałam, że tak sympatycznie będzie nam się rozmawiało. Ale ja niestety muszę już iść, bo ciotka tuż przed moim wyjściem zadzwoniła, że ma gorączkę i chce, żebym jej przywiozła lekarstwa.

— Och, a nikt inny nie może kupić? — spytał rozczarowany.

— Niestety nie, ciocia jest sama jak palec — wciągałam się coraz bardziej w moją opowieść. — Naprawdę bardzo żałuję! — I zaczęłam wstawać od stolika.

— Tak mi przykro! Ale może się jeszcze spotkamy? — spytał. — Czy mogę zadzwonić do pani?

— Bardzo proszę, ale nie wiem, co będzie z ciocią! — Podałam mu rękę, on pochylił nad nią głowę pokrytą pierzastym włosiem i ucałował. Ruszyłam w kierunku drzwi i widziałam, że siada ciężko na kanapie, nie wiedząc, co dalej robić.

Nie lubię być wiedźmą. A jednak szłam szybko jak żołnierz, a moje obcasy wystukiwały na starym bruku radosny rytm piątkowego wieczoru.

Żółty abażur rzucał ciepłe światło. Z mroku wyłaniała się stara miniatura po ciotce z bogato oprawioną kością jakiegoś świętego i rysunek kwiatów wiszący na ścianie sypialni. Twarz mamy była blada i wychudzona, z niezdrowymi rumieńcami na policzkach. Poprawiła się na poduszce, otworzyła oczy i spytała:

— To który dzisiaj jest?

— Dziewiąty września.

— Aha. Ojciec też tak mówi. Ale powiedz mi prawdę — tu utkwiła we mnie przestraszone spojrzenie. — Czy to znowu jest wojna?

— Nie, mamu. To jest dziewiąty i wrzesień, ale rok nie jest trzydziesty dziewiąty, ale dwutysięczny czwarty.

— To dobrze.

Rozejrzała się po pokoju i spytała:

— Kiedy wreszcie ci faceci stąd wyjdą?

— Tu nie ma nikogo, tylko ty i ja.
— Co ty opowiadasz, ten facet biega tu od rana i ciągle mnie zahacza płaszczem.

— Jaki facet?

— No ten, o, przeleciał właśnie do kuchni.

— A on jest niesympatyczny, denerwuje cię?

— Nie, on jest nawet miły, tylko ciągle się śpieszy. I ten płaszcz, o, zobacz, jak lody wafelkowe, a góra normalnie, w czarno-białą kratkę śmietankowo — Mama powiodła zirytowanym spojrzeniem za czymś, co widziała. Dodała: — I sprzątnij te zwłoki spod łóżka.

— Jakie zwłoki?

— No przecież leżą tu od rana, i za szafą jeszcze trzy, to jest okropne.

— To... potem, a teraz może chcesz siusiu?

— O, tak, właśnie chcę siusiu — odpowiedziała, odrzuciła energicznie kołdrę i zaczęła siadać na łóżku. — I trzeba się śpieszyć, bo zaraz przyjdą Rosjanie.

Jej biedne, wychudzone nogi zwiisały nad podłogą jak nóżki ćmy.

Włożyłam mamie skarpetki, kaptcie i szlafrok i z pomocą chodzika rozpoczęłyśmy powolny marsz ku łazience. Tam usadoviłam mamę na sedesie.

— I jeszcze chciałabym papierosa — poprosiła.

Przyniosłam z kuchni zapalonego papierosa i podałam jej do ręki.

Miała już tak wiele przerzutów, że palenie z pewnością nie mogło jej zaszkodzić. Nawet lekarze nie mieli nic przeciwko temu. Jedyne mój ojciec nie mógł wyzbyć się starego nawyku, i na prośbę o papierosa pogrzykiwał oburzony:

— No przecież to ci rujnuje zdrowie! Nie pal! To skrajna głupota!

Przestraszona mama kuliła się pod kołdrą. Kiedyś, poprawiając jej pościel, ujrzałam ukrytą pod poduszką paczkę papierosów. Jak u dziecka wojny, które przeżyło głód i później przez całe lata chowa zapasy chleba.

Rozdział 6

Zawsze, gdy widzę mężczyznę z małym noskiem, podejrzewam, że to przebrany Koszałek Opałek. I nie ma tutaj znaczenia wzrost ani tusza. Zawsze mam wtedy wrażenie, że są to osobniki niedokończone w trakcie produkcji, jakby zabrakło plasteliny. Zauważyłam też, że panowie ci braki konstrukcyjne często uzupełniają wielkimi ambicjami lub sprytem, albo też jednym i drugim łącznie. Zupełnie fatalny przypadek to noski maleńki i wiecznie błyszczący, a nawet nieustannie zaróżowiony i przybrany okularkami. Co gorsza, chodzi on często w parze z nieposkromionym łakomstwem i mlaskaniem. Noskowi takiemu lubią towarzyszyć małe, rozbiegane oczka, zawsze dziwnie uśmiechnięte, a pod spodem twarde jak beton.

Taki właśnie egzemplarz był u nas wicedyrektorem. Dyrektor Królikowski, powszechnie zwany Królikiem. I choć natura nie poskapiła mu wzrostu, gęstych włosów i wysokiej sprawności intelektualno-biznesowej, zawsze podejrzewałam, że w domu w szafie trzyma kubraczek krasnoludka i ubiera go w Wigilię oraz na Wielkanoc.

Tego dnia rano w pracy zaczął się normalnie. Magda szybko kończyła malować paznokcie, bo za spała i w domu nie zdążyła, i pokój był już wywietrzony po porannej porcji kapusty kwaszonej, którą jadła Monika. Tomek gryzł kanapkę i przeglądał

prasę w Internecie, co chwila czytając nam na głos co lepsze kawałki.

— No, na razie nic o nas nie piszą — powiedziały z ulgą.

Od kilku tygodni wokół naszej firmy gromadziły się chmury. Na mieście mówiło się, że będą zwolnienia, częściowo ze względu na oszczędności, a częściowo z powodu powiązań politycznych naszego prezesa. Ponoć szef obiecał swoim protektorom z zaprzyjaźnionej partii pięćdziesiąt miejsc pracy dla młodych aparatczyków, i teraz pilnie szukał etatów.

Na korytarzach wrzało od plotek. Ludzie usiłowali odgadnąć listę osób przeznaczonych do odstrzału, krążyły najróżniejsze wersje i fantastyczne scenariusze. Codziennie przeglądaliśmy gazety, czytając między wierszami w poszukiwaniu jakichś sygnałów i przecieków.

— A ja wam powiem, że małżeństwo to nie jest najlepszy pomysł — oświadczyła nagle Monika.

Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni.

— No tak, przecież czasami można zwariować! — dodała gniewnym głosem. — Na przykład mój Jurek, ja już mam dosyć tego wszystkiego.

— A co się stało? — spytał ciekawie Tomek.

— W dużym pokoju pies obgryzł tapety, no i Jacuś wymalował bałwanka keczupem, więc od tygodnia szukaliśmy nowych, tamte i tak już miały swoje lata. A tu nagle Jurek zaczyna mnie namawiać: ach, jesteś taka zmęczona, weź sobie dzień wolny, jedź do mamy, dawno u niej nie byłaś. Powinna już wtedy zacząć coś podejrzewać, a ja nic, pojechałam. Wracam wczoraj wieczorem, on wita mnie czule: kochanie, zrobię ci herbatki, wejdź do pokoju, i otwiera drzwi, a ja prawie trupem padłam!

— Dlaczego? — spytała Magda z żywym zainteresowaniem.

— Same kaczkiii!!

— Żywe?!

— Nie, na tapecie! Cały pokój wyłożony czarną tapetą w kolorowe kaczki, każda wielkości mikrofalówki i każda z pomarańczowym dziobem. I żeby one chociaż jakoś tak harmonijnie były rozmieszczone, ale nie, wszystkie idą w jednym kierunku, wszystkie dzioby wystawione w lewo, maszerują dookoła pokoju jak na więziennym podwórku! Myślałam, że się rozpłaczę! — skończyła smutno Monika.

Ryknęliśmy śmiechem.

— A Jurek na to: przecież ty lubisz zwierzęta, chciałem ci zrobić niespodziankę! — dodała Monika i jej niebieskie oczy zaczęły się niespodziewanie rozjaśniać, a pulchną postacią wstrząsnął lekki chichot. — No trudno. Jak się zapali tylko małą lampkę koło telewizora, można wytrzymać.

— A to wszystko z miłości — pokiwał głową Tomek.

— Nie można zdrzeć tej tapety? — spytała Magda.

— Skądże, najlepsza jakość, wytrzyma dziesięć lat.

— A może sąsiedzi was latem zaleją? — podsunęła życzliwie Magda.

— O, to jest myśl! — rozpogodziła się Monika.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła księżowa Halina.

— Słuchajcie, właśnie rozmawiałam z pewną osobą, nie mogę zdradzić nazwiska, ale prawie z pierwszych ust, i słuchajcie — będą zwalniać! Już w tym miesiącu. I przede wszystkim z naszego działu.

Wszyscy zamarli.

— Kogo? — spytał Tomek.

— Głównie starych, po czterdziestce. Podobno szef ostatnio powiedział, że gdy wchodzi do firmy, to czuje się jak w domu starców. I będą zatrudniać młodych, poprawnych politycznie.

— No, ale przecież za parę lat szef też przekroczy czterdziestkę! — zdziwiła się Magda.

— Ale on w to nie wierzy! — powiedziała ponuro pięćdziesięcioletnia Halina, patrząc na mnie smutnym wzrokiem.

W tym pokoju tylko my dwie kwalifikowałyśmy się do domu starców. Z jednej strony pomyślałam, że to bzdura, z drugiej zaś widziałam się już z tobołkiem na plecach, wychudłą i poczerniałą, zbierającą chrust w miejskim lasku.

— O jasna choinka! — powiedziałam, sztywna ze zdumienia.

— To niemożliwe — dodał Tomek.

Siedzieliśmy otumanieni. O dziwo, w tym zwykle hałaśliwym i zapracowanym pokoju nie dzwonił akurat żaden telefon, nie przyszedł żaden alarmujący mail i nie wpadł nagle spocony kierownik, szukając ekspertyzy, którą tydzień temu zapomniał w ogóle zlecić. Mogliśmy spokojnie jątrzyć ranę.

— Wstawię wodę na herbatę — powiedziała praktyczna jak zwykle Magda.

— O, właśnie — ucieszył się Tomek.

— Ale kierowca prezesa słyszał, że będą wyrzucać tylko słabych merytorycznie i konfliktowych — przypomniało się Halinie.

— Hm, w naszym dziale pięćdziesiąt procent jest konfliktowych, bo znają się na tej robocie — mruknęła Monika. — A głupki i ślizgacze zgodzą się na wszystko, wiadomo.

— Tuś mi bratku, capie młody, wołał stróż, co wyszedł z cienia. Nie oglądaj się, idź prosto, do więzienia, do więzienia! — deklamował Tomek z ręką oskarżycielsko wyciągniętą w stronę Moniki.

— O co chodzi? — zamruwała Magda.

— Literatury nie znacie? *Koziolatek Matolek*, dzieła zebrane.

— To wcale nie jest śmieszne — mruknęła Halina.

— No właśnie — przyznał Tomek i usiadł osowiały przed swoim komputerem.

Zadzwoił telefon, Monika odebrała.

— Joasia, do Królika.

— O jasna choinka! — powiedziałam znowu. — Tego tylko brakowało.

Zebrałam notatki, wzięłam długopis, sprawdziłam w lustrze stan fryzury i poszłam.

Sekretarka magistra Królikowskiego usadziła mnie w foteliku.

— I co tam, jak humor? — spytałam.

— Normalnie, ale spokojny — machnęła ręką. — Dostał dzisiaj swoje ulubione śniadanie.

Zabrzączał telefon, sekretarka dała mi znak, że mogę wchodzić do gabinetu. Weszłam, zamknęła za mną drzwi.

Królik siedział za wielkim biurkiem zawalonym papierami. Marynarkę odwiesił na oparcie fotela, i pilnie coś czytał z długopisem w ręce, w drugiej zaś trzymał kolorowo przybraną kanapkę i przeżuwał.

— Dzień dobry, panie dyrektorze — powiedziałam niepewnie, nie wiedząc, czy nie przeszkadzam w śniadaniu.

— A, dzień dobry, bardzo proszę, pani Joanno — na chwilę oderwał wzrok od dokumentów i natych-

miast znowu do nich wrócił, odgryzając równocześnie spory kęs.

Podeszłam do biurka i stanęłam, czekając, aż dokończy czytanie.

— Proszę mówić, proszę mówić, ja mam podzielność uwagi — powiedział z pełnymi ustami, nadal nie podnosząc głowy.

No faktycznie, kociu, powinieneś jeszcze grać na mandolinie, pomyślałam. I zaczęłam wyjaśniać jego gładkiej fryzurze problem korespondencji z ambasadą duńską i duńskim kontrahentem, który trochę mataczył. Królik czytał, przeżuwał i zaznaczał w tekście swoje uwagi. Nagle odłożył długopis, wstał, wyciągnął ze stosu teczek pokreśloną kartkę papieru i zbliżył się do mnie.

— Pani Joanno — powiedział gromkim głosem, a okruchy pogryzionego żółtego sera wystrzeliły w moją stronę. Jedna z oślinionych grudek trafiła w moje wytuszone rzęsy i już tak została. Zamrugałam rozpaczliwie, ale nic to nie dało. — Pani Joanno, ja tutaj proponuję zmianę, rozumie pani, zmianę formuły. To jest delikatna sprawa i trzeba pisać z wyczuciem. Tutaj wprowadziłem pewne korekty, ale najlepiej niech pani jeszcze sprawdzi w podręczniku Pietkiewicza albo w ogóle w jakimś, wie pani, poradniku savoir-vivre dla biznesu, nieprawdaż.

— Korzystałam z Pietkiewicza i *Korespondencji dyplomatycznej*, i *Etykiety Biznesu*, ale oczywiście sprawdzę jeszcze raz — przyrzekłam, gryząc się w język.

— No właśnie, bardzo bym prosił — powiedział tonem człowieka, od którego jednego gestu zależy życie gladiatora. — Dziękuję pani.

Podał mi rękę i wrócił za biurko, nadal pracowicie żując.

Wyszłam. A więc dzisiaj jeszcze nie jestem zwolniona, pomyślałam, i pusty śmiech mnie ogarnął. Człowiek, którego mogłabym przygotowywać do matury z polskiego, przedstawiał przecinki i akapity w moich pismach i pluł mi w oko przeżutym serem.

Dziwny jest ten świat, i wiem, kto to powiedział.

Tego wieczoru zamierzałam wcześniej się położyć. Zawsze, kiedy byłam zdenerwowana, czułam przemożną potrzebę zakopania się pod kołdrę. Sen działał na mnie leczniczo, już po kilku godzinach budziłam się w lepszym nastroju i z nowymi pomysłami, jakby jakiś komputer przeszukiwał w tym czasie wszystkie dane i w końcu wyrzucał wynik.

Ciekawe, z czym się obudzę rano, myślałam, ścieląc łóżko. Dzisiejsze rewelacje lekko ścięły mnie z nóg. Czy mam sobie sprawić budkę z kurczakami, zostać referentem w jakimś podrzędnym biurze czy może zwykłym pasożytem? Prostytucja nie wchodziła w grę, gdyż, jak to kiedyś ujęła błyskotliwie moja siostra Beata, „próchno ci się z tyłka sypie i musiałybyś chyba dopłacać”.

Była jedenasta, właśnie nastawiałam budzik, gdy ostro zadźwięczał dzwonek u drzwi. Trochę zaskoczona, bo kto to może być o tej porze bez wcześniejszego telefonu, poszłam otworzyć.

Na progu stała Natalia, piękna, ciemnowłosa i bardzo blada.

— Ciociu, czy mogę wejść? — spytała cicho.

— Oczywiście, dziecko, a co się stało?

— Mama przysłała SMS-a, że jednak nie wrócą dzisiaj z kongresu, i do jutra, pa, a ja nie chcę dzisiaj być sama w domu. Mam okropnego doła.

— Co masz?

— No, doła, chandrę, dusza mnie boli, ciociu.

Objęłam ją i głaskałam po plecach, jak dawniej, gdy była malutka, choć teraz przewyższała mnie wzrostem, a jej 16-letnie ciało w niczym nie przypominało już dziecka. Może z wyjątkiem delikatnego puszków na twarzy, który został do dziś.

Weszliśmy do kuchni.

— A może jesteś głodna? — spytałam.

— Nie — odparła smutno. A po chwili spytała:
— A co jest?

— Bitki wołowe z buraczkami — odpowiedziałam zadowolona, bo akurat wczoraj miałam dzień natchnienia i ugotowałam porządny obiad.

— A, bitki to chętnie! — ożywiła się.

— No to idź umyj ręce, a ja wstawię na gaz.

Już od dłuższego czasu wydawało mi się, że zajęta pracą Beata i jej mąż zaledwie nocowali w domu. Byli wziętymi prawnikami i robili błyskotliwą karierę, a teraz, po wejściu do Unii Europejskiej, rozbudowywali kancelarię i na gwałt szlifowali angielski. Kongresy, zjazdy i sympozja stały się ich chlebem powszednim, a Natalii pozostawała jedynie pani Zdzisia, od lat prowadząca dom. Jednak wieczorem Natalia zostawała sama w wielkiej, luksusowej willi na monitorowanym osiedlu. Często zapraszała na noc koleżanki, ale równie często jej jedynym towarzystwem był labrador imieniem Don.

Było mi jej bardzo żal. Pamiętałam swoje własne lata młodzieńcze, i to uczucie, że jest się jak nie pasujący i nikomu niepotrzebny element więk-

szej układanki albo jak korek niesiony przez falę w nieznanym kierunku. I nie ma z kim pogadać, a zwłaszcza z kimś, kto by się nie śmiał.

Natalia wróciła do kuchni i zaczęła nakrywać do stołu.

— I herbatę z cytryną? — spytałam.

— O, tak!

— A ciocia też będzie jadła? — spytała z nadzieją. Nie miałam najmniejszej ochoty, ale powiedziałam, że tak, oczywiście.

Patrzyłam, jak je z apetytem, i zastanawiałam się, co mi powie.

— I co tam, jak życie towarzyskie? — spytałam ostrożnie, gdy brała dodatkę.

— Mhm, dobrze. Jednak w tej klasie jest kilka fajnych dziewczyn.

— A chłopcy?

— No niby są, ale jacyś tacy, no chyba muszą dorosnąć. A może wszyscy z testosteronem poszli do zawodówek? — zamyśliła się z ustami pełnymi bu raczków.

— No wiesz, zawsze początek w liceum jest trudny, ale potem będzie dobrze, zobaczysz. Poznacie się i zgracie, a przyjaciele z liceum pozostają na całe życie, tak to już jest — mówiłam i czułam się, jakbym słyszała własną ciotkę.

— Może, ale na razie tęsknię za gimnazjum, tacy świetni ludzie tam byli! Nie to, co tutaj. I jeszcze te klasówki, a ja nic nie wiem z chemii, no bo skąd? Mhm, ciocie bitki są najlepsze na świecie!

Jej twarz nabrała kolorów. Zaczęła opowiadać mi historię niejakiego Arka, który umie z chemii jeszcze mniej niż ona i zarobił już kilka jedynek, a ponadto ciągle do niej „zarywa”. I że matematyk już teraz się

martwi, jak zdąży ich przygotować do matury w dwa i pół roku, „dzięki naszej kochanej pani minister”.

Było już po północy, gdy kładłyśmy się spać. Pościeliłam jej w dużym pokoju. Powiedziałyśmy sobie dobranoc i pod kołderki. W nocy usłyszałam jednak, że Natalia wychodzi do łazienki, a po chwili zjawiła się w moim pokoju i spytała niepewnie:

— Ciociu, a czy wyjątkowo mogłabym spać z ciocia, tak jak dawniej? Jakoś... dziwnie się czuję.

Ścisnęło mnie w gardle.

— Oczywiście, chodź — powiedziałam, odchylając kołdrę i przesuwając kota.

Wskoczyła do łóżka i umościła się tyłem, wtulając się we mnie, jak wtedy, gdy była przedszkolakiem i przyśniło jej się coś strasznego. Kilka minut później spała spokojnie i głęboko, jak opity mlekiem szczeniak.

Rano, gdy w nerwowym biegu szykowałyśmy się do wyjścia, Natalia powiedziała:

— Ja nie chcę wracać do domu.

Znieruchomiałam.

— Dlaczego? — spytałam

— I tak nigdy nikogo nie ma, a jak są, to się kłóca. To po co? Mogłabym razem z Donem trochę u ciotki pomieszkać?

— A co z Tuniaczkiem? — spytałam automatycznie. — Przecież się pozabijają.

— Nie, Don lubi koty.

— Ale ja nie wiem, czy Tunia lubi psy, w swoim śmietnikowym życiu mogła mieć różne przejęcia. A przede wszystkim... co na to powie twoja mama?

— To mnie nie interesuje. Nawet nie zauważy, że mnie nie ma — drgnęły jej usta. To pa, przyjedziemy po szkole, ciociu, zgódź się!

— Zgoda — wyjąkałam, widząc już oczyma duży wściekłą twarz mojej siostry.

Już prawie słyszałam, jak znowu mówi: Nie znasz się na sprawach rodzinnych, nic nie rozumiesz, więc się nie wtrącaj, jesteś w końcu zidiociała starą panną!

Zapinałam płaszcz. Natalia pobiegła łapać autobus, ja wychodziłam trochę później, sprawdzając jeszcze, czy Tunia ma świeżą wodę i chrupki.

— I co o tym wszystkim myślisz, Tuniaczku? — spytałam kocicę.

Przekrzywiła łepkę i patrzyła na mnie uważnie zielonkawymi oczami. No, widzę, że niczego się tutaj nie dowiemy, pomyślałam, pogłaskałam ją i wyszłam. Wsiadłam do samochodu i powoli wyjechałam spośród bloków.

Chciałabym pojechać tam, gdzie nie docierają żadne ponure nowiny, pomyślałam tęsknie. Ale gdzie to jest?

Pojechałam na cmentarz z kwiatami i zniczem. Płytę grobu pokrywały żółto-pomarańczowe liście. Nie chciałam tego psuć, bo mama bardzo lubiła te kolory i zapach paździenika. Zapaliłam znicz i wstawiłam do wazonu czerwone gerbery. Usiadłam na ławeczce. Cmentarz był prawie zupełnie pusty, zaledwie kilka osób zgarniało liście i nosiło wodę do wazonów. Wielkie klony stały nieruchomo na tle szarzejącego nieba, z dala niosły się odgłosy z pętli tramwajowej. Piaszczystą ścieżką przejechał na rowerze robotnik cmentarny i zniknął w cienistej alei.

Od śmierci mamy minęły trzy tygodnie. Ojciec przesiadywał sam w pustym domu, pracował w ogrodzie, sprzątał i nie mógł spać po nocach. Budził się co godzinę, tak jak w czasie choroby mamy, kiedy ciągle czuwał.

Zaczęliśmy rozmawiać ze sobą dopiero tydzień temu. Słusznie powiedział nasz mądry lekarz, że rak to choroba całej rodziny.

W czasie kilkutygodniowej opieki nad mamą, gdy byłam u nich prawie codziennie, przez wiele godzin i nocy ciągle się kłóciliśmy. Ojciec bardzo bał się morfiny i uzależnienia, i tego, że nie będzie mógł rozmawiać z nieprzytomną mamą. Ciągle plątały mu się po głowie stare opowieści o morfinistach i ich szaleństwie. Bóle narastały, a on ciągle nie dowie-

rzał, że naprawdę trzeba zwiększać dawki narkotyku i że jest to bezpieczne. Ja mówiłam, że dodawać, tak jak kazał lekarz, on, że nie będzie truł matki, bo „zamieni się w warzywo”. Więc podawał mamie przepisane dawki, cały czas w przerażeniu, że ją zabija. „Rozpacz odbierała mu rozum”. Tak zwykle piszą w książkach, ale tym razem to nie był smakowity tom w grubej okładce. To było nasze życie.

Kupowałam leki, myłam mamę, ściągałam lekarzy, woziłam pielęgniarki, załatwiałam sprzęty, prałam piżamy i frotowe prześcieradła, przywoziłam obiady.

— Co ty wyrabiasz, jajo mądrzejsze od kury, znowu coś kupiłeś — mówił z twarzą wykrzywioną wściekłością — kto to wszystko zje, ja to potem kotom muszę dawać. Zresztą dzisiaj Beatka przywiozła mi pyszne gołąbki, nic więcej nie potrzebuję. Po co te słoiki?

— To są zupki dla dzieci i gotowe deserki. Mamę męczy gryzienie, musi dostawać płynne jedzenie.

— Akurat! Dzisiaj zrobiłem jej grzanki ze śledziem i była bardzo zadowolona, bo to lubi.

— Ale w niektóre dni może pogryźć, a w inne nie daje rady.

— Wymyślanie. Ty się tylko umiesz wymądrzać. Za dużo mam tu kierowników. Poszłam do mamy, usiadłam koło łóżka.

— Mamo, chcesz pić?

Otworzyła oczy i skinęła głową. Podparłam ją pod plecami i przechyliłam do ust kubek z dziobkiem. Przełknęła kilka łyków i na więcej nie miała siły. Położyłam ją z powrotem na poduszki i usiadłam w fotelu przysuniętym do łóżka.

— Czy coś cię boli? — spytałam.

— Nie — odpowiedziała nagle przytomnie. — Masz ładną twarz. Coś zrobiłaś z twarzą? I szyję też masz bardzo ładną.

— Nie, nic nie robiłam

— Ładnie wyglądasz. — Mama patrzyła na mnie wzrokiem zadowolonego dziecka. Nagle zamknęła oczy. Do pokoju wszedł ojciec i stanął koło łóżka.

— Teraz z tobą rozmawia, a ze mną ani słowa, udaje, że nie słyszy! — wybuchnął. Poczułam od niego alkohol. — Nie chce ze mną gadać. No jasne.

— Tato, ja tu posiedzę, idź się przespać, odpocznij, bo w nocy przecież wstajesz do mamy.

— Te demonstracje. Już nie wiem, co mam robić — patrzył na mamę z wyrzutem.

— Naprawdę idź się zdrzemnij.

— No dobrze, pójdę trochę pospać w fotelu. — I poszedł do pokoju z telewizorem, przy którego dźwięku natychmiast zasypiał.

Mama leżała cicho, przemyłam jej twarz wilgotną chusteczką do pielęgnacji niemowląt. Otworzyła oczy:

— Zostaniesz?

— Na noc?

— Tak. Dziecko, nie opuszczaj mnie — patrzyła na mnie błagalnie.

Wiedziałam, że jeśli zostanę, ojciec będzie się awanturował — „znowu mnie sprawdzasz, nie bój się, umiem się opiekować lepiej niż wy wszyscy, mama i ja nie życzymy sobie tu nikogo w nocy, wiem, co mam robić”.

— Postaram się — powiedziałam.

Mama trzymała moją rękę i patrzyła tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Wiedziałam, że chwilami w ogóle nie orientowała się, kto przy

niej jest, kogo nie ma, jakby jej świadomość włączała się i wyłączała, powodując niepokój i strach.

Z pokoju na piętrze zeszła Krystyna, przyjaciółka mamy z lat studenckich. Przedwczoraj wsiadła do samochodu w Paryżu, bo po rozmowie z ojcem zrozumiała, że koniec jest bliski. I chciała choć trochę przy niej być.

Mama czasem ją poznawała, a czasem nie.

— I jak? — spytała Krystyna.

— Lekarz mówi, że to jeszcze kilka dni albo nawet jeszcze prędeziej...

Weszliśmy do pokoju.

— Anulku, poznajesz mnie? To ja, Krystyna!

Mama wpatrywała się w nią z wielkim napięciem, po chwili dziecinny uśmiech rozjaśnił jej twarz i wyciągnęła rękę.

— Krystyna, jesteś!

Zostawiłam je.

Ojciec nic nie słyszał, spał snem człowieka kompletnie wyczerpanego. Chroniczne zmęczenie, nerwy i alkohol. Twierdził, że kieliszek dziennie pozwala mu to wszystko przetrwać i dodaje sił. Po południu bywał już oszołomiony.

Dwie godziny później ojciec przyszedł do kuchni.

— Napijesz się herbaty? — spytałam.

— Co ty masz z tą herbatą, ciągle wszystkim chcesz robić herbatę, opanuj się! — wykrzyknął z irytacją. — A zresztą teraz, kiedy jest Krystyna, możesz już jechać do domu.

— Mama chce, żebym została.

— Bzdury. Mama nie jest świadoma, co chwila mówi co innego. Ja tu doskonale daję sobie radę sam.

— Mhm. A Beata czasem przyjeżdża?

— No, tak, oczywiście.

— Ale mi nie chodzi o to, że wpadnie na pół godziny, ja pytam, czy przyjeżdża pomagać?

— No przecież wiesz, że Beatka nie ma czasu. Dużo pracuje, ma męża i dziecko, musi dbać o rodzinę, ty nie masz pojęcia o tych sprawach.

— Ale ja przecież też...

— Ty nie masz żadnej rodziny, tylko tego śmierdzącego kota, który wszędzie sika, więc nie porównuj się z Beatką! — ojciec pogardliwie wykrzywił usta.

— Choćby Beata miała piętnaścioro dzieci, ma takie same obowiązki wobec mamy jak ja! I nie mów tak do mnie, bo ja sobie flaki wypruwam, żeby wszystko załatwić i zorganizować, a ty mnie traktujesz jak wroga! — krzyknęłam.

— Dziękuję za to, co do tej pory zrobiłaś, i już jedź. Ja sobie poradzę zupełnie sam, niczego nie potrzebuję, a zwłaszcza żebyś mi się tu wymądrzała!

— Ojciec odwrócił się gwałtownie i stracił szklanke ze stołu. Rozbiła się z brzękiem. — Cholera jasna! — zaklął.

Wybiegłam z kuchni, zabrałam torebkę i sweter, połykając łzy weszłam do mamy. Krystyna spojrzała na mnie niespokojnie. Mama słabym głosem spytała:

— Zostaniesz? Boję się.

— Ojciec sobie tego nie życzy, muszę jechać. Krystyna tu jest.

— Joasiu, zostań — powtórzyła Krystyna.

Łzy napływały mi do oczu i czułam, że już za chwilę zupełnie nie będę sobie mogła z tym poradzić.

— Mamo, dobranoc, przyjadę jutro — powiedziałam i wyszłam szybko z domu.

Idąc do samochodu, usłyszałam stukanie w szybę. Krystyna stała w oknie i machała do mnie ręką,

abym wróciła. Płacząc, pokiwałam przecząco głową, wsiadłam i pojechałam.

Mój sikający kot, jedyna istota, która zawsze cieszyła się na mój widok, znowu ufnie powitał mnie w drzwiach. Przewrócił się na grzbiet, wystawiając brzuszek i szyję do głaskania. Po tym rytuale jak zwykle starał się ułożyć do snu na klawiaturze komputera, przy którym musiałam jeszcze popracować tego wieczoru. Jednak nie udało się, nie mogłam zebrać myśli. Razem z Tunią obejrzałyśmy wieczorne wiadomości i poszłyśmy spać. Kocica z wrodzoną sobie dyplomacją umościła się na fotelu naprzeciw mojego łóżka, robiąc minę kogoś, komu to całkowicie wystarcza. Jednak jakoś dziwnym trafem, gdy w nocy nagle obudził mnie pijak ryczący pod oknem, okazało się, że jej ciepłe, puszyste plecki przytulone są ciasno do mojego policzka i szyi.

A teraz było już po wszystkim. Kolorowe liście cicho spływały na szary grób, lekki wiatr szumiał wśród zarośli. Spokój i cisza. Koniec bólu.

Czasami przypominał mi się ten dzień, gdy mama cicho, ze złożonymi rękami leżała na łóżku, obok stały kwiaty i płonęła świeca. Ojciec i Beata chodzili po domu i płakali, przyjechała ciotka, potem Andrzej z Natalią, ciągle ktoś wchodził i wychodził, rozmawiali, płakali, jedli, pili kawę i herbatę. Powietrze było ciężkie i jakby znieruchomiałe. Czulałam wielkie zmęczenie i bałam się, że jeśli usiądę, natychmiast zasnę.

Ojciec i Beata siedli przy kuchennym stole i nalali sobie po kieliszku wódki. Chwilę milczeli, w końcu Beata spytała:

— Tato, a teraz, kiedy... tyle już się stało i jakoś inaczej patrzysz na swoje życie, to czy możesz mi powiedzieć, tak z perspektywy, co jest w życiu najważniejsze?

— Mhm. Moje dziecko — odpowiedział po chwili cichym głosem. — Wiem na pewno, teraz już na pewno, że w życiu najważniejsza jest miłość. Cała reszta jest obok. Nie wiem, nie mogę sobie wyobrazić, jak można żyć samotnie, bez miłości.

— No właśnie — powiedziała Beata wzruszona. — Też tak myślę. My z Andrzejem mamy różne zawirowania, ale tak naprawdę nie umiałabym być sama, bez niego i bez dziecka. To musi być straszne. Chyba bym zwariowała.

— Tak. I dlatego nie wiem, jak ja teraz dam sobie radę, bez mojej żony.

Umilkli na chwilę. Dobrze im się tak szczerze rozmawiało, tylko we dwoje, bez świadków.

Bo przecież ja byłam do nich odwrócona tyłem, mywając naczynia.

— Jak to zamieszkać u ciebie? — spytała Beata podniesionym głosem. — Natalia ma własny dom, i nie rób kreciej roboty!

— Nie robię. Ale jeśli dziecko, któremu kiedyś zmieniałam pieluszki, przyjeżdża do mnie w środku nocy, sinozielone, to chyba mogę coś powiedzieć.

— A co chcesz powiedzieć? Przecież nie masz pojęcia o dzieciach!

— No oczywiście, ale widzę, że ona czuje się samotna. Mówi, że wieczorami jest ciągle sama.

— Jak to sama? No przecież nie jest przedszkolakiem, ma szesnaście lat i może sobie jakoś zago-

spodarować czas, ma koleżanki i tak dalej. A my musimy pracować, nawet nie wiesz, jaka jest konkurencja na rynku.

— Ona potrzebuje domu, z rodzicami.

— Ja w jej wieku raczej marzyłam, żeby wreszcie wyrwać się z domu, i zawsze miałam co robić.

— Nie przesadzaj. Całymi godzinami konferowałam z mamą wieczorem w kuchni.

— No, może czasami. — Urwała. — Ale nie życzę sobie, żebyś się wtrącała w nasze sprawy. Tobie się życie nie udało, więc zazdrościsz innym i na siłę szukasz dziury w całym.

Znowu poczułam ukłucie w sercu.

— Jasne. Rób, co chcesz — powiedziałam. — Ale mówię ci jeszcze raz, że Natalia potrzebuje opieki, jak każde dziecko. — I odłożyłam słuchawkę.

Zapadał zmierzch. Przez okno widziałam plastikowe jabłka leżące wśród opadłych liści i trzech łyśkich, potężnie zbudowanych młodzieńców z amstaffem na smyczy, palących papierosy i dyskutujących głosami przypominającymi charkot buldoga.

Wieczorem zadzwonił telefon.

— Ciociu, w domu straszna awantura — wyszeptała do słuchawki Natalia. — Poczekam do jutra, bo jutro będzie bal prawników. Pa!

— A może jednak spróbujesz porozmawiać z rodzicami?

— Mama pokrzyrzała i poszła do kosmetyczki, a ojciec zamknął się w pokoju z laptopem, z kim ja mam rozmawiać? Z Donem już wszystko omówiliśmy!

— No dobrze, wyśpij się i zobaczymy, co dalej. Pa! — powiedziałam, zastanawiając się równocześnie, czy przypadkiem rzeczywiście nie rozbijam rodziny.

Podobno przede wszystkim będą zwalniać kobiety — oświadczyła dziś stanowczo Halina. — Wiesz to od pewnej osoby? — spytał niewinnie Tomek.

— Oczywiście, właśnie przed chwilą rozmawiałam, to taki mój stary przyjaciel z dawnych czasów, on dużo wie, no i też kręci głową na to wszystko!

— Aha. A może tylko niskich? Każdy, kto jest niższy od Królika, zwolniony! — zarechotał niewesoło Tomek.

— Nie, on zwolni wszystkich wyższych od siebie, no bo komu będzie pluć na głowę? — spytała Magda.

— Gadu, gadu, a chłop śliwki rwie — powiedziała Monika. — Się pożyje, się zobaczy. A do trzeciej chcę mieć od was wszystkie wasze kawałki, bo muszę je skleić w jedno sprawozdanie. I Joasiu, przygotuj się, Duńczyk już pytał o ciebie rano, ma nową koncepcję.

— O! Nie jestem zdziwiona — odparłam. — To jest taki gatunek, co to dziurki nie zrobi, a krew wypije! Nawet byłam już w tej sprawie u Królika, ale nie dostałam się. Sekretarka zasłoniła drzwi gabinetu własną pierśią i powiedziała, że nie można wchodzić, bo właśnie trwają konsultacje z panią główny technolog.

— O dwunastej? — zdziwił się Tomek. — Przecież zawsze się konsultują po trzeciej.

— Może to pierwsza runda? — zamyśliła się Magda. — Podobno mąż pani głównej technolog wyjechał na długi kontrakt, tak słyszałam.

— Widzisz, tak się załatwia sprawy. Ona na pewno nie będzie zwolniona, mimo że po czterdziestce!

Z okien naszego biurowca widać było rozległą panoramę Wierzbicic. Małe samochodziki przesuwały się pracowicie w tłoku, z dworca wyjeżdżały kolejne autobusy. Siąpił deszcz, niebo ciężko wisiało nad miastem.

A może w jednym z tamtych dalekich budynków jest Czapla? A może też mają zwolnienia, i gapi się w okno? Wszyscy biegają jak oszalałe mrówki i prawdopodobieństwo spotkania się jest właściwie żadne. Nie moje trasy, nie moje ulice. Niby wszyscy razem, a każdy osobno.

Kto to powiedział? Nie pamiętam.

Właśnie smażyłam gulasz wieprzowy (przepis jak na żeberka, tylko dodaję jeszcze curry), kiedy zadzwieczał dzwonek u drzwi. Wytarłam ręce i poszłam otworzyć. Na progu stała Natalia z torbą podróżną, kocem i materacykiem, obok niej radośnie wywijał ogonem Don.

— Ciociu, jesteśmy! Wzięłam taksówkę.

— No chodź, kochanie. A po co ci koc, ja mam dla ciebie pościel.

— To jest dla Dona, nie zasnąłby bez swoich rzeczy.

— No tak. Rozumiem — odpowiedziałam, zastanawiając się równocześnie, gdzie przyczaiła się kocica. — Wejdźcie. Możesz zająć duży pokój, ale gdzie umieścimy psa?

— Musi mieć legowisko blisko mnie, inaczej będzie skomlał w nocy.

Ładne rzeczy, pomyślałam sobie. I wtedy rozległo się głośne brzęknięcie, wazon rozbił się o podłogę, a Tunia zjeżona ze strachu zajęła strategiczną pozycję na szafie, prychając i sycząc jak żmija. Don znieruchomiał i zdecydowanie odmówił wejścia do pokoju. Wtedy kocica trochę się uspokoiła i cicho przysiadła. Pies po krótkim zastanowieniu wycofał się i podszedł blisko do Natalii. Było oczywiste, że nie zamierza przekraczać progu i rozgląda się za jakimś terenem wolnym od konfliktów.

— Początki mogą być trudne — powiedziałam z udanym spokojem, choć oczyma duszy widziałam już rozszarpane ciała, okrwawione ściany i nieustające wizyty u weterynarza.

— Ach, ciociu, tak się cieszę! I od razu cioci mówiłam, że Don lubi koty. — Natalia rzuciła mi się na szyję. — Przywiozłam frytki na kolację, zrobię w piekarniku, dobrze?

— Dobrze. A potem zastanowimy się, jak ich rozmieścić.

Już po kilku dniach opracowałyśmy system osobnego karmienia i przeprowadzania potworów, a one same też nie wchodziły sobie w drogę. Być może po kilku miesiącach mogłyby się nawet zaprzyjaźnić, jak to się zdarza wśród razem chowanych zwierząt.

Nie udało się jednak tego sprawdzić. Już czwartego dnia dostrzegłam u Natalii niepokój, nerwowe wyczekiwanie przy oknie i te ciągłe pytania, czy ktoś dzwonił. Rzeczywiście, Beata i Andrzej dzwonili codziennie. Z początku agresywnie, potem coraz spokojniej. Widziałam, że obie strony zaczynają myśleć, co dalej. Pod koniec tygodnia moja siostra spytała

mnie z niezwykłą dla niej łagodnością, czy mogliby przyjechać na herbatkę i pogadać. Oczywiście.

Była sobota, czas na odpoczynek po śniadaniu i przeglądanie w gazetach rubryki „Praca”. Kociąca spokojnie spała na kanapie, pies leżał w kuchni u nóg Natalii. Gdyby nie spaliny, wybuchy i rżenie starego samochodu, który usiłowali przywrócić do życia młodzieńcy z sąsiedztwa, byłby to uroczy poranek.

Rodzice Natalii przyjechali około południa, eleganccy jak zwykle, pachnący dobrymi kosmetykami, i jednak lekko zmieszani. Zapytali życzliwie, jak się nam powodzi, wypiliśmy kawę i nadszedł czas na konkrety. Moja siostrzenica siedziała jak na szpilkach.

— To co, córuś, może sobie pogadamy? — spytał wyraźnie przejęty Andrzej. — Tak smutno jest w domu bez ciebie.

Już widziałam jej trzęsącą się bródkę.

— No właśnie, tam będzie wam wygodniej — powiedziała i wepchnęła ich razem z psem do dużego pokoju, wynosząc na wysoko podniesionych rękach Tunię.

Zdażyłam przeczytać wszystkie ogłoszenia o pracy (matrymonialnych już nie tykam, co drugi to Brzuszek), gdy po godzinie drzwi się otworzyły i wyszła cała zasmarkana ze wzruszenia rodzina.

— No, jedziemy do domu! — obwieścił Andrzej.

— Dzięki, ciociu, tak dobrze się u cioci mieszkało! — powiedziała Natalia, mrugając zapłakаныmi oczami i rzucając mi się na szyję.

— Joasiu, dziękujemy za opiekę — powiedział poważnym głosem Andrzej. Beata skinęła modnie ostrzyżoną, lśniąca jak kasztan głową.

Spakowali się, przypięli Dona do smyczy, pożegnali się i pojechali. Zostałam sama. Z jednej strony cieszyło mnie, że nie będę już musiała słuchać hip-hopu i ciągle przenosić kota, z drugiej strony jednak dom wydał mi się przeraźliwie cichy i opuszczony. Stałam w korytarzu, patrząc w lustro i widziałam smutną kobietę, która już nie urodzi dziecka.

Potworny huk na podwórku wyrwał mnie z odrętwienia. Podeszłam do okna. Z samochodu wydobywały się kłęby smrodliwego dymu, a dorodni młodzieńcy pokrzykiwali do siebie:

— O kurwa, ale siara!

— Mariusz, ja cię chyba zajebię, ty chuju!

Obfity, niedzielny obiad bardzo mnie osłabił. Czułam, jak opuszcza mnie ciekawość świata, a jedynie, na czym mogę się skupić, to tykanie zegara z kukułką. Ojciec drzemał, a ja, wziawszy papiery, usiadłam przy stole w pokoju i zamierzałam zabrać się do pracy.

Niespodziewanie ciepłe, październikowe słońce świeciło przez okna, migocząc na ścianach i skacząc po obrusie. Dzień był piękny i pogodny i zaskoczył wszystkich, którzy już od kilku dni szukali w szafach zimowych ubrań. Ciemnozielone, żółte, pomarańczowe i rude liście szeleściły w ogrodzie, przy płotach stały czerwone jarzębiny. Koty grzały się w słońcu w zacisznym miejscu wśród róż, spokojnie czekając na swój obiad, który, jak wiadomo, ludzie podadzą o czwartej.

Siedziałam przy stole i bezmyślnie patrzyłam przed siebie. Mój wzrok leniwie przesuwiał się po książkach i obrazach i zatrzymał się na fotografii mamy.

No właśnie, kiedy mama przyjdzie?

Cały czas czekałam, kiedy wejdzie do pokoju i zacznie opowiadać, co się ostatnio wydarzyło. A z pewnością spyta, czy nie powinnam się położyć i odpocząć. I co słyhać w pracy? Jej miłe, brązowe oczy będą patrzeć na mnie, jakby widziała jasno całe moje dawne i przyszłe życie i już na zapas chciała wszystko ułatwić i wyprostować.

Po raz pierwszy od chwili jej śmierci zaczęłam płakać i nie mogłam przestać. Wszystko, co było w tym pokoju, przypominało mi jej drobną, wychudzoną postać i ciąglą chęć sklejaną i naprawiania.

Niespodziewanie wyskoczyła kukułka i trzykrotnie krzyknęła „kuku”.

Trudno, muszę wziąć się za sprawozdanie. Z ciężkim westchnieniem zaczęłam otwierać teczkę z notatkami. Ale jakoś nie mogłam odpiąć gumek, ciągle zakleszczały się na nowo. Bez sensu, naprawdę bez sensu. Jak to mówi Bolek, niedzielna praca w gównu się obraca.

Mój wzrok padł na czarne pianino, na którym dawniej grali rodzice. Jego misternie rzeźbione nogi przypominały mi czasy, gdy byliśmy małe i niekiedy oddawano nas na przechowanie do dziadka. Bardzo stary i zagubiony, w ogóle nie wiedział, co z nami zrobić, więc w końcu zdezorientowany siadał do pianina i grał przedwojenne melodie, i „*Lili Marlene*”, którą bardzo lubiliśmy. Wtedy przychodziła do pokoju ciotka Róża, z wielkimi ametystowymi kolczykami w białych uszach, otwierała okno i sypała gołębiom chleb pokrojony w kostkę. Zlatywały się z wielkim hałasem na parapet, a dziadek grał i tylko mówił czasami:

— Zamknij to okno, bo się dzieci przeziębia!

Mimo że wcześniej wspólnymi siłami pozapinali nas szczerze w wielkie, stare swetry wyciągnięte z brązowej, pachnącej mydłem i lekarstwami szafy.

Tak, to z pewnością był Czapla, ten człowiek ze sklepu medycznego. W tłumie targowych gości mignęła mi jego ciemna głowa i coś znajomego w pochyleniu ramion. Szedł z młodą dziewczyną, rozmawiali i oglądali niesioną przez niego rosochatą roślinę. No tak, nowa kobieta, nowy ogród, pomyślałam, i mocno zakłuło mnie w sercu. Poszłam dalej, szukając hali z wystawą ogrodniczą, znalazłam, oglądałam, ale nie widziałam. Mój Boże, kobieto, o co ci chodzi, człowiek Bogu ducha winien, każdy ma swoje życie i przestań marudzić, spójrz na te niezwykle piękne róże, różowe jak jasna cholera!

Targi Polagra kwitły w październikowym słońcu w samym środku miasta. Z głośników płynęła muzyka przerywana reklamami i zaproszeniami do stoisk w pawilonach. Wzdłuż alejek stały kolorowe stragany z roślinami, nasionami, książkami, narzędziami i tym wszystkim, co może się przydać w ogrodzie. Gdzieniegdzie dymiły paleniska z szaszłykami, smażoną kiełbasą i golonkami, tuż obok nich chwiały się parasole osłaniające barki z piwem. Ludzie w garniturach i białych koszulach, z komórkami ćwierkającymi w kieszeniach, siedzieli ramie w ramie z rolnikami o dużych, czerwonych od pracy rękach i zajadali bigos z tekturowych tacek. Smukłe hostessy na długich nogach chichotały nabłysz-

czykowanymi ustami, słuchając żartów wystawców, którzy już dokonywali wstępnej selekcji na dzisiejszy wieczór.

Wszędzie to mięso, jak nie zjesz, to zostaniesz zjedzony, plątało mi się po głowie, a przed oczyma przesunął się obraz geparda dopadającego gazeli, musiałam to widzieć w telewizji. Podobno jednak — jak mówił komentator — gepard w czasie pościgu rozgrzewa się do czerwoności i może paść na zawał serca, jeśli w stosownym czasie nie zdąży złapać ofiary.

Poszłam dalej, z głośników niosło się różne „hej, dziś dziś” w wykonaniu kapeli ludowej, zupełnie jak za komuny, ale teraz był to powrót do sztuki etnicznej. I bardzo pasował do drzewek, siewników i piania kogutów dobiegającego z pobliskich pawilonów.

Słońce świeciło ciepło w twarze zwiedzających. „Hania, zobacz te wrzosi!” - zawołał starszy pan, żona przystanęła i razem, w skupieniu zaczęli podnosić z półek doniczki z fioletochorózwą mgiełką. Nagle zobaczyłam, że strumień gości rozdziela się na dwie nitki, aby ustąpić miejsca małej kawalkadzie. Wszyscy zatrzymywali się i patrzyli. Środkiem maszerowały jeden za drugim wielkie czarne ogiery lśniące jak mercedesy, z grzywami ozdobnie ujętymi w białe plecionki i perfekcyjnie wyczesanymi ogonami. Szły i pachniały, szły lekkim, harmonijnym krokiem, w każdej chwili gotowe do rzucenia się w galop, potrząsając pięknymi głowami, przestraszone hałasem i tłumem. Masztalerze sięgali im zaledwie do kłębów.

Człowiek prowadzący drugiego konia przykładał mu rękę do oka, aby ochronić zwierzę przed straszonym widokiem obcych, tłoczących się ludzi. A bied-

ny, miastowy tłum stał i patrzył, z bezwiednie błogim wyrazem twarzy, z atawistycznym zachwytem istot wygnanych z raju.

Konie przeszły, tłum rozlał się znowu szeroką falą.

Na ścianie wielkiej hali zobaczyłam napis: „Wystawa zwierząt hodowlanych. Szynszyle”. O, to coś dla mnie, szynszyle widziałam zawsze w postaci futer owiniętych wokół aktorek, ciekawe, jak taki biedny stworek wygląda za życia. Przez chwilę błądziłam wokół pawilonu, szukając wejścia. W końcu odnalazłam potężną, otwartą bramę, do której prowadził trakt wyznaczony mocnymi, metalowymi barierami. Sięgały mi do wysokości piersi, obok zaś ustawiono tablicę z napisem: „Uwaga, niebezpieczeństwo! Przejście dla zwierząt!”. O mój Boże, pomyślałam, dawniej szynszyle były malutkie, a teraz co się dzieje? Wszystko przez te eksperymenty genetyczne.

Przeciskając się między barierkami, poczułam lekki zapach obory. Pomiędzy głowami publiczności dojrzałam arenę wysypaną trocinami. Podeszłam bliżej i stanęłam oko w oko z wielkim rudym bykiem łypiącym niespokojnie na boki. Właściciel trzymał go na uwięzi wzmocnionej prętem, przyczepionej do kółka przewleczonego przez nozdrza. Kolejne zwierzęta wprowadzano już na arenę. Wszystkie były podobnej barwy i wszystkie opatrzone numerami, a różniły się jedynie wiekiem i rozmiarami.

Zrozumiałam, że trafiłam na konkurs piękności.

Nigdy dotąd nie widziałam tak wielkich żywych stworzeń. Potężne góry mięsa zakończone rogami przesuwwały się wolno za barierkami, idąc posłusznie za swoimi opiekunami.

— Hej, Jasiu, a twój już tak ułożony? — zakrzyknął ktoś z publiczności do chłopaka, który prowadził byka na skórzanej uwięzi bez asekuracyjnego pręta.

Jasiu uśmiechnął się skromnie i z godnością, jak doświadczony ujeżdżacz dzikich koni z westernu.

Dwa spośród byków spoglądały na siebie podejrzliwie, wykręcały głowy i wyłamywały się z szyku, i najwyraźniej przygotowywały się do działań zaczepnych. Struchlałam i szybkim spojrzeniem sprawdziłam, z czego właściwie zrobione są barierki oddzielające ring od publiczności. Nie wyglądały zbyt pewnie. Wtedy opiekun jednego z rywali powiedział miłym, spokojnym głosem do sąsiada:

— Boczą się! Lepiej je rozdzielmy.

Tamten kiwnął głową i odszedł na bok, aby zyskać na odległości, zaś mężczyzna o miłym głosie powiedział do swego byka:

— Nie bój się! No chodź, idziemy.

I potwór, który mógłby go zabić jednym ruchem wielkiego łba, poszedł za nim jak pudełek na smyczy.

Byki krążyły w kółko, ich mięśnie drgały jak napięte sprężyny i czułam, że za chwilę dojdzie do rozlewu krwi. Tymczasem w samym środku areny stało spokojnie dwóch mężczyzn z notatnikami w rękach i jedna kobieta, najprawdopodobniej tłumaczka. Ze swobodą ludzi oglądających wystawę papużek komentowali okrażające ich zwierzęta i zapisywali coś w zeszytach.

— Proszę państwa, dzisiaj sędziuje dwóch ekspertów, jeden przedstawiciel Polski i jeden Francji — mówił komentator konkursu, stojąc w trocinach.
— Widzimy tu jedną z najpiękniejszych ras, która

ostatnio zyskuje w naszym kraju coraz większą popularność. Jak można zauważyć, byki reprezentują różne kategorie wiekowe — są wśród nich młode buhaje, które jeszcze, powiedzmy to tak, nie rozpoczęły życia seksualnego, ale są i doświadczeni reproduktorzy, dający doskonałe potomstwo.

Publiczność z uznaniem patrzyła na zawodników. Zorientowałam się, że jestem jedyną przypadkową osobą w tym gronie. Sędziowie nadal rozmawiali między sobą, byki defilowały, a komentator przypominał, że najważniejsze jest dobre umięśnienie, a zwłaszcza silne tylne nogi, umożliwiające odbycie wielu skutecznych aktów kopulacyjnych.

Rzuciłam jeszcze ostatnie spojrzenie na młodego byczka, który wyglądał na gimnazjalistę za ledwie, i na wielkiego byka przypominającego mi jednego z naszych przywódców związkowych, i zaczęłam zbierać się do wyjścia. Ruszyłam w tę stronę hali, z której dochodziło beczenie kóz. Jeszcze w ostatniej chwili usłyszałam, że sędziowie podają właśnie punktację i miejsca zajęte przez buhaje, zupełnie jak na Turnieju Tańca Towarzyskiego.

Kozy, mimo że pięknie kasztanowe z czarnymi bródkami, roztaczały wokół swój kozi zapach, a owce patrzyły wzrokiem pozbawionym głębszej myśli. Wyszłam na zewnątrz i po kilku minutach odnalazłam w końcu halę z szynszylami. Małe zwierzątka spały w drucianych klatkach, zwinięte w szarosrebrzyste lub mlecznobeżowe, puszyste kulki. I najwyraźniej w ogóle nie znały celu swojego życia.

Tak jakby ktoś znał, pomyślałam sobie, idąc już do głównego wyjścia. Szukałam okularów przeciwsłonecznych w torebce, kiedy znowu ujrzałam Cza-

plę. Tym razem niósł już pięć drzewek, a jego towarzysza dźwigała siatkę, z której wystawały bujne liście paproci.

Natychmiast chcę iść do domu, na Pakulską, natychmiast muszę pogłaskać Tuniaczka, myślałam w panice. Ruszyłam w kierunku parkingu, dopadłam samochodu i z piskiem opon wyjechałam na ulicę, w ostatniej chwili omijając drzewo.

Czas, czas, tylko czas może nas uratować, mówiłam do siebie monotonnie, jakbym powtarzała zaklęcie. Potrzebny jest czas.

Siedziałam na łóżku, w piżamie, rozczochrana, z kołdrą podciągniętą pod brodę. Wokół mnie przechadzali się i siedzieli na krzesłach wizytowo ubrani goście, także koleżanka ze studiów, której nie widziałam od dwudziestu lat. Piła kawę i patrzyła na mnie niecierpliwie, bo przecież wszyscy się dokądś śpieszyliśmy, ale nie pamiętałam, dokąd.

Nagle głośno zaterkotał biały, przedwojenny telefon wiszący na ścianie koło łóżka. Podniosłam wielką, ciężką słuchawkę:

— Słucham — powiedziałam zaspanym głosem.

— Dlaczego do mnie już nie przyjeżdżasz? Proszę cię, przyjeźdź, kochanie. Jestem na miejscu — usłyszałam zachrypnięty, zmęczony głos Starego Doktora.

— Ale ja nie mogę — wyjąkałam przerażona. — Mam gości, a Natalia musi iść do szkoły.

— Kochanie moje, proszę cię, proszę — jego głos przedzierał się poprzez szumy i wiatr.

— Później, zadzwonię później!

— Teraz, proszę, czekam! — głos był coraz słabszy.

Odłożyłam słuchawkę. Ktoś powiedział:

— No, teraz idę na nabożeństwo.

— A kto dzwonił? — spytała koleżanka, siorbiąc kawę.

— Ktoś, kto od wielu lat już nie żyje — odpowiedziałam, trzęsąc się na łożku.

Ten dygot mnie obudził. Zerwałam się i zapaliłam lampę. Zdziwiona kocica zsunęła się niechętnie z poduszki, tak samo zaspana jak ja.

Boże, czy ja coś źle robię? Dlaczego Stary Doktor mnie straszy, on, który wyścielił z dywanów cały trakt, abym nie dotykała gołymi stopami zimnej podłogi w drodze do łazienki. Czyżby mu tam było źle? To niemożliwe. Na pewno spotkał już tę dziewczynę z młodych lat, zabił ją w Oświęcimiu, za którą tęsknił całe życie. Ja byłam tylko deserem na pożegnanie, jak kieliszek koniaku przed podróżą. Może chce mi coś powiedzieć, a ja nie rozumiem?

Poszłam do kuchni i zrobiłam sobie herbatę. Tunia przyszła za mną i popatrywała ciekawie. Była piąta rano, drzewa za oknami szumiały niespokojnie, a włóczęga hałaśliwie przegarniał śmieci w poszukiwaniu puszek i butelek. Jego szary, chudy pies czekał cierpliwie, kiedy ruszą dalej w swoją codzienną trasę przez osiedla.

Usiadłam i piłam herbatę. Kocica wskoczyła mi na kolana i umościła się do snu. Z jej ciepłego ciała emanował spokój i niezmacona pewność, że teraz trzeba spać. Pogłaskałam ją po grzbiecie. Doktorze, co ja mam robić, przecież zawsze to wiedziałeś, patrząc na mnie przez swoje złote okulary, z papierosem w smukłych palcach chirurga.

Za oknem zrobiło się cicho. Pies i jego pan oddalali się razem ze swym starym, dziecięcym wóz-

kiem, załadowanym żelastwem. Na śmietnikowym murku siedział wielki biały kot w czarne łaty i patrzył przed siebie.

Lście rozrośniętej paproci lekko kłuły mnie w plecy, ale postanowiłam nie zwracać na to uwagi.

— Bo wiesz, w pewnym wieku mężowie twoich przyjaciółek rozglądają się za świeżym mięsem. Bardzo kochają swoją żonę, ale jakby tak coś, to czemu nie. Są samochody, pieniądze, działka, dzieci w okolicach matury i tylko ta jednostajność czasem męczy — powiedziałam.

— A ty, jako kobieta samotna, właściwie jesteś pod ręką, zwłaszcza że taka sympatyczna! — dodała Ania.

— No właśnie. Szczególnie latem, kiedy żona z dziećmi wyjeżdża na wakacje, a mąż musi jeszcze ten tydzień zostać. Dzwoni do wspólnej koleżanki albo radośnie spotyka ją nagle na ulicy.

— On jest bardzo miły i uwodzicielski, ty czujesz się głupio i nielojalnie. On przypuszcza atak, ty udajesz, że nie rozumiesz. On zaprasza na drinka, ten jeden, wieczorny kieliszek, pogadamy sobie jak dawniej, ty mówisz, że jesteś zmęczona i wzięłaś pracę do domu. — Ania bezradnie rozłożyła ręce.

— Odmawiasz, rozstajecie się. On ma wyraz twarzy chłopca, któremu odebrano obiecany wcześniej samolocik. — Zrobiłam smutną minę.

— A ty po kilku miesiącach albo latach dowiadujesz się, że prawdopodobnie jesteś lesbijką, bo nie śpisz z facetami!

— No chyba, że ulegniesz. Wtedy dowiesz się po czasie, że jesteś niewyżyta starą babą, która się puszcza i rozbija cudze małżeństwa.

— Jak nie urok, to sraczka — Ania wzruszyła ramionami. — Głupie to wszystko, i ciągle to samo!

Piłyśmy herbatę.

Za kuchennym oknem kołysała się czereśnia. W mieszkaniu Ani panowała cisza i porządek. Grube ściany starej kamienicy tak szczelnie chroniły przed hałasem, że czułam się jak na bezludnej wyspie. Kot nie zamruczał, mól nie przeleciał, czysto i schludnie. Ania wygładziła serwetę pulchną ręką i powiedziała:

— A wiesz, chciałam cię prosić, to znaczy, czy mogłabyś pojutrze zawieźć mnie do szpitala?

— Do szpitala? Co się stało?

— Dwa tygodnie temu wyczułam coś twardego w piersi, takie okrągłe. Poszłam do lekarza, zbadał mnie, wysłał na biopsję, no i już. Mam guza, muszę być natychmiast operowana, i prawdopodobnie stracę całą pierś — zatrzęsała się jej broda.

Siedziałam wbita w krzesło. No proszę. Moja najlepsza koleżanka, która zawsze troszczyła się o wszystkich dookoła, właśnie dostaje zapłatę za dobroć. Pięknie. Pięknie i ślicznie. Ostatni będą pierwszymi, oczywiście.

— Jasne, że cię zawiozę — powiedziałam. — Ale czy to pewne, że akurat całą pierś, może to nie będzie konieczne?

— Będzie konieczne, wiem o tym. Tak mi powiedzieli.

— A Zbyszek?

— Co Zbyszek?

— Czy mówiłaś mu o tym, a właściwie... to on powinien cię odwieźć, zawsze cię wszędzie wozi, nie

mówię tego z lenistwa, ale w końcu jesteście ze sobą tyle lat? — spytałam głupio.

— Powiedziałam mu, oczywiście. — Jej twarz była szara i martwa.

— No i?

— Okazało się, że właśnie wyjeżdża na delegację. I od tamtego dnia już nie zadzwonił.

Utkwiłam wzrok w czereśni. Kołysała się nadal, a łagodne poddmuchy popołudniowego wiatru przeczesywały jej liście. Na gałęzi siedział gołąb i wpatrywał się w nasze okno. Pewnie czekał na podwieczorek, który zwykle dostawał o tej porze.

— A najgorsze jest to, że najlepsze z całego mojego ciała to właśnie piersi! Dlaczego wszystko muszę tracić? Przecież i tak nie mam zbyt dużo, naprawdę — mówiła cichym, zrezygnowanym głosem. — Czy ja coś zrobiłam strasznego, że to mnie spotyka, jedno po drugim?

Przypomniało mi się, jak kiedyś powiedziała mi w tajemnicy, że Zbyszek uwielbia jej piersi, że dotyka ich całą noc. I że to z latami nie mija.

Wychodziłam od niej z ciężkim sercem.

Omówiliśmy, co trzeba spakować do szpitala, co i kiedy przynosić, i kiedy będzie wracać. No i miałam podlewać kwiaty, bo brat Ani mieszkał poza Poznaniem i zawsze zapominał, co i jak podlać, a nawet klucze potrafił zgubić.

Koniec października, początek szarugi. Ulica połyskiwała od zimnego deszczu, krople przelatywały ukosem w świetle latarni, błyszcząc jak szklane koraliki. Ludzie pod parasolami kulili się niecierpliwie, poganiając swoje psy, które wyszły na ostatnie siusianie. Samochody szybko startowały spod świateł na skrzyżowaniach, ledwo ukazało się żół-

te. Jedenasta wieczór, godzina powrotów do ciepłego domu.

Żyłam wśród samotnych kobiet, chorób i śmierci. Jak parias oddzielony niewidzialną szybą od świata żywych. Gdzieś obok życie kipiało kolorową falą, a tutaj boleśnie i ciężko obracały się tryby wielkiego mrowiska. To dzięki nam, śmiesznym i koślawym mrówkom, powstawał cudzy świat blasku i powodzenia. Byłyśmy mięsem armatnim, szarą gliną, budulcem ładu. To na nas, na pożytecznej samotności wdów, ciotek, sióstr i nauczycielek, żerował system, a może i cały glob.

My, getto mrówek, kasta pariasów. Naiwne i niezgrabne, w niemodnych butach, z tanią torebką w ręce. Zbyt późno rozumiejące, na czym polega wyścig i polowanie.

Tego wieczoru znowu obejrzałam *Amelię* z Audrey Tatou i znowu płakałam. Taka stara i tak płacze. Dobrze, że nikt o tym nie wie.

Trzeba chodzić w masce, kto to powiedział, nie pamiętam.

Podobno osobniki przekraczające czterdziesty rok życia nie są już przeznaczone do reprodukcji i dlatego naturze nie zależy na utrzymaniu ich w dobrej formie. Po czterdziestce ludzkie ciało zaczyna chylić się ku upadkowi, coraz częściej się psuje i rozłazi na boki, i jest to zgodne z planem biologicznym.

Tej jesieni czułam wyraźnie, że zmierzam donikąd. Widziałam wokół siebie wiele szczęśliwych par i dobrych rodzin, i coraz bardziej stawałam się na ich tle dziwna i niestosowna, jak źle skrojony but

odrzucony na stertę braków. Kiedyś miałam nadzieję, że można przyzwyczać się do samotności, ale teraz już wiedziałam, że nie można. Jest jak rak, który pożera cię po kawałku i bez znieczulenia. I nie pomoże makijaż. Nawet najlepszy tusz nie ożywi oczu.

Przyszedł listopad z całą swoją zimną zgnilizną. Śmietnikowe koty szukały schronienia pod maskami samochodów, pijacy starali się przedostać na ogrzewane klatki schodowe. Wychudzona córka dozorczyńni znowu była w ciąży i znowu nie wiedziała, z kim. Coraz więcej ludzi żebrało na parkingach przed supermarketami. W Czeczenii nadal mordowano, a śmiertelnie chory papież usiłował odczytać niedzielną homilię. W piśmie dla kobiet doradzano, jak osiągnąć 112 orgazmów w jedną noc bez specjalnego uszczerbku dla fryzury, bo przecież cały czas masz pod ręką lakier firmy MamboSambo. I ten nowy telefon, musisz go mieć!

Gdzie jesteś, zgubiony czasie, gdzie jesteś, dawny świecie? Jak zdołam przebrnąć kolejne czterdzieści lat, skoro ciało mnie zawodzi, a serce wysycha?

Czy nie można umrzeć wcześniej? Czy muszę zostać jedną z tych starych kobiet, o wygiętych ku dołowi ustach, z twarzami zrytymi rozczarowaniem? Widzę je codziennie, gdy patrzą przez szyby autobusu, nieruchome jak figury z wosku. Niektóre mają domalowane brwi i usta, które czasami obsuwają się z twarzy. Wszystkie swoje skarby wożą w małych torebeczkach i siatce, przytrzymując je żyłastymi rękami. Najgorzej jest w czasie deszczu, bo wtedy trzeba jeszcze utrzymać parasol. I dodatkowo bilet między palcami, na wypadek kontroli.

Nawet nie zauważyłam, kiedy zapadł zmrok. Jak to jesienią. Szaro, szaro i nagle ciemno. Znicz palił się słabo, nie dawał takiego ciepłego blasku jak dawniejsze świece. Rozejrzałam się wokół, po sąsiednich alejkach, i przeszedł mnie lekki dreszcz. Nikogo już nie było. Ludzie, którzy jeszcze niedawno sprząтали groby, zniknęli, a od strony lasu napływała mgła. Krzaki poruszały się niespokojnie i szeleściły, jakby ktoś między nimi się skradał. Coś przebiegło niedaleko, i zastygłam ze strachu. Po chwili wiatr przywiał foliową reklamówkę, która kulała się jak żywe zwierzątko.

Szybko ruszyłam do wyjścia. Staralam się iść w miarę spokojnie, ale nogi same przyśpieszały, aby jak najprędzej dotrzeć do jasno oświetlonej ulicy, tramwaju i potoku samochodów.

W okolicach Alei Zasłużonych poczułam, że ktoś za mną idzie. Początkowo było to jedynie niejasne wrażenie, ale po chwili już wyraźnie słyszałam zgrzyt butów na żwirze i rytm kroków dostosowujący się do mojego tempa. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Przypomniały mi się opowieści o bandytach, którzy grasują na wielkich miejskich cmentarzach, napadają kobiety, wrywają torebki, a nawet biją.

Jeśli teraz zacznę biec, to on też ruszy, a wtedy nie zdążę, myślałam gorączkowo. Na razie będę udawać, że nic nie zauważyłam, a dopiero bliżej bra-

my rzucę się do ucieczki i wypadnę na ulicę. Staralam się iść spokojnie, ale bandyta przyśpieszył kroku. Wiedziałam, że już nie zdążę.

— Halo, proszę pani! — zawołał męski głos.

A to podła świnią, pewnie chce mnie zapytać o godzinę i łomem w łeb. Jeśli teraz zajdzie mnie od tyłu, koniec, nie mam szans. Muszę się odwrócić, wtedy w razie czego kopnę go w krocze. Gdybym choć miała w kieszeni długopis, niestety, nie miałam żadnej broni.

Całą siłą woli zatrzymałam się i odwróciłam. Stał już metr ode mnie i mówił:

— O, przepraszam bardzo, nie chciałem pani przestraszyć! Ja tylko chciałem zapytać, czy... czy znalazła pani w końcu to łóżko?

— Znalazłam — odpowiedziałam drżącym głosem, łapiąc oddech. To był Czapła.

— Strasznie pani blada, no głupek ze mnie, tak panią napadłem — zmieszał się.

— No właśnie, myślałam, że jest pan cmentarnym bandytą — przytaknęłam zdyszana. I tu przez głowę przeszła mi okropna myśl, że przecież bandyta też może kupować podkłady dla chorych. Czulałam, że trzęsą mi się usta i broda. W jego oczach zaświeciły się iskierki.

— Mhm, nigdy nie pomyślałem o takim fachu. Jestem tylko informatykiem. Powiedział i zaraz dodał: — Zimno pani, chodźmy szybko, naprawdę przepraszam. Ja już zauważyłem panią przy grobie, zanim się ściemniło, ale nie chciałem przeszkadzać, i teraz pomyślałem, że podejść.

— Tak, chodźmy na parking — powiedziałałam, aby zyskać na czasie. Poszliśmy w kierunku światła, znaleźliśmy się blisko ulicy i zaparkowa-

nych samochodów. Zatrzymaliśmy się, dygot trochę się uspokoił. Podniosłam głowę, Czapla patrzył na mnie ciemnymi, ciepłymi oczami, i dopiero teraz zauważyłam, że ma wyrazisty, garbaty nos z charakterem, a na policzku bliznę. Pewnie wypadek samochodowy, pomyślałam.

— Byłem na grobie ojca, zmarł pod koniec sierpnia.

— A ja u mamy, zmarła we wrześniu.

Patrzyliśmy na siebie bezradnie. Szumiały topole, przejechał tramwaj. Nie miał szalika, widziałam wyraźnie jego szyję wychylającą się z czarnej kurtki i to miejsce poniżej ucha, które u mężczyzn tak ciepło pulsuje.

— Zapraszam na herbatę, jedźmy do centrum — powiedział.

A młoda żonka to pies? — pomyślałam ze złością.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł — odpowiedziałam.

— Bardzo dobry. Chyba że nadal mnie pani podejrzewa.

Poniekąd, pomyślałam sobie. Z drugiej strony, niewiele chodzi po świecie tak pięknych nosów. A w ogóle jest zimno i chętnie usiadłabym w ciepłej kawiarni, i jeszcze trochę bym sobie na niego popatrzyła, nic więcej.

— W pewnym stopniu. Ale herbatka to dobra rzecz. — Uśmiechnęłam się słabo. I spytałam: — To dokąd pojedziemy?

— Jeszcze nie wiem, ale niech pani jedzie za mną, coś znajdę!

Rozeszliśmy się do swoich samochodów. Czułam ulgę. Po raz pierwszy od wielu miesięcy niczego nie musiałam wymyślać ani organizować. Po prostu na-

leżało jechać za przewodnikiem i nie zgubić go w jakimś zaułku. A gdyby przestało mi się to podobać, zawsze mogę oddalić się w nieznanym kierunku. Tak lubię, pomyślałam.

Czapla wyjechał ciemnym, dużym samochodem, zamrugał światłami awaryjnymi i poczekał, aż się za nim ustawię. Ruszyliśmy w stronę miasta. Czułam się jak dziecko prowadzone za rękę, a trochę jak zabawka ciągnięta na sznurku. Cokolwiek by o tym powiedzieć, czułam się dobrze.

Jechałam sobie za kompletnie nie znanym mi człowiekiem, aby wypić z nim herbatę i podziwiać skrycie nos, starając się zarazem nie myśleć o jego żonie. Wydawało mi się, że doszłam już do kresu wytrzymałości i muszę zrobić dla siebie coś miłego, bo w przeciwnym wypadku wybuchnę jak bomba, raniąc wszystkich dookoła.

Przesuwaliśmy się pod latarniami w całej kawkadzie wieczornych samochodów. Czapla jechał tak ostrożnie, jakby holował przyczepę wyładowaną szklankami. Z ulicy Solnej skręcił w Dominikańską. Zaparkowaliśmy.

— Tu blisko jest kawiarnia z bardzo wygodnymi fotelami, w piwnicy. Zapraszam. — I dodał: — I chciałbym się przedstawić, Marek Stoiński.

— Joanna Maler.

Podaliśmy mu rękę, która na chwilę zginęła w jego dużej, ciepłej dłoni. Było mi w niej bardzo wygodnie i jakoś tak wszystko pasowało. Po nieco zbyt długim czasie cofnęłam rękę i wsunęłam do kieszeni.

— Ma pani chłodne ręce, chodźmy! — powiedział Czapla.

Krętymi schodkami zeszliśmy do podziemi. W okrągłych fotelach, w blasku świeczek siedziało

pełno ludzi i tylko w kącie pod ceglana ścianą pozostał jeden wolny stolik. Czapla odebrał ode mnie płaszcz, usiadłam. To była moja ulubiona kawiarnia. Z głośnika sączył się cichy blues. Komórki nie miały tutaj zasięgu.

Patrzyłam, jak Czapla zdejmuje kurtkę i razem z moim płaszczem wiesz troskliwie na stojaku. Odwrócił się przodem i spod tweedowej marynarki wyjrzała szara gładka koszula. Szedł do mnie z uśmiechem, duży i spokojny, szukając czegoś w bocznej kieszeni.

— Wygodnie? — spytał.

— Bardzo.

— Ciepło?

— Tak! — roześmiałam się po raz pierwszy tego wieczoru.

— No to w porządku! — I na sekundę objął mnie spojrzeniem, jakim nie powinien patrzeć żonaty mężczyzna.

Usiadł i rozejrzał się w poszukiwaniu kelnerki. Młoda, szczupła brunetka podeszła do nas, zapaliła świeczkę na stoliku i podała karty. Pograżyliśmy się w lekturze.

— Szkoda, że jesteśmy samochodami, bo przydałby się koniak.

— No właśnie! — przytaknęłam.

— To może innym razem.

Trochę się spłoszyłam. Facio planuje skok w bok. Na chybił trafił wybrałam herbatę Earl Grey i jabłecznik z bitą śmietaną, Czapla wolał sernik i kawę.

Rozmawialiśmy sobie spokojnie o wszystkim, przeskakując z tematu na temat, jak z kamienia na kamień w ciepłym jeziorze. Obejmując rękoma go-

racą filiżankę patrzyłam na niego, słuchałam i czułam się bezpiecznie. Jakbym wracała do domu.

No proszę, jak łatwo omamić wymęczoną babę, pomyślałam zjadliwie. Kawałek tweedowej marynarki i od razu kiełbie we łbie.

— Po śmierci żony, pięć lat temu, zostaliśmy z córką sami. Akurat zdawała maturę, więc to był ciężki okres. Wpadła w depresję. Wtedy zamieszkał z nami mój ojciec i jakoś się ułożyło. Ale rok temu zachorował i wiedzieliśmy, że to koniec. Ostatnie miesiące były straszne. Zresztą sama pani wie, jak to jest.

— Wiem — powiedziałam.

— Mój ojciec umierał w bólach, nic nie mogliśmy zrobić. Znieczulenie już nie działało.

— U mamy jakoś działało, chociaż też nie zawsze. Ale i tak cały czas się modliłam, żeby mama zmarła we śnie, żeby nie wymiotowała własnymi płucami. I tak się stało. Wyszłam na chwilę do kuchni, zadzwonił telefon, zamieniłam parę słów z ciotką i wróciłam do mamy. Nie żyła.

Zapadło milczenie. Po chwili spytał:

— I jak teraz sobie pani radzi?

— Dużo pracuję. I muszę zająć się ojcem, bo jest kompletnie rozbity. Byli ze sobą pięćdziesiąt lat. A on nie wierzy w życie po życiu i myśli, że to już koniec wszystkiego.

— Mnie też córka postawiła na nogi. Nawet zaciągnęła mnie ostatnio na Polagrę i zmusiła do kupienia nowych drzewek do ogrodu. I targałem te drzewka jak jakiś szalony gajowy, czego się nie robi dla dziecka! — uśmiechnął się Czapla.

Dla dziecka. Mój Boże, to było jego dziecko! Żołądek podskoczył mi do gardła. Musiałam złapać się fotela, żeby utrzymać równowagę.

— A ile lat ma córka? — spytałam.

— Dwadzieścia trzy. Od roku mieszka ze znajomymi w kamienicy przy Starym Rynku, ja bym tam nawet za karę nie chciał mieszkać, ale oni są szczęśliwi. Hałas i imprezy, same puby, a ona mówi: Tato, serce miasta, czuję, że żyję!

— No tak, oni myślą, że jak jest cicho, to nic się nie dzieje — powiedziałam, przypominając sobie narzekania Natalii.

— Ma pani dzieci?

— Nie, tylko siostrzenicę, ale jestem z nią bardzo zżyta — stwierdziłam, że nie powiem mu na razie o kocie. Jeszcze pomyśli, że jestem zidiociałą starą panną i co drugą sobotę latam na miotle.

Znowu zamieszał kawę. Patrzyłam na jego duże, silne ręce, których ciepło jeszcze czułam na swoich. Spod rękawa marynarki przesuwiał się ku dłoni prosty, elegancki zegarek na czarnym, skórzanym pasku. Podniósł głowę znad filiżanki i powiedział:

— Widziałem panią na Polagrze, na pokazie buhajów. Była pani przerażona, prawda?

— Pierwszy raz w życiu widziałam takie góry mięsa!

— Chciałem podejść, ale córka ciągnęła mnie do pawilonu z koźmi. Pomyliliśmy hale.

— Ja też, szukałam szynszyli.

— Czy mogę zapalić? — spytał nagle.

— Proszę. Ja też ostatnio wróciłam do papierosów — przyznałam się niechętnie. Wydobyliśmy z ukrycia swoje paczki i zapaliliśmy z przyjemnością, a także z poczuciem winy. Dym unosił się pomiędzy nami siwymi zygzakami i siedzieliśmy sobie zgodnie jak para recydywistów. Armstrong śpie-

wał niespiesznie swoją chrypliwą piosenkę, młodzi ludzie obok nas podnieśli się od stolika i wyszli.

— A... w domu pewnie wszyscy czekają, kiedy pani wróci? — spytał Czapla.

Spojrzałam mu prosto w twarz i powiedziałam spokojnie (raz kozie śmierć):

— Nie. Tylko kot.

— Lubię koty — powiedział równie spokojnie i powoli.

Patrzyliśmy na siebie poprzez dym i światło świeczki. Widziałam jego piękną, męską twarz, zupełnie niepodobną do modeli reklamujących dżinsy. I czułam, jakby mnie dotykał oczami. Człowieku, nie patrz tak na mnie, bo za chwilę ci się rzucę na szyję. Piersi mi pęczniały i rozpychały stanik. A przecież myślałam, że już wszystko we mnie umarło, jak u zombie. Ręka mi zdrząła, zaczęłam gasić papierosa w popielniczce. Muszę uciekać, pomyślałam w panice. Spojrzałam na zegarek.

— Och, nie wiedziałam, że już tak późno — wymamrotałam.

— Nie, dopiero jedenasta.

— Ale ja... rzeczywiście musiałabym już iść do domu.

Spojrzał na mnie uważnie i po chwili powiedział:

— Oczywiście, dobrze. Odwiozę panią. — I dodał: — A czy mogłaby mi pani mówić po imieniu?

— Tak, i odwrotnie — plątałam się.

— Chodźmy — uśmiechnął się.

Zapłacił i przyniósł okrycia. Stał za mną i podawał mi płaszcz, czułam za sobą jego duże, ciepłe ciało pewne jak mur obronny i pragnęłam, aby mnie objął. Nałożył swoją kurtkę i z wewnętrznej

kieszeni wyciągnął wizytówkę. Podał mi ją i powiedział:

— A to dla pewności, że nie jestem hieną cmentarną.

Uśmiechnęłam się, dałam mu swoją i poszliśmy na parking. Było ciemno i zimno, puste uliczki. Niebo odleciało wysoko, bo czasami wisi tuż nad ziemią, a dziś patrzyło z daleka.

— Masz rękawiczki? — spytał Czapła konkretnie.

— Nie, w samochodzie.

— To włóż drugą rękę do kieszeni — powiedział i ujął moją rękę w swoją. I szliśmy, nic nie mówiąc, jak przeterminowane przedszkolaki, brakowało nam tylko worków na kapcie z naszytymi muchomorkami. Byłam szczęśliwa. I widziałam, gdy czasem spoglądał na mnie, spokój także w jego oczach.

I znowu jechałam za nim. Pod moim domem wysiedliśmy z samochodów, podprowadził mnie do bramy i powiedział:

— Ale następnym razem pojedziemy jednym.

Moje głupie serce poruszyło się mocno.

— Dobrze — odpowiedziałam spokojnie.

— Zadzwonię.

Zbliżył się do mnie, łagodnie ujął za ramiona i pocałował w policzek. Poczułam ciepło jego twarzy i ust, i zapach wody po goleniu, i jego własny zapach. Nie odsuwał się, pocałował mnie jeszcze raz, i wtedy nie wiem jak, trafiłam ustami w to pulsujące miejsce na jego szyi, pomiędzy szczęką a uchem. Całowałam go powoli, jakby przez sen, ręce podniosłam do jego ramion, i czułam już jego wargi na szyi i że mnie mocno obejmuje. Kręciło mi się w głowie i nie wiedziałam, co zrobię za chwilę. Przecież zawsze w takich chwilach kompletnie głu-

pieję. Resztką woli zaczęłam się wycofywać, Czaplą natychmiast się odsunął. Wziął obie moje ręce w swoje, spojrzął na mnie i powiedział zmienionym głosem:

— Mam 48 lat, jestem dorosły. Nie musisz się bać. Nie zrobię nic, czego byś nie chciała.

— Dobrze.

— Jutro zadzwonię. Śpij dobrze!

— Ty też.

Pochylił głowę i pocałował mnie w rękę. Wyprostował się.

— Poczekam, aż wejdiesz do domu. W którym oknie zapalisz światło?

— Tu, z lewej strony. Do widzenia, na razie — powiedziałam, wykonałam nieokreślony ruch ręką przy włosach i weszłam do bramy.

Otworzyłam drzwi do mieszkania. Mój wierny, czarny sfinks leżał wyczekująco dokładnie naprzeciw wejścia. I patrzył zdziwiony, jak biegnę do pokoju, aby zapalić światło. Podeszłam do okna. Czapla stał pod latarnią, zauważył mnie i pomachał ręką. Odwrócił się i poszedł do samochodu. Wsiadł, zapalił światła i wolno wyjechał spomiędzy bloków.

Wzięłam kocicę na ręce i tuląc ją do siebie, powiedziałam:

— Czapla odjechał. Tuniaczku, jaka ja jestem głupia!

Usiadłam i rozpłakałam się. Tym bardziej że wyczułam nowe zasikane miejsce na kanapie. Smrodek niósł się przez cały pokój i wypływał na korytarz.

Tunia siusiała przez sen, w ogóle o tym nie wiedząc.

W końcu wysłałam zaległego maila do Buby.

Kochana Bubo, pytałaś o żeberka, więc piszę.

Przede wszystkim nigdy nie kupuj chudych żeberek, tak jak to ludzie teraz proszą. Kup długi, mięsisty, tłusty pas. Chude żeberka wysmażą się i będą jak skwarka, a w tłustych właśnie tłuszcz nie dopuści do wysuszenia. Umyj i potnij w poprzek na kawałki szerokości około 4 cm, ułóż na talerzu i posyp: solą, pieprzem, imbirem i tymiankiem, przykryte wstaw na godzinę do lodówki. Potem usmaż je na ostrym ogniu (najlepiej w woku) na jakimś tłuszczu, ja biorę Plantę, bo oliwa za bardzo pryska, na złotobrazowy kolor, pod koniec smażenia dodaj pokrojoną cebulę i 1 ząbek zmiążdżonego czosnku. Teraz skrop to wszystko przyprawą do zup w płynie i chińskim sosem grzybowym, posyp majerankiem i wrzuc ok. 7 ziarenek pieprzu. Zamieszaj i przełóż do głębokiego rondla, dolej wrzącej wody tyle, żeby przykryć mięso, przykryj pokrywką i duś na małym ogniu ok. 45 minut lub godzinę, no po prostu żeby były miękkie, ale wieprzowina na szczęście szybko się dusi. Zaciągnij sos mączką kartoflaną, wygląda wtedy jak przezroczysty, gęsty lakier i jest bardzo smaczny. Po wystudzeniu wstaw na noc do lodówki. Żeberka najlepsze są na drugi dzień, gdy się przegryzą!

Oczywiście można zamiast tymianku i majeranku dać kminek, ale to już kwestia gustu...

A co u Was słyhać? Co u Maćkowiaków, kury szaleją? Cieszę się, że Wichłacz romansuje, jak

pisałaś, bo to naprawdę miły człowiek, szczerze mówię :-))

Kiedy będziecie w Poznaniu, stęskniłam się za Wami!

Całuję Was oboje, odezwij się

Joanna

PS 1: Bubo, poznałam kogoś i jestem przerażona, chociaż ma piękny nos i coś takiego w oczach, co mnie rzuca na kolana. Czasem myślę, że jestem na to wszystko za stara i zbyt zgorzkniała. Jak Ci się wydaje, co to będzie?

J.

PS 2: Tunia choruje, weterynarz mówi, że to jakieś zmiany w mózgu, albo nawet guz. Biedny mój stworek, ledwo ją wzięłam z tego śmietnika, musi umierać.

J.

Przyszedł mail od Buby.

Kochana Joasiu,

dzięki za przepis, jutro poszukam tłustego paska!

Bardzo się cieszę, że spotkałaś kogoś z odpowiednim nosem :-))) Oboje z Bolkiem nie uważamy, żebyś była zgorzkniała czy coś w tym rodzaju, wręcz przeciwnie, i czas najwyższy, abyś dobrze trafiła. Przede wszystkim nie martw się na zapas i pamiętaj, że jesteś kochaną osobą i atrakcyjną kobietą (tak uważają także Bolek i Wichłacz).

Mam nadzieję, że poznamy kiedyś tego nosacza?

Będziemy w Poznaniu za jakiś czas, może w przyszłym tygodniu.

Całuję Cię, trzymam kciuki

Buba

PS: Bardzo mi przykro z powodu Tuni, naprawdę, taki miły kot!

PS 1: Kury mają się dobrze, z wyjątkiem jednej, którą Bolek niechcący trafił grabiami i pozostała na placu boju, nieżywa. Bardzo się martwił i rozmyślał, w końcu zapakował zwłoki do koszyka i poszedł do Maćkowiaków z propozycją zapłaty. Atu Maćkowiakowa mówi: Panie Bolku, w gospodarstwie zawsze są straty, jedna kura w tą, jedna w tamtą, nic nie szkodzi. I tak miałam robić na niedzielę rosół! Wzięta kurę, obcięła jej łeb i zawiesiła w piwnicy. Bolkowi kamień spadł z serca, bo obawiał się zerwania do-brosządzkich stosunków.

Pa!

Czapla zadzwonił o dziewiątej rano do biura, spytał, jak się wyspałam i czy moglibyśmy dziś dokończyć tak mile rozpoczętą rozmowę. Słuchałam jego niskiego głosu i nawet przez telefon dochodził mnie jego zapach.

— Nie, niestety dzisiaj nie mogę, bo jest czwartek — powiedziałam, skręcając się z żalu.

— Tak?

— Tak, na dzisiaj jestem umówiona z ojcem, przyjeżdża na kolację.

— A, oczywiście, rozumiem. To może jutro?

— Jutro? Tak, jutro chyba mogłabym.

— To świetnie. Koło ósmej?

— Dobrze. — Przynajmniej odparuję po pracy, pomyślałam.

— Przyjadę po ciebie. Przedtem jeszcze zadzwonię.

— To do jutra.

— Mhm, i chciałem jeszcze powiedzieć, tak przy okazji, bo wiem, że jesteś teraz zajęta, mhm, prawdę mówiąc, jestem pod wrażeniem, jesteś uroczą kobietą — głos miał jeszcze głębszy i trochę ściszony.

Serce podskoczyło mi do gardła i powiedziałam cicho:

— Dziękuję — i nic więcej nie mogłam wydukać.

— Zadzwonię!

— Mhm.

Odłożyłam słuchawkę i spojrzałam w okno. Magda zlustrowała mnie bystrym wzrokiem i spytała:
— Na miłość boską, Joasia, wróciły ci wrzody?!
Ale nie, nie czułam, aby to były wrzody.

— Pamiętaj, moje dziecko, mężczyźni cenią tylko to, o co musieli walczyć. Jeśli dostają coś zbyt łatwo, szybko się nudzą i tracą szacunek. Nigdy się nie śpiesz! Pozwól, aby czekał — powiedziała kiedyś moja mama w czasie kuchennej pogawędki. — To będzie dobre dla was obojga.

Widziałam przed sobą jej łagodną, postarzałą twarz i życzliwe, mądre oczy. Z pewnością miała rację.

Dlatego bez zbytniego pośpiechu dopiero po pracy rzuciłam się do najbliższego sklepu z bielizną. Setka biustonoszy i majtek we wszystkich kolorach tęczy migotała na wieszakach, a ja chciałam przecież tylko jakiś czarny komplet i żeby to broń Boże nie były stringi, no bo wiadomo, cellulitis.

Tych wszystkich gatek było za dużo. Patrzyłam na nie bezradnie i nie wiedziałam, które wybrać. Na szczęście podeszła do mnie ekspedientka w średnim wieku, pachnąca dobrymi perfumami, z dyskretnym makijażem i spytała, czy może mi pomóc.

— O, tak — ucieszyłam się. — Szukam czarnej eleganckiej bielizny, ale jakiejś prostej, no i nie w postaci sznurka.

Spojrzała na mnie uważnie i uśmiechnęła się.

— To znaczy majteczki i staniczek czy razem z koszulką?

— Bez koszulki — powiedziałam niepewnie.

— A, to przejdźmy trochę dalej. — Poprowadziła mnie w głąb sklepu i zaczęła demonstrować kom-

piety. Jednak większość była bardzo wycięta, praktycznie całe pośladki odsłonięte.

— Wie pani, ja nie mam dwudziestu lat, nie mogę się pokazać w takich wycinankach!

— Zapewniam panią, że mężczyźni mają inne zdanie na ten temat — odpowiedziała z błyskiem w oku.

— Mhm, może tak... — zamyśliłam się. — Kiedyś moja koleżanka, a waży ze sto kilo, dostała od swego adoratora właśnie stringi. Mówiła mi, że czuła się jak golonka przewiązana szpagatem, a on był zachwycony!

— Mężczyźni kochają ciało, kochają kobiecość. Reszta to tylko opakowanie — mówiła sprzedawczyni otwierając zestaw, który chciała mi pokazać. Wzięłam do ręki czarne, koronkowe majtki, umiarkowanie wycięte, wąskie i z maleńką kokardką z przodu. Były całkiem niezłe, a stanik podobał mi się jeszcze bardziej. Szczęśliwa, że nie muszę przeglądać setek wzorów, zapłaciłam i podziękowałam tej mądrej kobiecie.

— Miłego dnia! — powiedziała dwuznacznie na pożegnanie.

Byłam pewna, że na swoich zbliżających się do pięćdziesiątki, krągłych biodrach miała superekstrawaganckie stringi ze złotym łańcuszkiem.

Ojciec przyjechał blady i przemarznięty, z siatką w ręce. Był teraz spokojnym, smutnym starszym panem, opuściły go szaleństwo i rozpacz miotające nim podczas choroby mamy.

Usiadł przy kuchennym stole nakrytym do kolacji i powiedział:

— O, zobacz, przywiozłem ci portret mamy, pięknie wyszedł, znalazłem świetnego fotografa. Powiększył stare zdjęcie i proszę! — Wyciągnął z siatki dużą fotografię oprawioną w drewnianą ramkę.

Trzydziestoletnia mama patrzyła łagodnym wzrokiem, z lekkim uśmiechem na ustach. Prosty sweterek w stylu lat sześćdziesiątych ozdabiały grube korale. Tak ją pamiętam, wracającą z pracy i ściskającą nas na powitanie.

— Muszę poszukać dobrego miejsca na ścianie — powiedziałam. — Dziękuję!

Zaparzyła herbatę i zjedliśmy kolację.

— To już dwa miesiące — powiedział ojciec.

— Tak? — spytałam zaskoczona.

— Tak. Ale ty o tym w ogóle nie pamiętasz.

— Pamiętam, tylko ja tego nie rozumiem. Mnie się ciągle wydaje, że mama gdzieś wyjechała i niedługo wróci.

— Nie wróci.

Źle wyglądał i miał katar. Nie wiedziałam, co się wydarzy, jak sobie da radę. Obie z Beatą starałyśmy się bywać u niego i często dzwonić, odwiedzali go też znajomi. Ale w gruncie rzeczy był zupełnie sam, i ciągle porządkował rzeczy i papiery mamy, stare rodzinne zdjęcia i dokumenty, niektóre nawet jeszcze z dziewiętnastego wieku. Raz po raz dzwonił i pytał, czy ma wyrzucić wszystko czy tylko niektóre. A ja ciągle mówiłam: „Nic nie wyrzucaj, nic! Zostaw to dla Natalii”.

— Tutaj masz upoważnienie do banku. Gdybym zachorował albo coś w tym rodzaju, możesz podejmować pieniądze i w ogóle wszystko załatwiać. — Zrozumiałam, że już obmyślił i ułożył cały plan.

Wyjaśnił mi też, że w razie czego nie chce być pochowany w trumnie, tylko skremowany, bo przecież ciało w grobie zgnije, a on woli w proch się obrócić, jak napisano w Biblii. Nawet już widział w zakładzie pogrzebowym ładne urny, ale oczywiście jest mu obojętne, jaki model wybierzemy.

Obejrzelismy Fakty i odwiozłam ojca do domu. Z jednej strony chciał spotykać się z ludźmi, a z drugiej ciągle się spieszył z powrotem. Może myślał, że mama wróciła w czasie jego nieobecności i siedzi tam sama?

Zostawiłam go w wielkim, pustym domu, z kotami tulącymi się do nóg, z zapaloną starą żółtą lampą po dziadku.

Wracałam, deszcz padał, a ja płakałam. Mokry ciemny las przesuwiał się za szybami, przemoczony rowerzysta bez świateł niespodziewanie pojawił się obok mnie. „Człowieku, co robisz!” — krzyknęłam przerażona. Minęliśmy się w ostatniej chwili.

W domu odsłuchiwałam sekretarkę. „Nie zdziw się, jutro oficjalne zwolnienia, i nie jest to wiadomość od Haliny. Do jutra, cześć” — nagrał się Tomek.

Dobrze. Jest dobrze, pomyślałam. Nic, tylko stroić się w czarne stringi.

Dzień był pogodny, lecz zimny. Wszyscy stawiliśmy się punktualnie w pracy, mimo że korki znowu sparaliżowały miasto. Rozcierając ręce, zasiedliśmy za biurkami, woda w czajniku dopiero zaczęła bulgotać.

— I co, coś wiadomo? — spytała Monika.

— Kierownik powiedział, że o dwunastej przychodzi Królik i cały nasz dział ma się zebrać w sali konferencyjnej — objaśniła błada Magda.

— No, no, no! — zdziwił się Tomek. — To jeszcze chcą z nami rozmawiać? To się wyrabia!

— Ciekawe, co powie?

— No i od kiedy jesteśmy bez pracy?

— Ale numer!

— I o to walczyliśmy w Solidarności?! — krzyknęła dramatycznie Halina, załamując ręce.

Gromki śmiech przetoczył się przez pokój.

Zabraliśmy się do normalnych zajęć, ale w powietrzu wisało napięcie.

Przed dwunastą byliśmy już tak wyczerpani nerwowym oczekiwaniem, że z ulgą przyjęliśmy telefon od sekretarki.

Poszliśmy do sali konferencyjnej, ale jakoś nikt nie śmiał wejść pierwszy. Wśród niespokojnych chichotów i niemrawych pogaduszek płynęły nam ostatnie minuty przed spotkaniem. Poprawialiśmy ubrania i fryzury, wyłączaliśmy komórki. W końcu od strony schodów nadszedł Królik, świeżo podpieczony na solarium i z pogodnym uśmiechem na ustach.

— Witam państwa! Zapraszam, zapraszam!

Usiedliśmy wszyscy razem, dwadzieścia osób, i patrzyliśmy na wicedyrektora pytającym wzrokiem. Odchrząknął, uśmiechnął się zgodnie z instrukcją „Techniki negocjacji. Część 1.” i powiedział:

— Drodzy państwo, jak zapewne wszystkim wiadomo, nasza firma przeżywa obecnie okres zasadniczych zmian. Ich celem jest oczywiście poprawa i usprawnienie funkcjonowania, a także dążenie do jak najlepszych wyników ekonomicznych. Dlatego konieczna okazała się daleko idąca restrukturyzacja, w ramach której wiele się zmieni. I tak, między innymi, proponujemy nowy podział zadań, a więc i nowy schemat organizacyjny.

Panowała niezmacona cisza. Królik potoczył wzrokiem po słuchaczach, poprawił się na krześle i mówił dalej:

— Dlatego, proszę państwa, niektóre działy zostaną rozwiązane i na nowo połączone z innymi, a niektóre w ogóle zmieniają swój zakres działania. I właśnie państwa dział jest przewidziany do rozwiązania, zgodnie z przeprowadzonymi przez nas analizami funkcjonalności.

— To kto będzie wykonywał nasze prace? — wywało się Monice.

— Dobre pytanie! — pochwalił Królik z dobroduszną miną podpatrzoną u szkoleniowca z zakresu kształtowania wizerunku. — Za kilka dni wszyscy państwo dostaną wypowiedzenia z powodu likwidacji działu, zaś za dwa tygodnie nowy kierownik zaproponuje niektórym z państwa pracę w nowej strukturze. Myślę, że z wieloma z was nadal będziemy się spotykać, zaś osoby, które nie dostaną żadnej propozycji... no cóż, będą miały problem, nieprawdaż. Ale taki jest współczesny świat, to rynek was zweryfikuje! — zakończył pogodnie.

Siedzieliśmy zupełnie nieruchomo. O takiej wersji wcześniej nie słyszeliśmy.

— Czy są jakieś pytania, bardzo proszę! — spytał Królik. — Ja oczywiście deklaruję daleko idącą pomoc dla osób zwolnionych, które chciałyby przenieść się do innych działów w naszej firmie. Jeśli tylko ich przygotowanie zawodowe na to pozwoli, oczywiście.

Ktoś o coś zapytał, ale prawie nikt nie słyszał odpowiedzi. Byliśmy jak ogłuszeni. Siedzieliśmy niczym zgromadzenie bankrutów, jedni sinozieloni,

inni przeciwnie, z wypiekami na twarzy, rzucając na siebie zaskoczone spojrzenia. Bo co innego słuchać plotek o zwolnieniach, a co innego zostać nagle hurtowo na lodzie. Niektórzy jednak wyglądali bardzo swobodnie i normalnie, i zrozumiałam, że mieli już obiecane nowe, lepsze stanowiska.

Królik opowiadał jeszcze dłuższą chwilę o znakomitych rezultatach, jakich spodziewa się dyrekcja po wprowadzanych zmianach, ale widząc umiarkowane zainteresowanie, powoli zmierzał do zakończenia swej wizyty.

— Dziękuję państwu! Wszystkiego najlepszego! Do widzenia!

I poszedł, już w korytarzu wyjmując komórkę z kieszeni i dzwoniąc pilnie w nie cierpiącej zwłoki sprawie.

W niemal całkowitym milczeniu wróciliśmy do naszego pokoju. Usiedliśmy przy biurkach i patrzyliśmy na siebie tępo. W końcu Magda powiedziała:

— Czyli przez najbliższe dwa tygodnie czekamy na wyrok!

— Na to wygląda. Ciekawe, według jakiego klucza to pójdzie — zastanawiał się Tomek.

— Jak to, no przecież powiedział, rynek nas zwerfykuje! — zaśmiała się Monika.

— Nie, to są niesłychane rzeczy! — żołądkowała się Halina. — To trzeba dać do gazety, a gdzie są związki zawodowe?

— Ty jeszcze wierzysz w związki? Chłopcy są chronieni ustawą o działaczach związkowych i mają cię gdzieś — powiedziałam. — Robię herbatę, podstawić się!

— A widzieliście, że sąsiedni pokój jest w dobrym humorze? — spytał Tomek.

— Masz jakieś wątpliwości? — odezwała się Magda.

— Nie no, skąd, wszystko jasne, aż za bardzo. Trzeba śpiewać w jednym chórze. Ale ja już się tego nie nauczę, zresztą musiałbym wtedy codziennie rzygać w lustro.

— Całe szczęście, że dzisiaj jest piątek — powiedziałam bezsensownie.

— Jasne, teraz można się zamartwiać cały weekend!

A jednak, mimo ciosu w splot słoneczny, jedną nogą byłam cały czas gdzie indziej. Piątek, godzina dwudziesta, spotkanie z Czapłą. To dziś.

Jeszcze tylko mail do Buby.

Kochana Bubo,

właśnie zostałam bezrobotną czterdziesto-trzylatką. Nie wiem, co będzie dalej, dam Ci znać. W Poznaniu zimno i wiatr, chyba mam grypę. Odezwę się za 2 tygodnie, gdy się wyjaśni cała ta sytuacja (niektórych zatrudnią od nowa).

Ucałowania dla Ciebie i Bolka!

Trzymaj za mnie kciuki dziś wieczorem (rozumiesz, NOS).

Joanna

Tkwiłam w korku na Bukowskiej i patrzyłam bezmyślnie na czarne gałęzie drzew chwiejące się na tle szarego, zimnego nieba. Wielki, pręgowany dog ciągnął na smyczy drobną dziewczynę, chcąc jak najszybciej przejść na drugą stronę, na trawnik obsadzony krzewami. Z ciemnoczerwonego budynku starych, pruskich koszar wyszło kilku oficerów ze skórzanymi teczkami i dyskutujących zawzięcie, jakby nie mogli dokończyć rozmowy. Ludzie na przystanku kulili się z zimna, niektórzy usiłowali rozgrzać się papierosami, inni dreptali niespokojnie, trzymając foliowe torby w swoich rękach. Listopad.

Dotarłam do domu dziwnie otępiała. Ijakoś nie cieszyła mnie już wizja spotkania z Czaplą, który zaczynał mi się wydawać postacią z innego świata. Wstawiłam wodę na herbatę i włączyłam radio, akurat czytali wiadomości. Fala pedofilii i dzieciobójstw przetaczała się przez kraj, ojciec Rydzyk trwał w swych okopach, w Łodzi znowu wymalowano antysemickie hasła i swastyki, kibice mordowali się na stadionie, złapano rezydenta Al-Kaidy i wszyscy wszystkich oskarżali o korupcję. Banda rozzuchwalonych parobków trzęsła całym państwem, a prezydent okazał się Ojcem Chrzestnym mafii paliwowej.

Dosyć. Wyłączyłam radio. Idę odsmażyć placki ziemniaczane.

Zazwyczaj placki poprawiały mi humor, ale dziś nie dały rewelacyjnych efektów. Miałam dreszcze i bolała mnie głowa. Najchętniej weszłabym pod kołdrę, z aspiryną, i spała aż do poniedziałku. „Nic to, prysznic postawi nas na nogi!” — powiedziałam do Tuniaczka i nagle zaczęłam szukać mojej eleganckiej bielizny czarnej erotycznej. A gdzie są rajstopy, na miłość boską?!

Grzebiąc się jak mucha w smole dobiłam do wpół do ósmej, wykąpana, wymalowana, wystrojona w jakieś ciemne ubranka i całkiem niezłe butki na obcasie. Byłam wykończona. Marzyłam o spaniu.

Punktualnie o ósmej zadzwonił domofon. Akurat rozmawiałam z Haliną, miała wiadomości z absolutnie pewnych źródeł na temat osób, które już po cichu załatwiły sobie nowy angaż. Przeprosiłam ją, obiecałam, że oddzwonię, i poszłam otworzyć.

Obcasy same niosły mnie przez korytarz. Ujęłam słuchawkę:

— Tak, słucham?

— Dobry wieczór, Marek Stoiński. Jesteś gotowa?

— Cześć. Już schodzę!

— Czekam przy taksówce.

Narzuciłam płaszcz, wzięłam torebkę i powiedziałam:

— Tuniaczku, niedługo wracam.

I zeszłam po schodach.

Pod podwórkowym drzewem, koło bramy, stał Czapla, z nosem jeszcze piękniejszym niż poprzednio, z mocnymi ciemnymi brwiami i uśmiechniętymi oczami, które rozjaśniły się na mój widok. Podszedł do mnie i pocałował w policzek.

— Wzięłem taksówkę, bo wypijemy zaległy koniak.

— A dokąd jedziemy?

— Do klubu z dobrym jedzeniem i muzyką, może być?

— Może.

Wsiedliśmy do taksówki. Chyba oboje czuliśmy się dziwnie na tylnych siedzeniach, bo mimo woli śledziliśmy trasę, światła i znaki drogowe.

— To zboczenie! — powiedział Czapla. — Trudno być nagle pasażerem.

— No właśnie, mam te same objawy.

Siedzieliśmy blisko siebie, niby razem, ale osobno i trochę niezręcznie. Mój płaszcz zsunął się z kolan i błysnęły rajstopy, poczułam na nogach szybkie spojrzenie Czapli.

— W tym klubie bywają różne grupy wiekowe, ale małolaty nie będą nam skakać po plecach.

— O, cieszę się! — westchnęłam ze szczerym uczuciem ulgi i wdzięczności.

— I są wygodne kanapy — ciągnął zachęcająco.

— To cudownie! Dziś miałam taki dzień, że tylko kanapa może mnie uratować.

— No właśnie widzę, że coś jest nie tak.

— O, zdecydowanie.

Właśnie dojechaliśmy. Przy wąskiej, starej uliczce pobłyskiwały w świetle latarni ciemne ciężkie drzwi. Przez grube żółte szyby prześwitywały niewyraźne sylwetki ludzi i płomień świec.

Weszliśmy, oddaliśmy płaszcze i spojrzeliśmy na siebie zaskoczeni. Byliśmy ubrani jak dwie sztuki z jednego kompletu, ciemno, wizytowo, ale bez wydziwiania. Czapla wyglądał pięknie, a w jego zachwyconym spojrzeniu zobaczyłam to samo. Pode-

szłam do lustra i poprawiałam włosy, i widziałam, że obserwuje mnie z uśmiechem. Poczułam, że mam wiotką talię i lekkie, kołyszące się biodra.

Kelner zaprowadził nas do zarezerwowanej kolistej kanapki, przy której stał dwuosobowy stolik. Usiedliśmy jak w dziupli, zacisznej i spokojnej. Na małym podium trzech muzyków grało paryskie melodie pomieszane z jazzem, z akordeonem w roli głównej.

I znowu czytaliśmy menu. Czułam, że ze zmęczenia nic nie przełknę.

— I co wybierasz? — spytał Czapła.

— Nic konkretnego, jakoś nie mogę jeść. Najchętniej kawę i koniak.

— Ale może chociaż jakąś zupę albo krem?

— Nie, nie mogę. Dzisiaj muszę się trochę napić.

— Co się stało?

— Właściwie nic specjalnego — powiedziałam z namysłem. — Zostaliśmy dzisiaj wszyscy zwolnieni, całe dwadzieścia osób. Porządni ludzie i dobrzy fachowcy. Typowe, prawda?

— Tak — powiedział Czapła, patrząc na mnie uważnie. — Bardzo typowe. Restrukturyzacja czy gwałtowny wysyp szwagrów bez przydziału?

— Jedno i drugie.

— To rzeczywiście. Koniak.

Po chwili trzymałam już w ręce pękaty kieliszek i czułam ten mocny, czysty zapach, którego potrzebowałam. Czapła zapalił papierosa i spytał:

— Ale co wam właściwie powiedziano, jeśli oczywiście masz ochotę mówić?

Miałam.

Słowa popłynęły ze mnie jak wezbrana rzeka. On słuchał, kiwał głową, czasem o coś zapytał

i cały czas patrzył spokojnie i ze zrozumieniem, raz po raz jedynie chichocząc złośliwie. W końcu, gdy już wszystko wylałam mu na głowę, do czego przyczyniał się systematycznie sączony koniak, powiedział:

— Paskudna sprawa. Rzeczywiście chamska. Ale wiesz co, myślałem, że to będzie coś znacznie gorszego.

— Gorszego?!

— No na przykład nieuleczalna choroba albo coś w tym rodzaju, coś nieodwracalnego, czego nie można zmienić. A tutaj można wiele zmienić.

— Chyba żartujesz! Gdzie ja po czterdziestce znajdę pracę? — powiedziałam zgnębiona.

— W wielu miejscach. Albo sama zostaniesz pracodawcą.

— Nie, ty naprawdę sobie żartujesz!

— Nie żartuję. Wszystko się ułoży. Jestem starszy od ciebie i wiem, co mówię — zrobił śmieszny minę. — Trzy lata temu przeżyłem to samo i razem z kolegami założyliśmy swoją firmę. W tej chwili nasz dawny szef daje nam od czasu do czasu zlecenia, z którymi jego nowa ekipa nie może sobie poradzić. Koniaku?

— Tak.

Nowe kieliszki pojawiły się na stoliku, połyskując miodowokasztanowo. Teraz dopiero zauważyłam, że pomiędzy nami, w półmroku, spokojnie pali się świeca, muzyka płynie cały czas, ludzie śmieją się i gadają, a kilka par tańczy gdzieś z boku koło fortepianu. Poczułam wielką ulgę i z uśmiechem spojrzałam na Czapłę.

— To jest naprawdę piękne miejsce! — powiedziałam.

— I nieźle grają. Zatańczymy?

— Chętnie — odpowiedziałam niespodziewanie dla samej siebie. Jeszcze godzinę wcześniej wydawało mi się, że ledwo trzymam się na nogach. Teraz czułam się dobrze i lekko.

Odnaleźliśmy trochę wolnego miejsca przy fortepianie, Czapla objął mnie mocno ramieniem. Piosenka Nat King Cole'a kołysała się spokojnie i klasycznie, odporna na przemijanie lat. Wśród dymu, świec i oparów alkoholu wszystko wydawało mi się nierzeczywiste, jakbym bujała się w wielkim hamaku. Twarz Czapli była tak męska i piękna, że prawie czułam ból. Z chwili na chwilę zbliżaliśmy się do siebie coraz bardziej, jakby nie mogąc dłużej znieść dotychczasowego rozłączenia. Trzymał mnie zaborczo, jakby obawiał się, że nagle zniknę, i wodził ustami po moim czole. Położyłam mu rękę na ciepłym karku i wsunęłam palce w jego włosy. Usłyszałam nasze przyśpieszone oddechy i już całowaliśmy się, najpierw delikatnie i nieśmiało, rozpoznając nawzajem swoje wargi, potem mocno i zachłannie, jak ludzie uratowani z „Titanica”. Kręciło mi się w głowie. Czapla przesunął usta w stronę mojego ucha i powiedział cicho:

— Chodźmy stąd.

— Mhm. Dobrze. — Uginały się pode mną nogi.

Ukłony kelnera, czekanie na płaszc, mgła na ulicy, to wszystko płynęło jak na filmie. Czułam ciepłą, silną rękę Czapli wokół mojej dłoni i wiedziałam, że tak właśnie ma być. Czekaliśmy na taksówkę i całowaliśmy się.

— Jak para studenciaków — zamruczał Czapla i przygarnął mnie jeszcze bliżej. — Wiem, że powinienem być dżentelmenem i odwieźć cię do domu,

ale wolałbym, żebyś pojechała ze mną. Co o tym myślisz?

— Nie bądź dżentelmenem — wyszeptałam mu prosto do ucha, pieszcząc je ustami i językiem i lekko chwytając zębami.

Podróż wydawała mi się bardzo długa. Jako ludzie starej daty nie całowaliśmy się w taksówce, jednak ręka Czapli znalazła pod płaszczem drogę do mojego uda, i już wiedziałam, że tracę rozum. Taksówkarz zaczął drażnić temat pogody, bo podobno wcześniej ma przyjść śnieg, i Czapla z zimną krwią uprzejmie z nim konwersował.

Zatrzymaliśmy się przed wielką secesyjną kamienicą na Łazarzu. Było już po pierwszej, tylko w jednym oknie paliło się światło.

— Tutaj mieszkam — powiedział Czapla.

Staliśmy na chodniku przed wielką czarną bramą. Taksówka odjechała, ulica była ciemna i pusta. I wtedy poczułam wyraźnie, że zaczynam się bać, no bo przecież w ogóle nie wiem, gdzie jestem i nie znam tego człowieka. Szybko myślałam, co zrobić dalej, ale już szliśmy po szerokich, drewnianych schodach obramowanych rzeźbionymi poręczami. Na każdej kondygnacji zauważyłam tylko dwoje szerokich, dwuskrzydłowych drzwi, czyli że mieszkania musiały być wielkie i przestronne, jak to dawniej budowano. Z pewnością sąsiedzi nic by nie słyszeli, choćby nawet ktoś kogoś mordował albo i kroił kawałek po kawałku. A samotni mężczyźni często przecież wariują i stają się maniakami seksualnymi.

— Drugie piętro, to tutaj. — Czapla otworzył kluczem drzwi.

Weszliśmy i usłyszałam za sobą zgrzyt przekreślonych zamków. Boże, jaka ja jestem głupia, żeby

się tak wpakować, z drugiego piętra to nawet nie można oknem wyskoczyć. Spojrzałam podejrzliwie na pana Stoińskiego (jeśli to prawdziwe nazwisko, oczywiście), który właśnie ujmował mnie za ramiona i pytał:

— Źle się czujesz?

— Nnie — wyjąkałam. — Jestem tylko... zmęczona.

Przyjrzał mi się i powiedział:

— Nie bój się. Nie zdieram skóry z kobiet i nie szyję sobie z niej garniturów. W każdej chwili możesz wyjść, jeśli zechcesz. Zapraszam.

Zdjął ze mnie płaszcz i razem ze swoją kurtką powiesił koło wielkiego ciężkiego lustra, o które oparty był, niespodziewanie i beztrąsko, rower.

Weszliśmy do dużego pokoju oświetlonego lampą stojącą obok obszernych, głębokich foteli. Ściany nie pokrywały zwłoki pomordowanych żon, lecz ciasto ustawione regały pełne książek. Panował tu miły bezład, jak zwykle u ludzi, którzy czytają kilka rzeczy na raz i nie mają czasu dokończyć. Mhm, to lubię, pomyślałam, ale w tej samej chwili przypomniało mi się, że przecież nawet Pol Pot studiował na Sorbonie, ale jakoś nikogo to przed nim nie uratowało.

Usiadłam w fotelu i próbowałam się uśmiechnąć (jeśli nie wiesz, co zrobić, uśmiechaj się, kobiecie to zawsze przystoi, mawiał Stary Doktor).

— Napijesz się herbaty? — spytał Czaplą.

— Bardzo chętnie.

Zniknął w rozległych korytarzach. No trudno, co ma być, to będzie, pomyślałam. Na razie nie idzie mu piana z ust, nie wydłużają mu się też siekacze. Rozglądałam się po pokoju. Miodowe zasłony prze-

słaniały dwa duże okna, przy których ustawiono jeszcze jedną zapaloną lampę. To jej światło widziałam z ulicy, pomyślałam. Zostawia świecące lampy, żeby nie wracać do pustego, ciemnego domu, przecież ja też tak robię. Nagle usłyszałam bicie dużego, stojącego zegara, którego dotąd nie dostrzegłam w półmroku. Za piętnaście druga, mój Boże, to już noc.

Zauważyłam popielniczkę i zapaliłam papierosa, ale w ogóle mi nie smakował.

Wszedł Czapla z herbatami i koniakiem na tacce i dość niezręcznie zaczął to wszystko rozstawiać na stoliku.

— Czy mogłabym pójść do łazienki? — spytałam.

— Oczywiście, zaprowadzę cię.

W dużej łazience nie zarejestrowałam niczego podejrzanego. Umyłam ręce, palcem przetałam powieki, niestety, niewiele to dało. Widziałam zmęczoną, poszarzałą twarz z oczami pytającymi: „Co ja tutaj robię?”

Gdy wróciłam, wśród herbat i kieliszków stała już mała płonąca świeczka. No proszę, znamy się na sztuce uwodzenia. A z drugiej strony, kobieto, o co ci chodzi? Człowiek stara się jak gimnazjalista na pierwszej randce, a ty podejrzewasz go o kryminalne instynkty.

— Może być Armstrong i mieszanka? — spytał.

— Tak — uśmiechnęłam się zgodnie z instrukcją.

Usiadłam i sięgnęłam po kieliszek. Patrzyłam, jak nastawia płytę, lekko przechylając tę swoją głowę z drapieżnym nosem, jakby chciał od razu usłyszeć czyste dźwięki, i szczupłymi, silnymi palcami coś reguluje w aparacie. Wcześniej zdjął marynar-

kę i lekko rozluźnił krawat. Koszula gładko układała się na szerokich ramionach, a linia kołnierzyka podkreślała szyję i pojawiający się na twarzy wieczorny zarost. Był bardzo męski. Był piękny. Nie mogłam na to nic poradzić.

— A... od jak dawna jesteś sam, to znaczy nie spotykasz się, to znaczy, czy się spotykałeś...

Usiadł w fotelu obok mnie. Armstrong łagodnie pobrzmiwał wśród ciepłych świateł lamp.

— Tak, oczywiście, spotykałem się. Ale jakoś nic z tego nie wyszło.

— To aż niemożliwe. Tyle jest młodych kobiet, i w ogóle — brnęłam głupio.

— No tak, jasne. Próbowałem. One są ładne, miłe i sympatyczne, ale tak na dłuższą metę nie mam o czym z nimi gadać.

— Jak to?

— One są z innego świata. Nie odróżniają McCartneya od Lennona, kiedy widzą kroniki z lat siedemdziesiątych na Wybrzeżu to pytają, czemu Amerykanie nie interweniowali i tak dalej. I nigdy nie szły przez miasto z girlandą papieru toaletowego na ramieniu!

— Tak jak mój kolega z pracy, ma dwadzieścia siedem lat, zachwyca się filmem „Miś”, mówi, że to surrealizm. A jak ja mu tłumaczę, że to sama prawda, to mi nie wierzy — wzdygnęłam się lekko. — Od pierwszych scen tego filmu nie mogę go znieść, tam jest taki moment, babcia klozetowa siedzi w szalecie, w kufajce i kaloszach, i zjada kanapkę z zatłuszczonego papieru. Ściany są tak brudne, że aż mają czarne zacieki. I ja już czuję ten smród, ten wszechogarniający smród, który wtedy wszystko zalewał.

— Właśnie. — Kiwnął głową. — Oni nie znają tego smrodu. Więc czasami trudno się porozumieć.

— Zwłaszcza że nigdy nie chodzili w dwóch tych samych swetrach przez cztery lata, pranych na okrągło.

— Nie posiadali też skórzanej pilotki ani butów sznurowanych typu pionierki — zarechotał Czapla.

— I na pewno nigdy, przenigdy nie jedli czerwonego lizaka w kształcie koguta!

Spojrzelśmy na siebie z uśmiechem.

— Wiesz, kiedyś kupię ci oranżadę w proszku — powiedział.

— Taką do jedzenia oblizanym palcem?

— Tak, właśnie taką!

— Ale przecież tego już nikt nie produkuje.

Odstawił kieliszek, wstał i podszedł do mnie. Pochylił się, ujął mnie za ręce i powiedział cicho:

— Nie szkodzi. Znajdę tę oranżadę. Jesteś piękna. Chodź, zatańczymy.

Wstałam i niepewnie dałam się podprowadzić pod regały. Głos Joe Cockera kołysał nas w zmysłowym rytmie, i znowu silne ramię Czapli obejmowało mnie w talii. Moją rękę przycisnął do swej piersi, lecz już po chwili znalazła się ona na jego szyi, na pulsującym ciepło miejscu poniżej ucha. Policzką ocierałam się o jego szorstką od zarostu twarz i wodziłam po niej ustami. I nie wiem, czy to oranżada czy może czerwony kogucik sprawił, że całowaliśmy się już mocno i bez tchu, przeżeni i szczęśliwi zarazem. Obejmowałam rękoma jego ciemną głowę i czułam niecierpliwe dłonie na plecach, biodrach i piersiach.

— Nie mogę dłużej stać — wyjąkałam.

Czapla wziął mnie na ręce, jakbym była dzieckiem, zaniósł do pokoju obok i położył na łóżku. Ca-

łowaliśmy się i pośpiesznie nawzajem rozbieraliśmy, jakby za chwilę miał przyjść potop. Poczułam jego nagie silne ciało i wiedziałam, że teraz już na wszystko za późno, że jestem szalona. Kochaliśmy się, na początku łagodnie i czule, potem mocno, dziko i rozpaczliwie, jak ludzie, którzy już wiedzą, że w jednej chwili można stracić wszystko.

Leżałam w objęciach Czapli, z twarzą wtuloną w jego tors pokryty ciemnymi włosami. Pachniał w sposób, którego nie mogłam określić, ale od tego zapachu kręciło mi się w głowie i ciepło rozlewało się po całym ciele. Jakbym rozpoznawała zapach człowieka z mojego plemienia. Te zwierzęce odczucia trochę mnie zaskakiwały, ale przecież Czapla też trzymał twarz dokładnie wtuloną w moje włosy i mówił niskim głosem:

— Co to jest. Pachniesz jak narkotyk.

— To perfumy.

— Nie, perfumy są osobno, na wierzchu. Ja czuję twój prawdziwy zapach.

— A ja twój.

— I co?

— Pasują — powiedziałam oszczędnie (nie warto się odsłaniać, wiadomo).

Czapla odsunął głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

— To znaczy?

— To znaczy, że ludzie mają różne zapachy, piękne i okropne, co się komu podoba. A ty pachniesz... no, pachniesz odpowiednio i... fantastycznie. Pachniesz jak, mhm, jak mój mężczyzna — wypaliłam o jedno słowo za dużo i w popłochu wcisnęłam twarz w jego szyję.

— To dobrze — powiedział prosto w moje włosy i objął mnie jeszcze ciaśniej. Leżeliśmy błogo i leniwie, z bijącymi ze wzruszenia sercami, i chyba oboje mieliśmy nadzieję, że może uda się tak przetrwać chociaż tę jedną noc, zanim pojawią się nowe kataklizmy.

— Ale chciałem cię spytać, o co chodziło z tym żurawiem?

— Z jakim żurawiem?

— Coś mówiłaś o żurawiu.

— Nic nie wiem, kiedy?

— Kiedy się kochaliśmy. Że go uwielbiasz, trochę byłem, mhm, zaskoczony.

Zrozumiałam.

— Mogłam najwyżej powiedzieć: „Czapla, uwielbiam cię” — wyjaśniłam cicho.

— Możliwe, żuraw czy czapla, na jedno wychodzi. Co to za stwór?

— To ty.

Ujrzałam jego zaskoczone spojrzenie.

— Ja?

— Tak na ciebie mówiłam, zanim się poznaliśmy. Bo wtedy przed sklepem medycznym stałaś nade mną jak zafrasowana czapla, i to jakoś tak zostało.

— A ja myślałem, że... tęsknisz za kimś innym, że jesteśmy we troje.

— Byliśmy tylko we dwoje.

Przekreślił się i pochylił nade mną, i zaczął całować mnie powoli i łagodnie, w brwi, oczy, policzki i usta. Odpowiadałam mu tym samym, czując się w jego objęciu jak w bezpiecznym namiocie, gdzie nie docierają ciosy ze świata. Trzymałam się jego silnych ramion i znowu zaczęło się wszystko koły-

sać i płynąć, widziałam jego zmienioną twarz i nieprzytomne z namiętności oczy, a gdzieś daleko bił stary zegar.

Kiedy się obudziłam, ujrzałam w półmroku zegarek na nocnym stoliku. Szósta. Wiedziałam, że mam na pewno rozmazane oczy i chciałam iść do łazienki. Próbowałam się poruszyć, ale nie mogłam. Ciężkie męskie ramię opasywało mnie pod pierś, a duże śpiące ciało przylegało do moich pleców i pośladków. Zaczęłam się delikatnie odsuwać.

— Co się dzieje? — wymamrotał Czapla.

— Muszę iść do łazienki.

— Teraz?

— Teraz.

— Mhm. — Pocałował mnie w kark i objął dłonią pierś. — Trudno.

Oswobodzona usiadłam na brzegu łóżka, trochę przerażona, jak ja mogę wyglądać o tej porze, może nie zauważy, skoro jest taki zaspany.

— Poczekaj — powiedział nagle. — Podłoga jest zimna.

Wstał i podszedł do komody. Zapalił stojącą na niej lampkę i zaczął przeszukiwać szufladę. Po chwili odwrócił się w moją stronę. Stał zupełnie nagi, oświetlony ciepłym blaskiem lampy, a w rękach trzymał dwie wielkie grube, góralskie skarpety rozmiar 45.

— To zamiast pantofelków, nie mam nic innego — powiedział.

Podszedł do mnie, ukucnął w typowo męskiej, swobodnej pozie z rozchylonymi udami i zaczął naciągać te wielkie skarpety na moje nogi. Sięgały mi

niemal za kolana. Sprawdził, czy dobrze leżą, na moment uniósł twarz w górę, po czym objął mnie wokół bioder i wtulił twarz w zagłębienie pomiędzy moimi udami. Położyłam mu ręce na plecach, czułam ściskanie w gardle i nie śmiałam wierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Poszłam do łazienki. W lustrze ujrzałam swą nagą postać odzianą jedynie w skarpety, tusz rozmazany wokół oczu i ślady pocałunków na szyi. Po prostu Miss Podhala.

Trudno wymagać, żeby Czapła miał mleczko do twarzy, ale choć watę i jakiś krem. Nic nie było, a nie chciałam grzebać w szafkach.

Wyszłam na korytarz i skręciłam w stronę kuchni, skąd dochodził odgłos nalewanej do czajnika wody. Czapła stał z wyciągniętą ręką, trzymając coś na otwartej dłoni.

— Znalazłem na poduszce i zupełnie nie wiem, skąd się wzięło. Czy może pani to zgubiła?

Zbliżyłam się i ujrzałam mój rozpięty kolczyk. Złapałam się za ucho.

— Tak, to ja.

Wzięłam kolczyk i wpięłam na nowo. Objęliśmy się, głaskałam go po dużych, ciepłych plecach.

— A czy masz może watę i jakiś krem?

— Gdzieś mam, ale krem to tylko po goleniu albo Nivea, może być?

— Wolę Nivea.

Jakoś doprowadziłam się do porządku i weszłam pod prysznic. Pod strumieniem wody zaczęłam rozmyślać, że chyba powinnam wracać do domu, bo w końcu nikt nie lubi, jak mu się nagle ktoś wprowadza. Wytarłam się, ubrałam moje piękne skarpety i wróciłam do pokoju. Czapła siedział w spodniach

od piżamy przy stoliku, na którym parowały dwa kubki z herbatą.

— To ja chyba będę się zbierać — wydukałam i zaczęłam rozglądać się za ubraniami.

— Przecież jest noc i zimno, gdzie ty chcesz iść? Tu jest piżama dla ciebie — powiedział zaskoczony Czapla, wskazując na fotel, na którym rzeczywiście spoczywała świeżo wyjęta z szafy, wielka piżama. Zawahałam się. Wstał, objął mnie i wyszeptał w moje włosy:

— Zostań. Proszę cię, chociaż raz.

Serce zabiło mi bardzo mocno. Nie chciałam przecież wcale wracać do domu. Chciałam zostać z panem Stoińskim, jego lampami, lustrem i rowe-rem. Ubrałam piżamę, której nogawki ciągnęły się po podłodze, i położyłam się do łóżka. Czapla wziął szybki prysznic. Wypiliśmy kilka łyków herbaty, a on powiedział:

— Na szczęście jutro sobota, nie trzeba nastawiać budzenia.

Zgasił lampę, objął mnie, umościliśmy się wygodnie jak dwie łyżki w futerale i zasnęliśmy.

Napisałam do Buby, no bo ona wszystko rozumie.

Kochana Bubo,

dopiero przed chwilą wróciłam do domu, a kot o mało co umarłby z głodu. Spałam u Nosa i nie bardzo wiem, jak to się stało, chyba upadłam na głowę, żeby iść do kogoś tak od razu, ale nie wątpię, że skonstruujesz na ten temat całą teorię. Najgorsze było to, że około po-

łodnia nagle trzasnęły drzwi i zatupały kroki, i już poruszyła się klamka w drzwiach. Ze strachu zanurkowałam pod kołdrę, a Czapla wyskoczył w ostatniej chwili, otworzył, wyszedł na korytarz i drzwi starannie zamknął. I tylko usłyszałam:

- Marysiu, mhm, mam gościa. I gość śpi.

- O! - zdziwił się głos dziewczęcy. - A ja właśnie chciałam ci zrobić niespodziankę i tak tu wpadliśmy z Krzysiem, żeby cię wyciągnąć na chińskie jedzenie.

Głosy oddaliły się i przeszły do drugiego pokoju. Wyobrażam sobie, jak to głupio wygląda, kiedy ojciec objawia się w samych spodniach od piżamy, zmieszany i z siniakami na ramionach, które najwyraźniej nie powstały w trakcie naprawiania roweru. Po dłuższej chwili Czapla wrócił i oznajmił, że młodzież już poszła, a wspólny obiad przeniesiono na wieczór. Odetchnęłam z ulgą, zwłaszcza że po południu wybierałam się do Ani do szpitala.

Bubo, no nie wiem, co powiedzieć. Mam mętlik w głowie. Kot zaniedbany, początek choroby sieroczej. Na szczęście miałam na sobie bardzo ładną bieliznę, którą nałożyłam jedynie po to, aby się dobrze czuć. No i zobacz. Jak na wojnie, *wsięga gatow!*

Z Anią bardzo źle, bo jej wieloletni adorator zniknął, gdy tylko się dowiedział o amputacji piersi. Jest załamana, choć sama operacja poszła świetnie i będzie mogła nadal nosić wycięte bluzki (z protezą oczywiście). Zastanawiam się, jak w obrębie tej samej rasy mogą istnieć tak różne egzemplarze, ten jej fagas, Twój Bo-

lek i Marek. Mam jednak nadzieję, że większość mężczyzn posiada konstrukcję bardziej złożoną niż okrzemki.

Ściskam Was i całuję

Joanna

ABSOLUTNIE NIE POKAZUJ TEGO MAILA BOLKOWI!

Przyszedł mail od Buby:

Kochana Joasiu,

bardzo się cieszę, ale jakoś nie mogę się połapać, z iloma panami spędziłaś wczorajszą noc - z Nosem, Czaplą czy Markiem?

B

Odpisałam:

To jest ten sam, pojedynczy.

J

Wieczorem zadzwonił telefon.

— Ciociu? — spytała Natalia.

— No cześć, kochanie, co słyszeć?

— Jako tako.

— Wszystko się ułożyło?

— Tylko przez pierwszy tydzień, bardzo się starali. Ale potem już zapomnieli i wszystko zostało po staremu. Pani Zdzisia mówi, że jakby ona miała takie dziewczątko, to zawsze byłaby wieczorem w domu — głos jej się lekko załamał. — Ale że do rodziców trzeba mieć cierpliwość, bo nie zawsze mogą robić to, co by chcieli.

— No tak — powiedziała niepewnie, zastanawiając się równocześnie, czy swojej siostrze już kompletnie mózg się przepalił, może od nadmiaru lakieru do włosów. — Chyba ma rację.

— Ale ja już byłam bardzo cierpliwa, ciociu! I naprawdę mam dosyć.

— Rozumiem, kochanie. A co ty porabiasz właściwie?

— Teraz uczę się na klasówkę z historii, ale jakoś mi nie idzie. Co mnie obchodzi ta Anna Jagielonka podobna do żaby, też powinna się rozwieść!

— Jak to też? — spytałam zmrożona.

Zaległa cisza. Po chwili Natalia powiedziała:

— Bo oni chyba się rozwodzą.

— Kto?

— Mama i tata. Już nawet się nie kłóca, tylko wychodzą osobno. Mama kupuje co chwilę nowe bluzki i jakieś dziwne perfumy, przedwczoraj zmieniła fryzurę, a tata wraca późno i, ciociu, zalatuje alkoholem.

Ładny gips, pomyślałam. Tego nam tylko brakowało.

— Ale to przecież nie znaczy, że się rozwodzą! — powiedziałam z nadzieją.

— Słyszałam kilka dni temu, jak o tym mówili, drzwi nie były domknięte. **I** że jeśli mama koniecznie chce być z prezesem, to proszę bardzo, tak krzyknął tata. A na to mama, że na te czasy potrzebuje silnego mężczyzny, który nie dzieli włosa na czworo, trzasnęła drzwiami i wyszła. Wróciła o drugiej w nocy.

— A co to za prezes?!

— To chyba z firmy, którą obsługują w kancelarii. Tata zawsze o nim mówi „ten łajdak z dziada pradziada”. A mama mówi, że to nieprawda, bo on należy do Lions Club, a tata na to, że właśnie, nakradł i teraz już mógł się zapisać, wszystko się zgadza. **I** tak w kółko. Aha, a mama mówi, że to wszystko za piękną **Evitę**.

— Co?!

— Piękną **Evitę**, ale nie wiem, o co chodzi, bo założyłam walkmana na uszy, nie mogłam już tego słuchać.

— Kochanie — powiedziałam, starając się zachować spokój. — Dzisiaj już jest późno, poucz się i idź spać, ale może jutro się spotkamy? Wczoraj zadzwonił wujek Tadzinek i powiedział: „Dziewczęta, zapraszam na kurczęta!” Bardzo był dumny z pomysłu. Spytałam, jakie dziewczęta, a on na to: „No ty, Joasiu, i Natalia oczywiście”. Co o tym myślisz?

— O, świetnie — powiedziała przygaszonym głosem. — Już dawno nie widziałam wujka. A zasłony pozszywał czy kupił nowe? — zainteresowała się.

— O, wątpię, żeby decydował się na niepotrzebny wydatek. Pewnie sam pocerował tym swoim przedwojennym zszywaczem biurowym.

— Muszę to zobaczyć! — ucieszyła się Natalia. — No i stęskniłam się za nim, on wygląda zawsze jak zabiedzony wróbelek. Jutro kończę o czwartej, może być?

— Dobrze, odbiorę cię spod szkoły. I kupię jakieś ciastka, bo Tadzinek uwielbia. A teraz nie martw się, dokończ Jagiellonkę, nieszczęśliwa kobieta była, pamiętaj o tym i idź spać! Całuję!

— Pa, ciociu! Ja chyba od razu pójdę spać. Pa! — powiedziała trochę raźniejszym głosem.

Ohydne, wstrętne, samolubne bachory, pomyślałam. Beata i Andrzej. Albo ludzie, którym świat wali się na głowę. Sama już nie wiedziałam, jak jest naprawdę. Ale dziecko, takie wspaniałe dziecko, w ogóle nie zwracają na nie uwagi i walą ciosy na oślep. Jednak bachory.

Dochodziła dziesiąta. Przed telefonem Natalii siedziałam na kanapie z nogami opartymi wysoko na fotelu, rozmyślając o minionej nocy. Półmrok w sypialni ma swe zalety, stwierdziłam, patrząc na kostki nóg. To już nie były, jak mawiał mój narzeczony z lat studenckich, pęciny jak u kasztanki Piłsudskiego. To były nogi po czterdziestce. Co ja zrobię, kiedy Czapla zorientuje się, jak naprawdę wyglądam?

— Zadzwoń! — powiedział, gdy wysiadałam z jego samochodu. — Wyśpij się. — Trzymał moje ręce w swoich, podniósł je do ust i pocałował obie

moje dłonie, obejmując je jak małe króliczki. Szybko pogłaskałam go po twarzy i opanowując chęć ponownego rzucenia mu się na szyję, weszłam do bramy.

Z jednej strony cieszyłam się, że musiał iść na obiad z córką, a ja mogłam spokojnie sobie pomyśleć. Z drugiej jednak cisza mojego mieszkania wydawała mi się nie do zniesienia. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś się spotkamy i jak by wyglądał, siedząc w moim fotelu. Prawie widziałam obok siebie jego marynarkę, ciemną, lekko przechyloną głowę i cień zarostu na policzku. Wyciągnęłam rękę. Fotel był pusty.

W kuchni coś zastukało, parsknęło i zasyczało. Poszłam sprawdzić, co się dzieje. Tunia z wyrazem przerażenia w oczach czujnie wpatrywała się w swoją miseczkę z mięsem, jakby widziała kłębowisko żmij. Raz po raz błyskawicznie zbliżała się, wymierzała ostry cios łapką i odskakiwała, sycząc. Najwyraźniej walczyła z jakimś potworem, który zabierał jej jedzenie.

— Tuniaczku, tu nic nie ma, zobacz — podeszłam do miseczki i postukałam w nią palcem. — Tu jest tylko twój obiadek, no zobacz, jaki dobry.

Wyjęłam kawałek mięsa i podsunęłam jej pod pyszczek, równocześnie głaszcząc ją drugą ręką. Zjeżona sierść opadła, kocica wzięła ode mnie mięso i zjadła, najwyraźniej głodna.

— No zobacz, tu jest mięsko — powiedziałam, mieszając palcem w miseczce i nadal ją głaszcząc. Powoli, z oporem zbliżyła się i szybko wyciągnęła łapką kawałek, natychmiast odskakując. W ten sposób zjadła trochę obiadu.

Głaskałam ją i chciało mi się płakać. Miała halucynacje. Ten biedny kot był naprawdę chory.

Zadzwoił telefon.

— Tak, słucham? — spytałam.

— Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale dopiero niedawno wróciłem z obiadu, córka koniecznie chciała mi przedstawić nowego chłopaka. Nie obudziłem cię?

— Nie, właśnie siedzę z kotem. Żle z nim.

— A co się dzieje?

— Ma halucynacje i atakuje miseczkę.

— To trzeba iść do weterynarza — powiedział Czapla.

— Jutro pójdę. To chyba jednak jakieś zmiany w mózgu, tak mówi moja znajoma kociara.

— Ja jutro kończę dopiero po ósmej, więc nie mogę ci pomóc, chyba że chciałabyś pójść pojutrze, wtedy mogę.

— Co możesz? — spytałam zdezorientowana.

— No, różne rzeczy — zaśmiał się. — Ale mam na myśli prowadzenie samochodu, kiedy ty trzymasz kota.

Zatkało mnie.

— Chcesz jechać ze mną do weterynarza?

— Tak, oczywiście. No chyba że jedziesz z kimś innym, to nie będę się narzucał.

— Dobrze — powiedziałam, a ciepłoko zalewało mnie łagodną falą. — To umówmy się na wtorek. Dzięki.

— A co... co porabiasz jutro wieczorem? — spytał tym niskim głosem, który wytrącał mnie z równowagi.

— Wieczorem jestem w domu — powiedziałam z zapartym tchem.

— A czy będzie można cię odwiedzić? Około dwudziestej pierwszej?

— Tak — usłyszałam swój zmieniony głos.

— Dobrze. Przyjadę. — Na chwilę zamilkł. —
Tęsknię za panią.

— Ja też. Za panem.

— Całuję cię.

— Dobranoc.

Odłożyłam słuchawkę i objęłam Tuniaczka.

— Jestem szczęśliwa! — powiedziałam do niej i poczułam, że mam mokre oczy. — Chodźmy spać, już późno.

I wtedy dopiero przypomniało mi się, że przecież zostałam zwolniona i od jutra wkraczam w upiorne dwa tygodnie czekania na targu niewolników. Może przynajmniej nie będą nam zaglądać w zęby, pomyślałam. I może w ogóle coś się wymyśli.

Umyłam się bardzo pobieżnie, aby nadal czuć zapach Czapli na ramionach, piersiach i we włosach. Położyłam się i szczelnie owinęłam kołdrą, a mimo to marzłam i budziłam się w nocy wiele razy.

Byłam sama.

Jedynie kot bawił się gruchającą piłeczką o czwartej nad ranem.

W listopadowym powietrzu nawet wielkie plastikowe jabłka przed moim oknem straciły swój zwykły blask. Leżały brudne i opuszczone, a ponure porywy wiatru szarpały nimi jak wydmuszkami.

Dopiłam kawę i pomalowałam rzęsy. Nie chciało mi się wychodzić z domu, bo niby do czego, ale równocześnie miotały mną niepokój i ciekawość. Co to właściwie będzie i dlaczego nigdy nic nie wiadomo.

I kiedy wreszcie skończą się te korki na ulicach.

Najświeższe spekulacje, tragiczne wizje i ociekające seksem i krwią plotki rozsadały całe biuro.

— Widziałam Nowego! — obwieściła zdyszana Halina wpadając do pokoju.

— Kogo?

— Nowego kierownika, tego, który będzie selekcionował.

— I co?

— A kto to jest w ogóle?

— Nazywa się Zaliwski — wysapała Halina. — Podobno pracował w marketingu w telefonii komórkowej, ale nie wiem w której.

— O! Ajak wygląda? — spytała ciekawie Magda.

— Bo ja wiem, no normalnie, jak menedżer. Taki jest pomieszany, jakby skojarzyć naszego Królika z... no, z tym... z tasiemcem.

Mimo wszystko wybuchnęliśmy śmiechem.

— Zaraz, zaraz, to ja go chyba też widziałem. Taka główka jakby na sprężynie? — spytał Tomek.

— O, właśnie! Ale ubrany świetnie.

— No, zobaczymy, co to będzie i z jakiej jest opcji.

— Pokiwała głową Monika.

— A właśnie, kto go tutaj pcha? — spytał Tomek.

— Jeszcze nie wiem — wyznała z żalem Halina.

— Brunet czy blondyn? — spytałam, mieszając herbatę.

— Trudno powiedzieć, kompletnie łysy. Błyszcząca czaszka, ale bez koloru — zafrasowała się.

— Nie nosi okularów, bardzo ciemne, przenikliwe oczy. Więc może dawniej był brunetem.

— A co wy się jakimś łysolem przejmujecie! Co ma być, to będzie — oświadczyła Magda. — On tu i tak osiwieje.

Zabraliśmy się do pracy. Wiatr huczał za oknami, deszcz padał, cicho szumiały komputery, klekotały klawiatury, dzwoniły telefony, co chwila ktoś wchodził i wychodził. W południe drzwi się otworzyły i wkroczył wicedyrektor Królikowski, prowadząc za sobą sensację dnia.

— Witam, witam — zagrzmiął po ojcowsku Królik. — Proszę państwa, pragnę przedstawić pana Mieczysława Zaliwskiego, nowego kierownika działu marketingu.

Po kolei nas przedstawiał, z trudem wydłubując z pamięci wiedzę o naszym zakresie obowiązków. Nowy kierownik podawał ciastowatą rękę i uśmiechał się dobrze zrobionymi koronkami.

— Wiele słyszałem o państwa osiągnięciach. Cieszę się, że będziemy współpracować — recytował układnie, poruszając ustami jak wigilijny karp w wannie. Czekałam, kiedy zacznie puszczać bąbelki.

— Pan kierownik ma znakomite doświadczenie w budowaniu efektywnych zespołów pracowniczych, więc z pewnością wszystko dobrze się ułoży — tokował Królik, zacierając rączki i pragnąc jak najszybciej wyjść. Obdarzyli nas jeszcze kilkoma uśmiechami z podręcznika „Skuteczne zarządzanie zasobami ludzkimi” i wyszli, kierując się do kolejnego pokoju.

Usiedliśmy.

— Wcale nie ma małego noska! — zauważyłam.

— Nos ma prawie normalny.

— A kto mówił, że ma mały?

— No przecież mówiłaś, że jest podobny do Królika i tasiemca. Widziałaś kiedyś tasiemca z dużym nosem?

— Nie, i nawet nie chcę widzieć! — wzdrygnęła się Halina.

— Mój lekarz rodzinny miał kiedyś tasiemca, sam mi mówił — przypomniało się nagle Tomkowi.

— Ciekawe, gdzie go złapał — zamyślił się.

— A to ci Mieczysław! Kto nie z Miecikiem, tego zmiecikiem, pamiętacie to powiedzonko? — zaśmiała się Magda.

— Nie pamiętamy — mruknęła ponuro Monika.

— Najlepiej by było, gdyby od razu powiedzieli, kto wylatuje, a kto zostaje, bo czekanie nas wykończy.

— Nie bój się, najpierw muszą wszystko szczegółowo omówić. Zasoby wszystko zniosą, wiadomo, na każde miejsce czeka stu chętnych, Królik zawsze to powtarza — powiedział Tomek.

— I ma rację, niestety — westchnęłam.

Biurowy dzień powoli się kończył, dochodziła czwarta. Niemrawo zbieraliśmy się do domów. Za-

pinając płaszcze, wiążąc szaliki, szukając parasoli wychodziliśmy z pokoju, w którym spędziliśmy razem ostatnie kilka lat, pracując, kłócąc się i pocieszając w razie nieszczęścia. Na każdym biurku panował inny porządek, tak jak każde z nas było inne, a jednak, jak z kolorowych puzzli, powstawała z tego zupełnie niezła i barwna całość.

Tomek wyszedł ostatni, zgasił światło i zamknął drzwi na klucz.

Natalia wskoczyła do samochodu przemarznięta. Ucałowałyśmy się i ruszyłyśmy w kierunku Rataj.

— Jestem potwornie głodna — obwieściła. — Bardzo się cieszę na kurczaki!

Powoli jechałyśmy w korku, pokonując w końcu most nad Wartą i skręcając w stronę Starołęki. Zatrzymałyśmy się pomiędzy brzydkimi, brudnymi blokami, na parkingu koło śmietnika.

— Ten, kto projektował te domy, powinien w nich mieszkać do końca świata — mruknęłam z niechęcią. — Z całą licznie rozmnożoną rodziną.

— Przecież ciocia też mieszka w bloku — zdziwiła się Natalia.

— Ale mój nie jest takim upiornym pudełkiem. Przynajmniej sufit ma wyżej i można normalnie oddychać.

Zabrałyśmy ciastka i weszłyśmy do bramy. Wujek powitał nas w obuwiu lakierowanym, spryskany wodą kolońską modną trzydzieści lat temu.

— Nie zmarzłyście? — zapytał, odbierając od nas płaszcze.

— Okropnie! — przyznała Natalia.

— Zaraz podaję herbatę. No i oczywiście kurczęta!

Weszliśmy do jego maleńkiej kuchni, w której obok mebli stały jeszcze kartony nie rozpakowane od dnia przeprowadzki, przed dwudziestu laty. Do dzisiaj też nie posiadał wiaderka na śmieci, „Po co te dodatkowe graty, ja tu wszystko od razu wrzucam do torebki foliowej i rano wynoszę, nic się nie psuje”. Na stoliku leżało tekturowe opakowanie, z którego unosił się smakowity zapach.

— O, proszę, Natalko, zanieś talerze do pokoju — powiedział wujek Tadzinek — bo sztuce i bułki już są.

Po chwili usłyszałam jej zaskoczony głos:

— Wujku, jakie piękne zasłony!

— A, to dostałem od Tinusi na urodziny! Bardzo eleganckie, prawda?

Poszłam do pokoju, w którym okno przesłonięte było lekko połyskującą, złoto-seledynową tkaniną.

— O, zupełnie jak w operze! — powiedziałam. — Świetnie to wygląda!

— Tak, Tinusia ma bardzo dobry gust — powiedział, patrząc z podziwem na swoje okno. — No, ale teraz czas na obiad. Takich kurczaków jeszcze nie jadłyście.

Poszłam z wujkiem do kuchni i rozpakowałam zawiniątko. Spod papieru ukazała się połówka niewielkiego, chudego kurczaka ze spiczastym skrzydełkiem. Mój Boże, to dla Natalii, a co dla nas, pomyślałam w popłochu.

— Ty jesteś taka zręczna, podziel mięso — powiedział wujek Tadzinek.

— Dobrze, ale ja nie jestem głodna, tak że to głównie dla Natalii i dla ciebie, tak myślę.

— A, ja takiego kurczaka jem tydzień, takie są nabite! — promieniał.

Myślałam, że się rozpłaczę. Chudy, zasuszony wujek, kiedyś świetny jeździec, młody przedsiębiorca i nadzieja rodziny, powoli odzwyczajał się od jedzenia. Żeby tylko nie wydawać pieniędzy, żeby nie umierać na tych szarych Ratajach w takiej nędzy, jak jego ojciec w starym domu.

Przeznaczyłam dla Natalii największy kawałek i wkroczyłam do pokoju.

— Do obiadu dobrze jest wypić kieliszek wódki — oświadczył wujek i już nalewał do kryształowych kieliszków.

— Ja nie mogę, prowadzę — zastrzegłam się.

— No to może Natalia choć trochę spróbuje?

— Ale tylko kropelkę, żeby poczuć smak.

— No tak, przecież za młoda! — przyznał smutno wujek. I wychylił cały kieliszek.

Starałam się jak najdłużej dłubać w chudym skrzydełku, aby sprawić wrażenie prawdziwej uczy. Głód skręcał mi wnętrzności, więc zapychałam się chlebem.

W tym pokoju, poza zasłonami, od lat nic się nie zmieniało. Przybywało tylko obrazków przemyślnie wieszanych na żyłce jeden pod drugim, jak kiełbaski u rzeźnika. Wujek nie chciał wiercić dziur w betonowych ścianach i kolejne dzieła wisały wszystkie razem, na jednym, dawno wbitym haku. Kilka z nich pochodziło jeszcze z domu dziadka, podobnie jak srebrne lampy i patery porozstawiane na segmentach Kowalskich.

— A co z twoim kotem, wyzdrowiał? — spytał zaróżowiony wujcio.

— Nie. I właściwie jest coraz gorzej.

— O! Taka śliczna kocica! I taka bystra i ciekawska!

— Mój Don też jest bardzo bystry i wszystkiego pilnuje — powiedziała lekko urażona Natalia.

— Oczywiście, to mądry pies. Ale jednak koty są najbardziej wścibskie, oprócz koni, rzecz jasna — przypomniało się wujkowi. — U nas w stajni stało dwadzieścia koni, i gdy tylko pojawiała się coś nowego, jakieś niespodziewane odgłosy lub obcy ludzie, wszystkie łby wysuwały się z boksów, jak plotkarki z okien! — zaśmiał się. Napełnił na nowo kieliszek. — No i są najmądrzejsze.

— Mądrzejsze od psów?

— Chyba tak. Wyobraźcie sobie — wujek rozsiadł się w cherlawym foteliku z epoki Gierka — to było w styczniu czterdziestego piątego roku, Rosjanie już wchodzili do wschodniej części miasta, a z dworca właśnie odjechał ostatni pociąg do Berlina, tak naładowany Niemcami, że wisieli jak winogrona, a w rowach wzdłuż dróg wylotowych leżeli gdzieś tam zabici Polacy.

— Dlaczego? — spytała Natalia.

— Niemcy uciekali i zmuszali ich, żeby jechali razem z nimi jako niewolnicy i tragarze, a oni odmawiali. No to kula w łeb. Więc ten pociąg już odjechał, a Niemcy, którzy się do niego nie dostali, uciekali jak kto mógł, nawet pieszo. Nasz Niemiec, który w czasie wojny przejął przedsiębiorstwo i wyrzucił nas do chlewików, wyjechał tydzień wcześniej. Było już szaro, brama na podwórze zamknięta, wszyscy w strachu, co zrobią Rosjanie. Nagle usłyszeliśmy okropny łomot do drzwi. No tak, teraz sowieci nas wymordują, pomyśleliśmy, bo opowiadano o nich straszne rzeczy.

— I co?

— Mój ojciec, a twój pradziadek, poszedł otwo-

rzyć, a my wszyscy zebraliśmy się razem w pokoju. Ale ja byłem ciekawy, co się dzieje, miałem wtedy dwadzieścia lat. Zszedłem na podwórze. Pięciu esesmanów z trupimi czaszkami na czapkach przystawiało ojcu pistolety do głowy i kazało wydać najlepsze konie i wóz.

— A skąd wiedzieli, że u was są?

— To małe miasto, wszyscy wiedzieli, gdzie jest stajnia. Widać było, że są przerażeni, nie zdążyli na pociąg. Sami wybrali konie i sami pomagali robotnikom zaprzęgać, tak się śpieszyli. Wsiedli i wypadli z podwórza, jakby ich diabeł gonił. Ojciec na nowo zaryglował bramę i wróciliśmy do domu. Mieliliśmy wiadomości od sąsiadów, że Rosjanie już są w mieście, pijani, i strzelają na oślep. I nagle o północy znowu straszny łomot do bramy. Albo Niemcy, albo Rosjanie, teraz nas zabijają, powiedziała moja mama. — Wujek wytarł nos w wielką chusteczkę. — Ojciec wziął latarnię i poszedł otworzyć. Czekaemy na strzały i awantury, a tu nic. Znowu zszedłem na podwórze, patrzę, a to nasze konie, całe zgrzane i pokryte pianą. Wróciły do domu, ciągnąc za sobą potrzaskany, zakrwawiony wóz, i waliły dyszlem w bramę, żeby im w końcu ktoś otworzył! Jakis czas później dowiedzieliśmy się, że widziano je tego dnia we wsi oddalonej o dwadzieścia kilometrów. A one i tak wiedziały, jak trafić do domu. — Pokiwał z uznaniem głową. — To były konie pociągowe i znały wszystkie trasy w okolicy.

— A co się stało z esesmanami?

— Pewnie ich ktoś zabił. Wtedy wszyscy strzelali do wszystkich. — Wujek Tadzinek zamyślił się, jakby oglądał to jeszcze raz. — Straszne czasy. No a potem przyszła komuna i to był koniec.

Siedzieliśmy nad obgryzionymi kośćmi i nagle zorientowałam się, że już późno. Jeszcze tylko zjedliśmy ciastka z zakazaną przez lekarza, więc tym słodsza bitą śmietaną i wysłuchaliśmy nowo zakupionych, niezwyklej urody marszów wojskowych granych przez filharmoników wiedeńskich. Zaczęliśmy zbierać się do wyjścia, dziękując za pyszne kurczęta. Wujek podał nam płaszcze i nagle powiedział, odchylając swoje okrycie na wieszaku:

— O, tu ci chciałem pokazać, Joasiu, widzisz, jakby coś się stało, to tutaj jest mój garnitur. — Ujrzałam czarne ubranie szczelnie opakowane w foliowy worek. — A buty w szafie w pokoju, na dolnej półce. Resztę dobierzesz, jak będziesz chciała.

Zmroziło mnie.

— Wujku, co też wujek...

— Nigdy nie wiadomo. Kto by to pomyślał, że twoja mama umrze pierwsza, zawsze była z nas wszystkich najzdrowsza.

Ucałowaliśmy się i poszliśmy, pilnie obserwowane przez Tadzinka, czy aby jacyś blokersi nie rozpruwają nas nożami.

Jechałyśmy w milczeniu. W końcu Natalia powiedziała:

— Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby wujek miał kiedyś dwadzieścia lat.

— Są rzeczy na niebie i ziemi, o jakich nie śniło się waszym filozofom — wypaliłam cokolwiek bez sensu. — Mogę ci nawet powiedzieć, że gdy się urodził, to był tłuściutki i okrągłutki, a nie taka chuda, biedna miniaturka jak teraz. I pięknie się prezentował na golasa, ułożony przez fotografa na białym futerku!

— Mhm — powiedziała z powątpiewaniem Natalia. — A ja i tak nie chcę mieć dzieci, bo po co? I tak wszyscy umrą.

— Kochanie, to nie jest powód, żeby nie mieć dzieci. Życie jest bardzo smakowite, mimo wszystko.

— Jest okropne. Żałuję, że się urodziłam — wybuchnęła. — Zwłaszcza że babci już nie ma, a ona zawsze mi wszystko wytłumaczyła i знаła różne historie z życia — łza spłynęła jej po policzku.

— Kotku, to, że babci nie widzisz, nie znaczy, że jej nie ma. Ona cały czas się tobą opiekuje i jest blisko.

— Nieprawda, bo powinna przychodzić we śnie i coś mówić do mnie, a nie przychodzi!

— Na pewno przyjdzie. Teraz pewnie jest... taki okres przejściowy, kiedy dusza instaluje się w nowych warunkach, ale babcia zawsze bardzo cię kocha, uwierz mi. I zawsze ci pomoże, jeśli będziesz prosić.

— Zobaczę. Ale mogłaby coś zrobić z tym rozwodem — chlipała.

— Na pewno coś wymyśli. A twoi rodzice się nie rozwiodą, tylko mają wybuchowe temperamenty i przeżywają kryzys wieku średniego, tak mi się coś wydaje — pogłaskałam ją po policzku.

— Ale ja teraz jestem ich dzieckiem, a nie po kryzysie!

Co prawda, to prawda, pomyślałam. Biedne te dzieci.

Odwiozłam ją do domu, na szczęście paliło się światło, wyjątkowo byli.

— A może wejdzie ciocia na chwilę? — spytała błagalnie Natalia.

— Akurat dzisiaj nie mogę, jestem... jestem umówiona — powiedziałam, sama zaskoczona. — Powiedz mamie, że do niej zadzwonię. Pa!

Andrzej właśnie otwierał drzwi, Don rzucił się na Natalię, szalejąc z radości.

Nie uległam smutnym zaproszeniom szwagra i odjechałam. Muszę koniecznie pogadać z Beatą, pomyślałam. Oni zmarnują to dziecko, a dealerzy i sekty tylko na to czekają, na samotne, niekochane stworzenia z bogatych rodzin. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Czasami rzeczywiście skłonna byłam przyznać rację Natalii, że życie nie ma sensu.

Ale nie dziś.

Weszłam do domu i odór zatrzymał mnie w progu. Tunia musiała dzisiaj widocznie spać cały dzień, bo kanapa zalana była w kilku miejscach. Rzuciłam się do okna i szeroko je otworzyłam. Kot, radosny i błyszczący, ocierał się o moje nogi.

— Ty biedulku — powiedziałam i pogłaskałam futerko, ale byłam naprawdę przerażona. Mieszkanie cuchnęło jak stare klatki w zoo. A kot, zadbany i czyściutki, pachniał jak świeże czerwcowe siano na łące. — Jutro jedziemy do weterynarza. Z Czaplą.

I nagle uświadomiłam sobie, że on za godzinę tu będzie i że aromat mojego gniazdka może go oczarować równie mocno, jak zapach gotowanych u pani Stawskiej kalafiorów oszołomił niegdyś pana Wokulskiego. Włosy stanęły mi dęba. Przecież nie zdążę teraz nagle wyprać kanapy, a kot i tak za chwilę nasusia od nowa, gdy tylko przyśnie, i w dodatku w miejscu dotąd jeszcze nie zalanym.

Otworzyłam wszystkie trzy okna, jakie posiadałam, i wpadłam do łazienki po szampon i dezodorant. Ścierką zmoczoną wodą i szamponem ostro

przetarłam kanapę, a cały pokój spryskałam obfitymi smugami „Zapachu morskiego”. Zamknęłam drzwi, niech się przegryzie, pomyślałam, i poszłam do kuchni. Ze zdenerwowania zapaliłam papierosa, co natchnęło mnie myślą, żeby w pokoju dodatkowo ustawić płonąca świeczkę, podobno też usuwa smrodki. Ustawiłam, znowu zamknęłam drzwi, a wskazówki zegara przesuwają się cicho i nieopstrzeżenie. Jasna choinka, muszę wziąć prysznic, od rana biegam bez przerwy, gdzie bielizna, gdzie pasta do butów, zaraz zwariuję. A w ogóle skąd pewność, że on przyjdzie? Przecież dzisiaj nie dzwonił, uświadomiłam sobie nagle.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

— Dobry wieczór, tu Marek. Joasiu?

— Tak, to ja.

— Czy mógłbym być za jakieś czterdzieści pięć minut? Mieliśmy awarię sieci i jestem spóźniony.

— To dobrze, ja też dopiero przed chwilą wróciłam.

— A... czy masz może jakieś zamówienia?

— Na przykład co? — spytałam tępo.

— No może mam coś przynieść, wynieść, zawięzić, przenieść?

— Nie — zaśmiałam się. — Po prostu przyjeżdż.

— Dobrze, będę.

— No cześć.

Właściwie mogłam poprosić, żeby przywiózł nową kanapę, zachichotałam cicho.

Szybko umyłam się i przebrałam, i poszłam sprawdzić efekty wietrzenia. Otworzyłam drzwi do pokoju i osłabłam. Była to nadal klatka w zoo, ale teraz dodatkowo perfumowana. Potworna mieszanka wierciła w nosie i rozsadzała czaszkę.

Rzuciłam się do sypialni i mój udręczony wzrok padł na łóżko. Oczywiście pościel niezmięta, bo rano zasnęłam. W butach na obcasie zaczęłam gorączkowo ściągać poszwy i zakładać nowe. Istnieje przecież prawdopodobieństwo, że Czapla tutaj zajrzy, na przykład w trakcie podziwiania rozkładu mieszkania. Właściwie należałoby posprzątać, ale już nie miałam czasu. Odkurzyłam tylko nocny stolik. Trudno.

I znowu byłam zmęczona i drżały mi kolana. Nie lepiej byłoby oglądać „Z akt FBI” na Discovery Channel? Tu trup, tam zboczenie lub inna anomalia, zawsze to coś konkretnego, a nie taka wielka niewiadoma, z nerwami napiętymi do ostatnich granic.

Jestem na to wszystko za stara, pomyślałam. Nie wiem, czy chcę przeżywać to jeszcze raz. Aż do nieuchronnego końca. Łzy przez chwilę zapiekły mnie w oczach i odpłynęły. Kobieto, nie bierz wszystkiego tak poważnie, powiedziałam sobie. Siedziałam w kuchni z nogą założoną na nogę, a moja stopa sama poruszała się nerwowo. Przecież czasami ludzie są w stanie się porozumieć, nawet przez dłuższy czas. Mimo że po drodze dewastują sobie zasłony i niszczą fotografie.

Zadzwonił domofon.

— To ja — powiedział Czapla.

— Proszę.

Patrzyłam, jak wchodzi po schodach. Wydawał mi się jeszcze wyższy niż wczoraj. W ręce trzymał kremowe róże.

— To dla pani — powiedział.

Wzięłam kwiaty i wtuliłam w nie twarz, aby poczuć zapach.

— Piękne! Dziękuję.

Patrzyłam na niego, pragnąc się upewnić, że to ta sama twarz i ciemne oczy z lekkimi zmarszczkami wokół. Objął mnie, zarzuciłam mu ręce na szyję i staliśmy tak nieruchomo, jakby chcąc się od nowa rozpoznać. Oderwałam się od niego i powiedziałam:

— Poszukam wazonu. Napijesz się herbaty? Właściwie nie wiem, gdzie usiadziemy, cały pokój zasiusiany, chyba w kuchni.

— Dlaczego zasiusiany?

— Kot ciągle siusia. Nie czujesz?

— Coś czuję.

— No zobacz! — Otworzyłam drzwi do pokoju, straszna fala wypłynęła na korytarz. Szybko zamknęłam. — Chodźmy do kuchni.

Odnalazłam wazon, włożyłam róże. Były piękne, a jednak czułam się dziwnie i obco. Wstawiłam wodę na herbatę. Czapła usiadł na krześle i patrzył na mnie głodnym wzrokiem.

— Czy mogę zapalić? — spytał.

— Tak, oczywiście — podałam mu popielniczkę. I dopiero teraz zauważyłam, że ma szarą, zmęczoną twarz. Niepewnie dotknęłam ręką jego policzka.

— Czy coś się stało? — spytałam.

Przyciągnął mnie do siebie.

— Mieliśmy awarię całej sieci, bieganie, awantury, właściwie normalnie, ale coś się dzieje dziwnego, i jeszcze nie wiem co. W systemie, w firmie naszego klienta.

— A co to za firma?

— Samochody, paliwa, duże przepływy. Ale to nieważne — podniósł się i objął mnie mocno. — Masz zawsze takie przestraszone oczy, jak mała

dziewczynka. Obejmij mnie. Dotknij mnie. Myśla-
łem, że ten dzień nigdy się nie skończy.

Zdażyłam jeszcze wyłączyć gaz pod czajnikiem.

Czekaliśmy. Dni przesuwały się wolno, jak koraliki na sznurku. Prowadziłam podwójne życie, dni w pracy, noce z Czaplą. Schudłam i byłam szczęśliwa. Uzależniałam się od jego spojrzeń i rąk, od jego siły i śmiechu. Starałam się nie myśleć o przyszłości. Cieszyłam się każdą chwilą, wtułałam twarz w bukiety, rozpakowywałam prezenty, kupowałam Czapli porcelanowe słoniki na szczęście i patrzyłam na jego profil w samochodzie. Czułam się tak, jakby los na chwilę o mnie zapomniał i tymczasowo przestał wymierzać mi ciosy w plecy.

Uwielbiałam te chwile, gdy siedzieliśmy wieczorem i omawialiśmy dzień, i wszystko, co przyszło na myśl. Czy to możliwe, że tak mogłoby być całe życie?

— Jeśli zawsze przeczuwasz nieszczęścia, ściągasz je na siebie! — grzmiała Buba przez telefon. — Po prostu pływaj z falą, wariatko. Uwierz, że to jest twoje życie i nikt nie może nic zepsuć.

— No ale, Buba...

— Żadne ale Buba. To świetny facet i po prostu bądź sobą. A z tego, co mi tu przebąkujesz, wnioskuje, że on jest z tobą szczęśliwy.

— No chyba tak — wyznałam, bo przecież codziennie widziałam wyraz jego oczu. — Ale takie rzeczy się kończą, wiadomo.

— Niekoniecznie. Joasiu, dla kogoś z zewnątrz Bolek i ja jesteśmy tylko parą nieszkodliwych gru-

basów. Ale w gruncie rzeczy, nigdy nawet nie myślałam, że będę miała tak cudownego męża, przyjaciela, i ciągle, i coraz bardziej, kochanka. Więc nigdy nie sądź po pozorach i nie martw się na zapas. Chyba znasz takie powiedzonko: Jeżeli nie ty, to kto, a jeżeli nie teraz, to kiedy?

— Buba, dzięki. Ja po prostu często się boję i nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

— To się dzieje naprawdę, wywieś sobie taki napis w domu i codziennie czytaj!

— Dobrze! — zachichotałam.

— Zresztą my będziemy niedługo w Poznaniu, więc może w końcu go poznamy i rzucę fachowym okiem, musimy się jakoś umówić.

— A, to świetnie! — ucieszyłam się. — A co u Wichłacza?

— Człowiek kwitnie, blondynka trzyma go krótko, a on zachwycony. Ucz się!

— No, Czapla nie nadaje się do krótkiego trzymania, to jest silny facet — zawahałam się. — No, może trochę, czasami... — Przypomniały mi się jego spojrzenia, gdy myślał, że nie widzę.

— On jest silny, bo ma ciebie. Mężczyzna może zrobić wszystko, gdy ma kobietę, która go podziwia. Inaczej pada jak przekłuty balon, wierz mi.

— Może tak. Ty jesteś mądra, Buba.

— Lata doświadczeń! — zachichotała. — A teraz muszę upiec schab i poprawić klasówki. Odezwę się za kilka dni. I daj znać, co z pracą.

— Dobrze, zadzwonię.

Już wiedzieliśmy, że w najbliższych dniach kierownik Zaliwski objawi nam wyniki licznych gabi-

netowych dyskusji. Czuliśmy się jak pacjent z ropnym zębem, który już tylko pragnie, aby go w końcu wyrwać.

W pochmurny piątek powiedziano nam, że kierownik czeka. Na wszystkich po kolei. Cały nasz pokój zebrał się i poszliśmy. Usiedliśmy w sekretariacie i czekaliśmy na wezwanie.

Pierwszą poproszono Halinę. Przez piętnaście minut siedzieliśmy jak na szpilkach, zastanawiając się, co się tam właściwie dzieje. W końcu drzwi się otworzyły i wyszła, z wypiekami na twarzy i wzburzona.

— Zwolniona. Likwidacja stanowiska z powodów organizacyjnych — powiedziała.

— Ale czemu tak długo tam siedziałaś?

— No, powiedziałam mu dokładnie, co o tym myślałam, o zwalnianiu kompetentnych ludzi!

— I co on na to?

— Powiedział, że wszystko to wie, ale niestety firma idzie teraz w innym kierunku i zmiany są konieczne.

Właśnie proszono Tomka. Wyszedł bardzo szybko.

— Zwolniony z powodu likwidacji stanowiska — powiedział.

— I o nic go nie pytałeś?

— A niby o co?

Magda i Monika otrzymały propozycję pracy na najbliższe pół roku, potem się rozstrzygnie, czy będą nadal zatrudnione

— Mamy się wykazać — powiedziała Magda drżącymi ustami. — Jeśli ktoś nie wie, co i jak robiłam przez ostatnie pięć lat, to teraz się nagle dowie? Co ja mam właściwie robić, skakać przez płonącą obręcz czy co?

Wchodziłam do kierownika Zaliwskiego ze ściśniętym żołądkiem i lodowatymi rękami. Powitał mnie uprzejmie i usadził na krześle.

— Proszę pani, ja właściwie nie miałem okazji pani poznać, ale wiem, że jest pani doskonałym fachowcem — powtarzał tekst, który recytował od rana. — Niestety, zarząd zdecydował o likwidacji niektórych stanowisk, także tego, które pani zajmuje. Po prostu nie mam dla pani pracy.

Przez chwilę patrzyłam na niego tępym wzrokiem, szybko jednak oprzytomniałam. Wstałam i powiedziałam:

— Dziękuję.

— Bardzo mi przykro — odpowiedział nieco zaskoczony, przygotowany najwidoczniej na długą dyskusję i podał mi rękę. Wyszłam.

Nie mogłam w to uwierzyć. Mimo wszystko miałam nadzieję, że wydarzy się coś, co zaprzeczy naszym mrocznym przeczuciom. Nic takiego się jednak nie stało. Z drugiej strony, gdzieś w środku czułam ulgę, że to już koniec i że znowu jestem wolna. Chciało mi się pić.

Wróciliśmy do pokoju, zrobiliśmy herbatę.

Czapla. Ja chcę iść do domu, do Czapli.

Wysłałam mu SMS-a: „Jestem zwolniona, pracuję tylko do końca miesiąca, w ogóle pogrom”.

Napisał: „Wszystko będzie OK. Przyjadę po Ciebie o 20.00, może być? Zadzwoń. Całuję. Marek”.

Jakoś dotrwaliśmy do czwartej.

Czułam, że muszę pochodzić po mieście, przewietrzyć się, a przy okazji kupić nowy tusz do rzęs. W wielkiej drogerii trochę nieprzytomnie przeglądałam kosmetyki, zwłaszcza te, o których nic nie wiedziałam. Muszę zapytać Natalię, do czego to służy, pomyślałam. Teraz najważniejszy jest tusz i dobry podkład, bo przecież zacznę chodzić na rozmowy kwalifikacyjne. Przeszedł mnie dreszcz. Już widzia-

łam te młode, eleganckie dziewczyny i zadbanych facetów, mówiących: „Świetne dossier, ale dla nas jest pani... za dobra. My właśnie budujemy, mhm, młody, dynamiczny zespół, praca dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będziemy w kontakcie!”

Szłam wzdłuż rozświetlonych kolorowo wystaw i czułam, że przygniata mnie starość. Urodziłam się zbyt wcześnie. Połowa przechodniów tłoczących się na chodniku była młodsza ode mnie. Jak to się stało i kiedy, że tak niezauważalnie znalazłam się po niewłaściwej stronie? Może po prostu zjechałam z wielkiej góry książek i papierów, wśród których płynęło mi życie, i moje sanki zatrzymały się przed barierką z napisem „Koniec”.

No trudno, ja już młodsza nie będę. Z drugiej strony nie mam jeszcze osiemdziesięciu lat. Coś się wymyśli, a tusz kupiłam bardzo dobry.

Stałam na przejściu dla pieszych, czekając na zmianę świateł. Niedaleko mnie czekał duży, ciemny samochód. O, prawie jak Czapli, pomyślałam. I wtedy spojrzałam jeszcze raz. To był Czapla. Z kamienną twarzą wpatrywał się w sygnalizację, obok niego zaś siedziała promienna blondynka o pełnych, łakomych ustach i wielkim biuście. Przechylała się do niego, mówiła coś ze śmiechem, a jej ręka błędziła zmysłowo wokół klap jego marynarki.

Nie. Co to, to nie. Znam ten twój indiański spokój, łajdaku. Wiem, co zrobisz za chwilę.

Światła zmieniły się i samochód odjechał. Oczywiście wyobraźni widziałam ich tarzających się na podłodze, jego ręce na jej piersiach, jej białe zęby gryzące jego wargi.

— Proszę pani, zielone! — powiedział niecierpliwie ktoś za moimi plecami.

Ruszyłam przed siebie. Nieprzytomnie doszłam do parkingu. Jechałam, nie myśląc o niczym, mechanicznie posuwając się do przodu i z pamięci biorąc zakręty.

Weszłam do domu. Nikt mnie nie witał.

Przecież minął już tydzień, jak Tuniaczek został, nieruchomy, z martwymi oczami, na zimnym stole u weterynarza.

Muszę iść spać. Muszę natychmiast zakopać się pod kołdrę.

I znowu miałam szesnaście lat i drżące ze wstydu kolana. Znowu przyśnił mi się Czarny Dzień w Różowych Gatkach.

W zimny poranek kłóczę się z mamą, która trzyma w rękach różowe grube reformy o długich nogawkach, zakończone karbowanym mankietem. Mam na sobie spódniczkę mini, bo w końcu i dyrekcja szkoły, i nawet moja mama zgodziły się na ten nowoczesny styl.

— Ale do tak krótkiej spódniczki musisz założyć grube majtki. Na miłość boską, listopad, przeziębisz sobie jajniki!

— Mamo, te majtki są dłuższe niż spódnica. Nie mogę, po prostu nie mogę, nikt tego nie nosi!

— Nie obchodzi mnie ta wasza moda, obchodzi mnie twoje zdrowie. Masz to założyć i koniec, a mankieciki, o proszę, podwiniemy!

I już stoję w tych gatkach, które oblepiają mnie jak ciężki kokon. Widzę w lustrze moje chude nogi i różowy rąbek wysuwający się spod spódniczki.

— Mamo, wystają.

— A, to jeszcze troszeczkę podwiniemy! No, już dobrze, idź, kochanie!

Nałożyłam płaszcz, wzięłam szkolną torbę i poszłam. Było jeszcze mroczno, niebo dopiero zaczynało się rozjaśniać i kraczące stada wron nadlatywały nad miasto. Latarnie świeciły mdłym blaskiem, autobusy rozbryzgiwały kałuże, a brudnobrazowe liście zaścielały chodniki. Skurczone z zimna postacie śpieszyły się do pracy i szkół.

Mój Boże, jak ja wyglądam!

Lekcje mijały, szczęśliwie nikt nie wiedział o gatkach. Siedziałam jak na szpilkach. Wreszcie zadzwiezczał dzwonek na długą przerwę. Wszyscy rzuciliśmy się do stołówki, gdzie gruba kucharka sprzedawała herbatę.

Idę korytarzem, a tu ludzie rozstępują się przede mną jak Morze Czerwone. Najwyraźniej coś się dzieje, widzę uciekające spojrzenia, słyszę zduszone chichoty, dziwna epidemia. Stołówka już blisko, przyspieszam kroku, bo przecież będzie w niej Ten Uduchowiony Brunet czytający egzystencjalistów. Staję w kolejce, znowu pomruki, o, widzę go. Pije herbatę z kolegami. Patrzę na niego i widzę, że nie przesyła mi zwykłego uśmiechu. Odwraca się i chichocze razem z innymi, jakby mnie nie poznawał. Wychodzę. Słyszę, że ktoś za mną biegnie, to pewnie on. Odwracam się. Koleżanka, która zawsze jest przygotowana na wszystkie lekcje, chichocząc mówi ze współczuciem:

— Joasia, wiesz co, majtki ci opadły...

Biegnę do lustra koło toalet i widzę chude łydki, kolana, dziesięć centymetrów różowych, włochatych, grubych nogawek, a ponad nimi wąski pas spodniczki. Za chwilę pęknie mi serce, a betonowa podłoga mimo to nie chce się rozstać i pochłoniąć mnie razem z gatkami.

To już koniec, koniec wszystkiego.

Obudził mnie telefon. Najpierw nie mogłam pojąć, co się dzieje, ale w końcu podniosłam słuchawkę i spytałam ochrypłym głosem:

— Halo?

— To ja. Co porabiasz? — spytał Czapla.

— Śpię.

— A, przepraszam, obudziłem cię. To o której przyjechać?

— A w jakiej sprawie? — spytałam jadownicie.

— Jak to w jakiej? No przecież dzisiaj śpimy u mnie i musimy wszystko omówić.

— Ja nie mam nic do omawiania, a piżamę i inne szczoteczki do zębów wyślę ci pocztą — powiedziałam drżącym głosem.

Zamilkł. Po chwili powiedział bardzo poważnie:

— Joasiu, rozumiem, że paskudnie się czujesz po zwolnieniu, ale przecież to nie ja cię zwolniłem, co się dzieje?

— Spytaj tę śliczną Pamelę, która rozpięła ci guziki od koszuli — wycedziłam przez zęby, rzuciłam słuchawkę i zaniósłam się płaczem. Łzy spływały mi na szyję i kapały na kołdrę.

Znowu zadzwonił telefon. O, ty podła świnio, pomyślałam. Teraz będziesz się wypierał w żywe oczy, ja wiem, bruneci tak potrafią. Po dziesięciu sygnałach odebrałam.

— O co ci chodzi? — spytałam martwym głosem.

Spod poduszki akurat wysunął się rękaw jego piżamy, wkopałam go mściwie z powrotem.

— Właśnie o tym musimy porozmawiać. Już ci kiedyś mówiłem, coś się dzieje. Ale to nie na telefon.

— Słuchaj, ja nie lubię brazylijskich seriali i tego całego „musimy porozmawiać”. Ja wiem, co się dzieje. Jestem zmęczona. Jestem zajęta. Daj mi spokój.

— Jadę do ciebie. — Odłożył słuchawkę.

Jedź sobie, jedź. Ciekawe, czy już zmienił pościel, czyścioszek. Same kłamstwa.

Poszłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Mokre, czarne smugi spływały mi po policzkach. Zapuchnięte, czerwone oczy podbite były brudnymi podkowami. Nosferatu wampir. Marzenie każdego mężczyzny. Jeszcze tylko powinny mi się przerzedzić zęby. Bezsensownie otworzyłam usta. Nie, były na miejscu.

Wytarłam twarz mleczkiem kosmetycznym. Zaparzyłam sobie herbatę i zapaliłam papierosa. Co mnie to wszystko obchodzi, będę sobie palić jak doróżkarz, przepalę się na śmierć. Kiwałam mściwie nogą w kapciu, patrząc, jak lekko spada i znowu się wsuwa na miejsce. Ciekawe, co wymyśli. Oni zawsze mają tyle pomysłów.

Zadzwonił domofon.

Po chwili odebrałam.

— Joasiu, otwórz.

— Powiedz krótko, o co chodzi, śpieszę się.

— Joanno — powiedział zmęczonym i poważnym głosem — to nie są żarty. Mówię prawdę.

Otworzyłam. Wszedł i spojrzał na mnie. Zamknął drzwi na wszystkie zamki i objął mnie mocno, głaszcząc moje plecy i włosy.

— Co ty zrobiłaś, płakałaś? Czy ty naprawdę myślisz, że zamieniłbym cię na taką plastikową lalę? Przecież... wariuję dla ciebie.

— Ale ja was widziałam. Na placu Wolności — powiedziałam cicho. — Nie wyglądała na matkę Teresę z Kalkuty.

— Faktycznie.

Usiedliśmy w fotelach. Spojrzałam na niego pytająco.

— Pamiętasz, jak mówiłem, że coś dzieje się w systemie u klienta?

— Pamiętam, ale co ma do tego piersiasta blondina?

— No właśnie. To jest żona prezesa tej firmy. Kilka lat temu pracowała tam jako dziewczyna do jebania klientów, przepraszam cię, oni tak to nazywają. Czyli jako naganiaczka, miała zdobywać i czarować klientów, żeby u nich kupowali i podpisywali kontrakty. Ona, Justyna, miała bardzo dobre wyniki, wielki... dar przekonywania, potrafiła sobie każdego owinąć dookoła palca. Do tego stopnia, że nawet wytłumaczyła prezesowi, że powinien wymienić swoją starą żonę na nową, to znaczy na nią. Prezes, oczywiście, dał się przekonać...

— Wierzę — mruknęłam ponuro.

— I wszystko byłoby dobrze, ale prezes jakiś czas temu wkroczył w lata tak zwane przejściowe i zaczął mieć problemy z tożsamością.

— To znaczy?

— W małżeństwie pojawiły się konflikty i kłótnie o majątek, Justyna chciała współrządzić firmą, a w końcu okazało się, że łączy ich już tylko jedno.

— Tak?

— Słabość do młodych mężczyzn.

Zamurowało mnie.

— Ty mi tu bajki opowiadasz? — spytałam.

— Nie. A to dopiero początek.

— Ale nadal nie rozumiem, czego ona szukała pod twoją marynarką — znowu dopadły mnie podejrzenia.

— No właśnie. Już od kilku miesięcy jakoś dziwnym trafem zawsze była w firmie, gdy ktoś od nas coś robił w systemie. My go stworzyliśmy i na bieżąco go serwisujemy i rozbudowujemy. Miesiąc temu Krzysiu, taki nasz młody informatyk, przyznał się, że był z nią na drinku i wylądowali w łóżku. I że ona ma bardzo chłonny umysł i jest ciekawa nowinek, i interesuje się systemami. A zwłaszcza zabezpieczeniami. Nawet przekomarzała się z nim, jakby to było na przykład śmiesznie, gdyby mogła wejść do poczty elektronicznej swego męża i czasem poczytać jego nieprzyzwoitą korespondencję.

— O! — zaczęło mi cos świtać.

— Krzysiu się śmiał, ale powiedział jej oczywiście, że bez złamania kodów to niemożliwe, nawet on nie wie wszystkiego i żeby nie myślała o zawodzie hakera, no a potem zajęli się czymś innym, wiadomo. A dwa tygodnie temu zawiesiła się cała sieć. Długo nie mogliśmy dojść do ładu, ale w końcu okazało się, że to była próba włamania. Ktoś chce złamać blokady.

— Po co? I kto? Przecież to tylko zwykła firma.

— Też tak myślałem. Ale teraz już wiem, że Vantel to tylko część dużej siatki, jakby niejawnego holdingu. Wiesz, są całe systemy firm, spółek córek, spółek doradczych, to wszystko pączkuje i przechodzi jedno w drugie. A co się tam naprawdę dzieje, tego nie wie nikt. Chyba że masz kod dostępu i możesz śledzić przepływy dokumentów.

— Czy ty chcesz mi powiedzieć...

— Justyna chce wejść do systemu i prawdopodobnie knuje coś, albo sama, albo z kimś, przeciwko prezesowi. Być może stał się niewygodny dla pozostałych szefów siatki, nie wiem. I od kilku tygodni jest dla mnie bardzo miła, a nawet, jak widziałas, uwodzicielska. Dziś przekonała mnie, że zepsuł się jej samochód, a musi pilnie jechać do Starego Browaru, i czy mogę ją podrzucić. Musiała się w końcu dowiedzieć.

— O czym?

— Że to ja robię zabezpieczenia.

Znieruchomiałam.

— Ale to przecież mogą być normalni przestępcy, albo mafia! — wypaliłam przerażona.

— Nie, nie sędzę — powiedział Czaplą uspokajająco. — Zwykli złodzieje w białych kołnierzykach.

Byłam oszołomiona.

— To wszystko wygląda jak w jakimś filmie. No ale podwiozłeś ją i co dalej? — nastroszyłam się.

— Koniecznie chciała zaprosić mnie na martini, bo potrzebuje mojej rady, ale w końcu uwierzyła, że nie zamierzam iść. Wysiadła pod Browarem i poszła, ale to twardy zawodnik.

— Myślisz, że będzie próbować dalej?

— Tak. Jej bardzo zależy, i nawet jest trochę nerwowa.

— A kto oprócz ciebie robi te... blokady?

— Paweł, ale on jest w tej chwili w sanatorium. Na wszelki wypadek zadzwoniłem do niego dzisiaj po południu, więc wszystko w porządku. Na razie. A potem się zobaczy.

Czapla pochylił głowę i zmęczonym gestem przetarł twarz. Podeszłam do niego, objęłam go i pocałowałam w kark, raz, i drugi, i znowu, powoli.

— Czy w takim razie... piżama może tu zostać?
— spytał, ujmując mnie za ramiona.

— Chwilowo tak.

— To jedźmy zobaczyć, czy na Łazarzu pada śnieg. Bo tu trochę prószy — poczułam jego ręce na piersiach.

— Uwielbiam cię — powiedziała cicho, wdychając zapach jego włosów.

Byłam zwierzakiem.

Byłam kobietą.

Byłam szczęśliwa.

No proszę, znaleziono hobbita. Małego człowieka o wzroście jednego metra, z mózgiem o trzy czwarte mniejszym od naszego. A jednak, wbrew teoriom naukowym, wytwarzał narzędzia i umiał żeglować, dwadzieścia tysięcy lat temu dopłynął do wyspy Flores w pobliżu Jawy i tam się osiedlił. W czasie kiedy światem rządził już niepodzielnie krwiożerczy *homo sapiens*. Przynajmniej tak dotąd uważano.

Największa niespodzianka paleontologii na przestrzeni ostatnich stu lat, powiedział mądry profesor w gazecie. Po prostu nie pasuje. Tak jak żyrafa, zwierzę zbudowane pokracznie i bezsensownie, a żyje.

Mhm. Kocham takie historie. Niby się nie zgadza, a wszystko się zgadza. To tylko ramy się rozszerzają, pomyślałam sobie, myjąc zatłuszczony garnek. A zresztą, jeśli mnie pamięć nie myli, taki mały człowieczek z Jawy był pomocnikiem przestępcy ściganego przez Sherlocka Holmesa. Z pewnością Conan Doyle wiedział, co pisze.

— Najgorsze są te mdłości — powiedziała Ania.
— I potworne bóle głowy, nic nie pomaga. Słodzisz?
— Tak, ciągle słodzę, dwie łyżeczki. — Zamieształam kawę.

Czereśnia kołysała się lekko za oknem, ledwo widoczna w mroku. Wisiało na niej już tylko kilkanaście brudnożółtych, postrzępionych liści.

Ania była blada i wypłowiata, głowę obwiązała ciasno chustką. W trakcie rozmowy ciągle zaciskała i otwierała pięść, raz po raz podnosiła spuchniętą rękę do góry i przebierała palcami.

— To gimnastyka. Po wycięciu węzłów chłonnych limfa nie może normalnie krążyć i zbiera się w ręce, wszystko puchnie. Właściwie tej ręki już nie mam. Do niczego się nie nadaje, jak martwa. Czajnika w niej nie utrzymam ani siatki z zakupami.

Cicho grało radio. Na szafie wisiała wyprasowana bluzka.

— A kiedy będą wyniki?

— Już dostałam. Nie ma przerzutów, na szczęście. Zdażyłam na ostatnią chwilę. — Ucieszyła się.
— I podobno włosy wszystkie odrosną, bo teraz, zobacz, nawet połowa brwi i rzęs mi wypadła, nie mogę na siebie patrzeć.

Rzeczywiście, teraz dopiero zdałam sobie sprawę, że znikająca jej oprawa oczu. Razem z ziemistością skóry i bladością źrenic sprawiało to wrażenie rozpytywania się i agonii.

— Chcesz zobaczyć?

I zanim zdażyłam odpowiedzieć, zdjęła chustkę. Na łysej, lekko spoconej czaszce widniało zaledwie kilka kępek cienkich włosów.

— Ale tu już odrastają, widzisz?

Wskazała palcem meszek przypominający nalot na brzoskwini.

— O, widzę. Rzeczywiście, błyskawicznie to u ciebie idzie! — powiedziałam, modląc się, aby nie widziała mojego przerażenia.

— A gdy wychodzę z domu, zakładam perukę, na szczęście całkiem tania i podobno dostanę refundację. Tak samo jak za protezę, inaczej nie wiem, jak mogłabym to wszystko kupić — podeszła do lustra i wzięła do ręki jasne włosy. — Tylko strasznie się pod nią pocę, to gorsze niż czapka, ma jakąś syntetyczną wyściółkę, o, tu.

Wzięłam perukę do ręki. Dotąd takie przedmioty kojarzyły mi się wyłącznie z operą i Tiną, która czasem nosiła sztuczne włosy, gdy chciała sobie odmienić nastrój lub przypomnieć dawny występ. Tina była jednak zdrowa jak rzepa, a pierśmi mogłaby obdzielić kilka kobiet.

— Bardzo ładna, i modny fason — powiedziałam.

— No właśnie, bo niektóre są straszne i spadają z głowy, ta jest na szczęście udana. A tutaj proteza, ale można ją nosić dopiero miesiąc po amputacji.

Wyjęła z foliowego opakowania cielisty, przelewający się kształt. Wzdrygnęłam się. Rzeczywiście, jak odcięta pierś.

— Z czego to jest zrobione? — wyjąkałam.

— Z silikonu. Zachowuje się jak ciało, zobacz — podała mi pierś do ręki. Poczulałam się jak rzeźnik szacujący wagę wątroby.

— Piękna, zupełnie jak prawdziwa.

— To jest taka do wkładania w kieszonkę stannika, bo te przyczepiane na rzepy są niedobre. To znaczy dla mnie, od razu wszystko mnie szczypie i swędzi.

— Jak na rzepy?

— Rzepami przyklejasz do ciała, do blizny. Niektóre kobiety bardzo sobie to chwala.

Troskliwie schowała pierś do woreczka i włożyła do szuflady.

— No, i teraz zacznę rehabilitację w klubie Amazonek. W dodatku lekarz obiecał, że dostanę półroczne zwolnienie, żeby dojść do siebie, a u mnie w pracy powiedzieli, że to nie szkodzi, poczekają na mnie, mogę się wychorować. No powiedz, czy to nie szczęście, ja jednak zawsze wiedziałam, że opatrzność nade mną czuwa! — zakończyła pogodnie. Uniosła rękę wysoko w górę i zaczęła ścisnąć i zaciskać dłoń.

No faktycznie, nieustająca opieka, pomyślałam zjadliwie. Wybrana między niewiastami. Nawet nie śmiałam spytać o Zbyszka, bo i po co. Był i zniknął, *finita la comedia*.

— A co u ciebie? — spytała Ania.

— Pakuję manatki i szukam nowej pracy.

— I jak to idzie?

— Do końca listopada muszę wszystko uporządkować, zdać i tak dalej. Pół pokoju się pakuje, więc trochę to różnie niż samemu. W ostatnim dniu chcemy sobie zrobić pożegnalną kawę i do widzenia.

— Ale co z szukaniem? — dopytywała.

— Rozmawiam, listy piszę i nic. Nawet jeden ze znajomych dyrektorów chciał mnie u siebie zatrudnić, ale gdy się dowiedział, że to Królik mnie wyrzucił, powiedział szczerze: „Ja bardzo blisko współpracuję z dyrektorem Królikowskim, a nawet częściowo mu podlegam, więc jeśli on panią zwolnił, to wołałbym pani nie przyjmować, rozumie pani, wolę mieć czystą sytuację”. Przynajmniej nie kombinował, że

zgubił mój numer telefonu, jak niektórzy. Ale to trochę tak, jakby się miało wilczy bilet.

— Coś znajdziesz, na pewno. Z twoimi kwalifikacjami to tylko kwestia czasu.

— Chyba nie. Magiczna bariera czterdziestki. Gdybym była czyjąś żoną albo kochanką, to co innego.

— Ach, wszystko będzie dobrze, zobaczysz — pocieszała mnie ufnie kobieta, która właśnie straciła mężczyznę, pierś i poczucie własnej wartości. Zyskała zaś pewność, że codziennie musi badać swe ciało w poszukiwaniu nowego zgrubienia, które może pojawić się wszędzie.

— Zresztą o czym my tu mówimy. Najważniejsze, żebyś wytrzymała tę chemię — powiedziałam.

Pożegnałyśmy się. Ania zamykała drzwi, chowając się w cieniu. — Wolę się nie pokazywać, ludzie są tacy wścibscy — szepnęła.

Wyszłam przed dom, zaciągnęłam się zimnym, czystym powietrzem. Boże, spraw, żeby to był już koniec tej choroby, prosiłam, idąc mokrym chodnikiem. Dlaczego tak walisz w tę kobietę jak w bęben?

Szłam do samochodu i czułam tępy ból w lewej piersi.

— Magda, spójrz, tu są wszystkie sprawy z Amerykanami, Duńczykami i Węgrami, korespondencja okolicznościowa, spotkania i ekspertyzy. A gdzie chcesz mieć lata 1996 — 2000? — spytałam.

— W dupie — powiedziała.

— Dobrze. Cały mój dysk przegram ci na twój komputer, żebyś w razie czego miała wszystko w jednym miejscu.

Najgorsze było porządkowanie wielkiego biurka, którego szuflady zawierały w sobie historię kilku lat. Jakieś dyskietki, plakietki, stare wizytówki, identyfikator z 1998 roku, pogięte zdjęcie z delegacji, książka z cytatami, piętnaście zepsutych długopisów, rozdziawiony zszywacz, zapasy spinaczy, pamiątkowa zapalniczka od Adama (kiedy to było!), kawałek linijki, schowana kopia bardzo ważnego listu, cenne brudnopisy, krem do rąk, lusterko i tabletki przeciwbólowe. Całe życie wyrobnika.

— O, zobacz, pamiętasz tego faceta z Detroit? To był dopiero oszołom — powiedział Tomek, wychylając się z szafy z segregatorami. Pokazał mi fotografię sprzed kilku lat. Wysoki, tłustawy blondyn uśmiechał się przepisowo, życzliwie obejmując Tomka i mnie w hotelowym holu.

— Ciekawe, co on teraz robi?

— Chyba to, co zawsze. Bałagan.

— A ja wam mówię, że on miał zupełnie inną rolę. Te jego projekty nigdy nie dochodziły do skutku. Ale zawsze się dowiedział, co słyhać. We wszystkich dawnych demoludach — złowieszczo pokiwała głową Halina znad swojego stosu makulatury.

Powoli przeglądaliśmy nasze zbiory, wyrzucając śmieci i układając to, co potrzebne. Mieliśmy czas, ponieważ nowy kierownik raczej nas unikał i dostawaliśmy niewiele prac do zrobienia albo zajęcia drobne i niepoważne. W ciągu dwóch tygodni wszystko zostało wyczyszczone, spakowane i odłożone, biurka umyte i gotowe na przyjęcie nowych lokatorów.

Nadszedł ostatni dzień. Kupiliśmy ciasta, napitki i inne fidrygałki. Po południu zaparzyliśmy kawę i zaczęły się pożegnania. Ludzie przychodzili, ga-

dali, całowali, przynosili kwiaty i upominki. Cały pokój wypełnił się znajomymi twarzami, pięknymi i brzydkimi, ale zawsze bliskimi i swojskimi. Znaliśmy wszystkie swoje wady i zalety, historie i przypadki. Zajrzał z bukietami nawet kierowca prezesa, znany ze swej stoickiej filozofii i powiedzonka: „Mnie nie obchodzi, kto z kim śpi, tylko kiedy i skąd mam ich odebrać”. Wypiliśmy po kieliszku wina i wszyscy czuli, że już nigdy nie będzie tak jak dawniej, że coś się kończy, a coś się zaczyna. Zwłaszcza że Magda i Monika wręczyły nam elegancko opakowane pudełka, z luksusowymi perfumami dla Haliny i dla mnie, i drogą wodą toaletową dla Tomka.

— Czy wyście oszalały, przecież to kosztowało majątek — wyjąkałam.

— Ale my chcemy, żebyście dostali to, co lubicie, na pamiątkę tych wspólnych lat — powiedziała Magda ze łzami w oczach.

— Wariatki — zamruczał Tomek grubym głosem, aby ukryć wzruszenie.

Halina wyjątkowo nic nie dodała, bo akurat hałaśliwie i zamasyście wycierała nos w chusteczkę.

Dochodziła czwarta. Spakowaliśmy swoje drobiazgi i kwiaty, Tomek zapiął plecak, Halina zarzuciła na ramię długi, czarny szal. Zmieniłam buty, chowając czółenka do siatki. Ucałowaliśmy się wszyscy jeszcze raz. Spojrzałam szybko na ten duży, zagraczony pokój, na szafkę, w której za szkłem pobłyskiwały książki i słowniki, i wyszłam.

Jak zawsze, Tomek zgasił światło i zamknął drzwi. Jak zawsze oddaliśmy też klucze w portierni i powiedzieliśmy do widzenia.

Stanęliśmy na chodniku w cichym świetle latarni.

Byliśmy bezrobotni.

Kościół był wielki i zimny. Przed sobą widziałam ławicę filcaków, dalej prosty nowoczesny ołtarz i olbrzymi kolorowy witraż. Starszy, siwy ksiądz tłumiąc ziewanie, ustawił monstrancję na ołtarzu i zapowiedział odmawianie koronki.

Ojciec spojrział na mnie zdziwiony, bo przecież przyszliśmy na mszę za mamę. Kiwnęłam uspokajająco głową, że wszystko będzie w porządku.

Ojciec rzadko bywał w kościele. Mawiał często, że te przegadane, katolickie obrzędy zniechęcają go do Boga. Jednak na msze ofiarowane mamie chodził, marzył i cierpiał. I widziałam, że modlił się na swój pogański sposób.

Ksiądz właśnie odczytywał intencje.

— Najświętsza Panienko, spraw, aby moja córka Marzenka nawróciła się. Błaga Maria.

— Jezu ukochany, wyprowadź z nałogów mojego syna Jacka i całą jego rodzinę. Prosi matka, Krystyna.

— Święte serce Jezusa, spraw, aby moja córka i zięć znaleźli pracę i aby dzieci wyzdrowiały, na Twoją mękę. Prosi matka, Barbara.

— Przenajświętsza Matko, czysta Panienko, oddal chorobę od mojego męża Józefa. Błaga Bożena.

— Boże miłosierny, dopuść mojego zmarłego syna Marka do Twojej światłości. Prosi Halina.

Kłęczą w twardych, niewygodnych ławkach, na drżących, obolałych od pracy i chorób nogach. W zimowych grubych butach, szarych, zniszczonych płaszczach i kulistych filcowych kapeluszach na głowach, ze zmarzniętymi twarzami pochylonymi w dół lub wzniesionymi błagalnie ku ołtarzowi i monstrancji. Tylko tutaj mogły się spodziewać, że ktoś ich wysłucha i nie przyśle za to słonego rachunku w elegancji, firmowej kopercie.

Ksiądz wziął różaniec do ręki i rozpoczął modlitwy, ludzie dopowiadali dalszy ciąg. Monotonna, stara recytacja ciągnęła się powoli i spokojnie. Ksiądz przesunął różaniec i powiedział:

— Bolesna męko Jezusa...

a kościół zaszemrał:

— ...miej miłosierdzie dla nas i całego świata.

Ksiądz ponownie wyrecytował:

— Bolesna męko Jezusa...

a kościół odpowiedział:

— ...miej miłosierdzie dla nas i całego świata.

I znowu, i znowu, i jeszcze raz. Ojciec z drgającymi ustami pochylił się ku mnie i spytał:

— A ten co, zaciął się jak stara płyta?

— Tato, to jest taka mantra — domyśliłam się.

Siedząca przed nami zakonnica obrzuciła nas gniewnym spojrzeniem. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie pomyliliśmy daty i miejsca. Wkrótce jednak koronka skończyła się, ksiądz wraz z ministrantem wyszedł, potem znowu przyszedł, zadzwoniły dzwoneczki i rozpoczęła się msza. Wspomniał mamę, mówił o samotności i cierpieniu, modlił się za zatwardziałych grzeszników. Czyżby miał na myśli takich, jak mój ojciec, który leczył każdego przetrąconego kota i uspokojał kocicę przerażoną swym pierw-

szym porodem? I nigdy nie zdradził mamy, mimo że miał tyle samo okazji, co inni mężczyźni.

Bo jej obiecał.

Patrzyłam przez okno. Zmrożone liście pobrzękiwały jak wycięte z blachy. Wielkie ciemne jabłka leżały pod drzewami niczym nieruchome ciężkie bryły. Pojemniki na śmieci lśniły zimno w mdłym świetle latarni. Miejscowe pijaczki już zniknęły, uzbierawszy od przechodniów pieniądze na wino. Koniec listopada. Najgorsze chwile w roku.

To nie był dobry moment na rozpoczynanie nowego życia. Gazety poszukiwały akwizytorów i entuzjastycznych sprzedawców, potrzebowano też doskonale zorganizowanych, doświadczonych, piszących bezwzrokowo sekretarek do trzydziestego piątego roku życia. Kierownicy aptek i przedstawiciele medycy byli na wagę złota, podobnie jak fryzjerki, masażystki i wykrawacze mięsa. Absolutnie nikt nie szukał Joanny Maler.

Teraz się zastanowimy, co dalej, myślałam. Nie denerwuj się. W życiu bywa różnie, w końcu nikt cię nie wygania z domu z jednym tobołkiem na plecach, z zakazem osiedlania się w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. Musisz jedynie znaleźć nowy pomysł i nadal płacić rachunki.

Rozmyślałam, co ja właściwie umiem. Rozpisałam to sobie na kartce. I okazało się, że oprócz gotowania, chyba nic. Wszystko, co wiedziałam, wiedziałam jedynie w pewnym stopniu. Nie byłam cyborgiem, jakie teraz miały wzięcie. Nie byłam też szwagrem właściwej osoby. Nie umiałam całować szefa w tyłek. Miałam niewyparzoną gębę. Byłam nikiem.

Czapla grzał jak wielki termofor. W dodatku pachniał. I nie trzeba było nalewać do niego wrzątku.

Zasnęliśmy późno, po burzliwej dyskusji na temat poszukiwania pracy. Na szczęście odprawa pozwalała mi spokojnie przeżyć najbliższe trzy miesiące, ale po oddaniu rozmaitych długów i rozpatrzeniu się w sytuacji jasne było, że te pieniądze skończą się błyskawicznie.

Właśnie śniło mi się, że krążę po terenach targowych na wielbłądzie, gdy zadzwonił telefon. Kiedy już zrozumiałam, że to rzeczywistość, podniosłam słuchawkę. Na budziku była godzina trzecia.

— Słucham? — zaszemrałam nieprzytomnie.

— Joanno, to ja. Beata. Jesteśmy w szpitalu. Czy możesz przyjechać?

— Co się stało?!

— Natalia miała wypadek, to znaczy... coś pokłnęła. Teraz się obudziła i chce, żebyś przyjechała.

— No jasne, już jadę, a który to szpital?

— Tutaj na Lutyckiej.

— Zaraz będę.

Odłożyłam słuchawkę. Czapla wciskał już koszulę do spodni, usiłując równocześnie znaleźć swój zegarek.

— Chyba jest przymrozek. Ubierz się ciepło — powiedział, starając się stłumić ziewanie.

— Boże, co się tam dzieje? — spytałam przerażona.

— Nastolatki bywają trudne i żywiołowe.

— Ale co oni jej zrobili, że się truła?

— Dowiemy się. Chodź, jedziemy.

Szybko się umyłam i uczesałam, zawinęliśmy się w płaszcze i zesliśmy na lodowatą ulicę. Szybko samochodu pokrywał szron, powietrze było zupełnie nieruchome i ciche. Rzeczywiście, dobry moment na śmierć. Wzdrygnęłam się. Takie dziecko, taki samotny pimplus.

Jechaliśmy szybko pustymi ulicami. Zaparkowaliśmy pod szpitalem, przeszliśmy przez izbę przyjęć pełną zdenerwowanych, zmęczonych ludzi, którzy przywieźli tu swoich bliskich. Ostry dyżur. Noc jak inne.

Pielęgniarka o podkrążonych oczach skierowała nas do pokoju Natalii. Na korytarzu stała Beata w eleganckim kostiumie i z rozmazanym makijażem. W ostrym świetle jarzeniówek wyglądała jak zanurzona w formalinie.

— Jesteś — powiedziała, obrzucając Czapkę zaskoczonym spojrzeniem.

Przedstawiłam ich sobie.

— Marek zna Natalię, ostatnio była u nas na obiedzie — powiedziałam. — I też ma córkę.

— Aha — powiedziała nieprzytomnie. — Teraz jest u niej Andrzej, ja musiałam na chwilę wyjść. — Trzęsły jej się usta, była blada jak ściana. — Połknęła całe opakowanie relanium. Z mojej szafki. Gdyby Andrzej nie pojechał do domu po notatki, już by nie żyła. Znalazł ją o szóstej, musiała połknąć koło piątej, tak mówi lekarz. A myśmy mieli wrócić po dwunastej!

— A teraz co się dzieje?

— Zrobili jej płukanie żołądka i dali kroplówki. Cały czas spała, ale teraz się obudziła. I pytała o ciebie.

— A czy wiadomo, dlaczego?... — spytałam.

— Zostawiła list. Napisała, że nie chce być dla nikogo ciężarem, że nie widzi sensu w życiu i nie chce się dłużej męczyć. I że nie zamierza rodzić następnych nieszczęśliwych ludzi.

— Niech pani usiądzie — powiedział Czapla i podsunął jej szpitalne krzeselko. Bezwładnie opadła na siedzisko, mechanicznie rozcierając ręce.

Drzwi się otworzyły i wyszedł Andrzej.

— O, jesteś — powiedział na mój widok. — Wejdz.

W pokoju światło było przyćmione. Natalia leżała pod monitorem, oplątana kroplówkami. Jej twarz była blada ledwo odróżniała się od poduszki. Podniosła powieki.

— Ciociu?

— Jestem, kochanie. Jak się czujesz? — Usiadłam na łóżku i wzięłam ją za rękę.

— Dobrze, ale bardzo mi się chce spać.

— Dziecko, dlaczego nie przyszedł do mnie?

— Dzwoniłam wczoraj, ale cioci nie było. — No tak, nocowałam u Marka, pomyślałam z przejmującym poczuciem winy. — A dzisiaj to już nie chciałam rozmawiać. I Tomek przysłał mi SMS-a, że zrywa ze mną — łza spłynęła po jej twarzy. — Po prostu nikt mnie nie kocha, to wszystko. — Zamknęła oczy i odwróciła twarz do ściany.

Objęłam ją.

— Natalko, tak nie jest. Wiem, że mi nie wierzysz, ale życie często wydaje się beznadziejne, a potem wszystko się układa. Nie wymyślam historyjek na pocieszenie. Ja też kiedyś połknęłam tabletki.

Odwróciła się do mnie.

— Naprawdę?

— Tak, kochanie. W młodości wiele osób myśli

o tym, a wiele też próbuje. Ale ja wtedy przekonałam się, że to właściwie niczego nie zmienia.

— Chyba nie — powiedziała w zamyśleniu.

— Bo przecież zabierasz swoją samotność na tamtą stronę, i nadal jesteś sama.

— Tak, w takiej zimnej czeluści, a ciało się rozrywa we wszystkie strony i wiruje.

— Więc jeśli już tam byłaś, to wystarczy. Teraz będziesz czuła wszystkie smaki życia, o wiele mocniej i pełniej niż przedtem, zobaczysz.

— Tak ciocia myśli?

— Jestem pewna. I będziesz o wiele silniejsza. Bo będziesz widziała wszystko jakby z drugiego brzegu.

— Mhm. Pomyślę o tym. Tata też mówi, że teraz wszystko się zmieni. Zobaczę. Potem zobaczę. Teraz muszę pospać. — Usiłowała otworzyć oczy, ale powieki opadały jej ciężko. Po chwili spała twardo, a ręka trzymająca moją dłoń osunęła się na kołdrę.

Jeszcze chwilę posiedziałam przy niej, potem wyszłam. Wszyscy troje spojrzeli na mnie pytającym wzrokiem.

— Zasnęła — powiedziałam. — Ale chyba powinniśmy przy niej siedzieć na zmianę, żeby nie była sama, gdy się obudzi. Ona boi się być sama.

— To my posiedzimy do rana, a ty... może przyjedziesz w południe? — spytała moja siostra Beata zaleknionym głosem.

— Dobrze, będę o dwunastej. W końcu na coś się przyda to moje bezrobocie.

— A kiedy ją zwolnią do domu? — spytał Czapla.

— Tego nie wiemy, podobno mają jeszcze być jakieś rozmowy z psychologiem i inne badania. Może

jutro, może pojutrze — powiedział Andrzej. Jeszcze nigdy nie widziałam takiej udręki na jego twarzy. Niepewnym gestem pogładził ramiona Beaty i natchmiast cofnął ręce.

— Napijcie się kawy? — spytał. — Tu jest kawa z automatu.

— Daj spokój, niech jada — powiedziała Beata. — Mają kawę w domu. A jutro się wymienimy.

Drżącymi rękoma otworzyła torebkę i zaczęła w niej przewracać. Po chwili podniosła głowę i spytała:

— A... nie macie przypadkiem papierosów?

Czapla wyjął paczkę z marynarki i podał jej.

— Dziękuję. Ostatni raz paliłam dziesięć lat temu — powiedziała. — Pójdę na schody, widziałam, że tam ktoś palił.

— Będzie awantura, jak cię przyłapią — powiedział Andrzej automatycznie.

— Mam to gdzieś.

Pożegnaliśmy się i poszliśmy. Jeszcze widziałam, że Andrzej wchodzi do Natalii, a Beata szuka wyjścia na schody koło windy.

— Mój Boże, co to będzie? Jednak chodziło o samotność — powiedziałam do Czapli. — Plus zawód miłosny.

— Będzie dobrze. Myślę, że ich to jednak mocno strzeliło.

— Ona mnie wczoraj szukała. A mnie nie było w domu.

Czapla objął mnie ramieniem.

— Nie możesz być zawsze w domu. Nie obwiniaj się. Nikt nie może zaradzić wszystkiemu. A z pewnością nie możesz zastąpić jej rodziców. I nawet nie powinnaś.

Dochodziła piąta. Na puste ulice cicho opadał drobny śnieg. Jechaliśmy powoli, bojąc się poślizgu. Z pobocza wyskoczył czarny kot i przebiegł szybko przed samochodem, zostawiając ślady łapek.

— Biedny stworek, tak zimno! — powiedziałam.

— Może ma jakieś ważne sprawy na mieście.

— Mhm. — Zamyśliłam się. — Jeśli jest niebo dla kotów, to Tuniaczek na pewno cały czas śpi na kaloryferze.

— To na pewno!

Nie włączaliśmy radia. Bardziej pasował ten cichy śnieg i nieruchomo stojące drzewa.

W domu zrobiliśmy herbatę i szybko położyliśmy się do łóżka.

— Nie chciałabym mieć znowu szesnastu lat. Człowiek jest wtedy taki nieszczęśliwy.

— Ja też nie. Ja chcę mieć dokładnie czterdzieści osiem i nieśmiałą kobietę w za dużej piżamie.

Za oknem postękiwały pierwsze poranne autobusy.

Jednak jesteś bardzo naiwna, moja droga — powiedziałam do swego odbicia w lustrze. — Pewnie znowu pojawiła się blondynka pragnąca sączyć martini.

Była już prawie dziesiąta wieczór, a Czapla nie zadzwonił przez cały dzień i miał wyłączoną komórkę.

Cóż, wróćmy do grubych skarpetek, pomyślałam. A jednak bolało mnie serce i chciało mi się płakać. I po co opowiadać takie bzdury tej biednej Natalii, życie naprawdę jest bez sensu.

Wzięłam prysznic, ubrałam piżamę i grube włochate skarpety. Z kubkiem herbaty w ręce usiadłam na kanapie, przykryłam się kocem i włączyłam telewizor. Zobaczymy, co w świecie słychać, chociaż łątwo przewidzieć, że albo ktoś coś ukradł, albo kogoś zabili. A może jest jakiś stary film na TCM.

Wzięłam pilota i program telewizyjny. Gadające głowy, reality show, bezludna wyspa, chichy śmichy na komendę, zwłoki pod Ostrowem, żywe dziecko w skrzyni, jadowity wąż urwał się przemytnikom i atakuje pod Cieszynem, pięćdziesięciodziewięcioletnia kobieta urodziła bliźnięta, mężczyzna, który operacyjnie zamienił się w kobietę nie przyjęty do armii wkracza na drogę sądową, najbogatszy polski biznesmen sprzedaje kraj Rosjanom, mieszkańki poznańskiego Starego Rynku wystosowały pety-

cję do rady miasta, aby przesunąć lub zasłonić fontannę Apollina, gdyż pierwszy widok, jaki ukazuje się im o świcie, to błyszczące, metalowe pośladki bożka, co obraża ich uczucia religijne, a idźcie wy mi wszyscy do boru, jak mawiała ciocia Róża.

A może ja tu siedzę, a tymczasem mafia obcina Czapli palec po palcu, sekatorem, aby wydobyć informacje o systemie? Włosy stanęły mi dęba.

Zabrzączał dzwonek do drzwi. Ki diabeł, pomyślałam, patrząc z niedowierzaniem na zegarek. To musi być ktoś, kto zna kod domofonu. Czyli Natalia albo Czapla.

Pobiegłam do wejścia, spojrzałam przez wizjer. Zobaczyłam Czapkę, a za nim jakiegoś młodego człowieka z walizeczką. Otworzyłam. Czapla błyskawicznie położył palec na ustach i spytał kretyńskim, wesołkowatym głosem:

— Pani zamawiała pizzę?

Równocześnie przystawił mi do oczu kartkę z napisem:

**POWIEDZ, ŻE TAK, IDŹ PO PIENIĄDZE I ZA
PŁAĆ, PODSŁUCH.**

— Tak, bardzo dziękuję, ile płacę? — spytałam posłusznie.

— Jak dla pani, piętnaście pięćdziesiąt, nocna taryfa.

— Proszę poczekać, pójdę po pieniądze.

Przysłałam z portmonetką i podałam Czapli odpowiednią sumę.

— Dziękuję, smacznego życzę, polecamy się na przyszłość — bredził Czapla, równocześnie wchodząc cicho na korytarz i ciągnąc za sobą kolegę. Zamknął hałaśliwie drzwi i pokazał mi kartkę z napisem:

CZY W CIĄGU OSTATNIEGO MIESIĄCA BYŁ
W TWOIM MIESZKANIU

1. FACHOWIEC OD TELEFONÓW
2. INKASENT Z GAZOWNI ALBO ELEKTROWNI
3. KOMINIARZ
4. HYDRAULIK
5. DOZORCA
6. INNA OSOBA Z ZEWNĄTRZ

W ODPOWIEDNIACH MIEJSCACH POSTAW
KRZYŻYK.

GDZIE CHODZIŁ I CZEGO DOTYKAŁ?

Wręczył mi długopis. Zrobiłam krzyżyk przy punkcie 2 i drżącym palcem wskazałam szafkę z licznikami i cały korytarz. Towarzysz Czapli bezszelestnie otworzył walizeczkę i wydobył z niej niewielkie urządzenie, które przystawił do liczników. Patrzyliśmy na niego z napięciem. Po chwili pokręcił przecząco głową i zaczął systematyczny przegląd całego mieszkania, łącznie z szafami, łózkami, stolikami, obrazami, doniczkami, lampami i telefonami. Przez godzinę siedzieliśmy w kuchni jak myszy pod miotłą. W końcu fachowiec przyszedł i powiedział miłym głosem:

— Nic nie ma. Na imię mi Bartek.

— Joanna, bardzo mi miło.

— No to w porządku — odprężył się Czapla. — Bo widzisz — zwrócił się do mnie — w naszej firmie odkryliśmy dziś podsłuch, więc czyściliśmy całe biuro, telefony, samochody i mieszkania. U mnie w domu też nic nie znaleźliśmy.

— Jasna choinka! Nie mogę w to uwierzyć! To się robi niebezpieczne!

— Nic podobnego, to zwykły wywiad gospodar-

czy — powiedział Czapla lekceważąco, ale nie dałem się oszukać.

— Co ty mówisz. No przecież następny etap to będzie przypalanie was lokówką i odrąbywanie pa-luszków, widziałam w telewizji! — krzyknęłam.

— Nie bój się. Zgłosiliśmy sprawę na policji. No i oczywiście domyślamy się, o co chodzi.

— Piękna Justyna?

— Między innymi.

— Co między innymi?

— Krótko mówiąc, nie otwieraj drzwi, jeśli ktoś wcześniej nie zamówi się telefonicznie. To znaczy ktoś znajomy. Z obcymi w ogóle się nie umawiaj, na przykład z agentem ubezpieczeniowym i tak dalej. To oczywiście ostrożność na wyrost, ale lepiej na zimne dmuchać.

Wzdrygnęłam się. Wstawiłam wodę na herbatę. Niepozorny Bartek zaczął pakować swoją walizczkę.

— Gdyby coś się działo, niech pan natychmiast dzwoni. Tylko na ten numer, który podałem.

— Ale musimy się rozliczyć, ile ci jestem winien?

— Nic mi pan nie jest winien. To ja mam długi u pana, z dawnych czasów — uśmiechnął się pocziwie. — Cieszę się, że nic nie znalazłem. Praktycznie nie ma miejsca, gdzie by nie można założyć podsłuchu, w ułamku sekundy. Do widzenia, a właściwie to już dobranoc.

Pożegnaliśmy się, zamknęłam drzwi.

— O co mu chodziło z tymi długami? Czy ty mu ufasz? — spytałam, podając kubki.

— Bartkowi? Oczywiście. Świetny chłopak. On do dziś uważa, że jest mi coś winien, bo w stanie

wojennym przechowywałem u siebie jego ojca i dostawał śpionki ze zrzutów, to znaczy Bartek. Rzadki egzemplarz.

— Mhm. Całe szczęście, że jeszcze tacy istnieją.

— Istnieją, tylko ich nie widać, bo hołota wszystkich zakrzykuje.

— A właśnie, co z Justyną? — spytałam.

— Nie pokazuje się, zniknęła. Nikt nie wie, gdzie jest.

— To prezes się cieszy?

— Wręcz przeciwnie. Kilka dni temu dostał podobno przesyłkę do rąk własnych, i od tego czasu chodzi bardzo zgnębiony. Sekretarka mówi, że jest nerwowy i jakby przestraszony i ciągle siedzi w Internecie.

— Pewnie go szantażują — pokiwałam mądrze głową. Brakowało mi tylko wygniecionego prochowca.

— Może dostał film. Na przykład z klubu gejowskiego. Tak myślę. Żal mi go właściwie.

Zamilkliśmy. Minęła już północ.

— Ślicznie wyglądasz — powiedział Czapla akсамitnym głosem.

I wtedy dopiero mnie olśniło, że cały czas paradyję w piżamie, skarpetach i bamboszkach. I właśnie w tej wersji poznał mnie nieoceniony młodzieniec Bartek.

Wysłałam do Buby maila z zapytaniem, kiedy będą w Poznaniu, no bo w końcu trzeba się spotkać. I co u Maćkowiaków. W nocy przyszła odpowiedź.

Kochana Joasiu,

myślę, że za jakiś tydzień będziemy. Tymczasem mamy problem z szambem, coś trze-

ba przebudować czy podmurować, więc nastąpiło piekło i myjemy się w misce, w listopadzie, wyobraź to sobie. Koszmar. Jak tylko będziemy mogli normalnie się wykapać, przyjedziemy.

Jeśli chodzi o Maćkowiaków, to wszystko dobrze, przesyłają pozdrowienia. Jedyne, co się wydarzyło, to Maćkowiak stracił palec. Rąbał drewno, siekiera mu się omsknęła i trzask, pół palca poleciało w trociny. Krew tryska, Maćkowiak przerażony, leci do domu, zawiązuje szmatką i do nas, żeby go zawieźć do szpitala. Bolek wsiadł w samochód i pojechali. Czekają w kolejce, krew płynie, w końcu chirurg go prosi. Zaszyli mu ten palec, a właściwie kikut, dali zastrzyk przeciwtężcowy, środki przeciwbólowe i do domu. A w samochodzie Maćkowiak mówi do Bolka:

- Panie Bolku, ten lekarz spytał, gdzie mam palec. A ja mówię, na podwórku został. A on, czy nie można go przywieźć, to by przyszył. A ja na to, panie doktorze, palec spadł w trociny od razu kaczki go porwały, od rana nie nie żarły. A ten jak zaczął się krztusić, w końcu mówi: szkoda, panie Maćkowiak. No faktycznie, mogłem im odebrać ten kawałek, ale człowiek taki był ogłupiały, że nawet się o tym nie pomyślało. Tak to jest.

I pokazuje Bolkowi, jak ładnie mu opatrzyli ranę, za trzy dni do kontroli. A potem się zamyśla, kiwa smutno głową i mówi:

— Szkoda. Akurat ten palec moja żona najbardziej lubiła...

Jak się domyślasz, Bolek też zaczął się krztusić, ale powiedział Maćkowiakowi, że to początek grypy. Jeszcze wieczorem dla pewności

**przeszli się po podwórku z latarką, ale tej po-
łówki nie znaleźli.**

**Wichtacz mówi, że na Wielkanoc się żeni,
bo znalazł skarb. I chyba ma rację, bo on po-
trzebuje kobiety-szefa, wtedy chodzi równo
przy nodze, aportuje i jest szczęśliwy. Widzę,
że ta jego blondynka (Sylwia) ma na niego do-
bry wpływ, podoba mi się.**

A co porabia Ten Twój z Rasowym Nosem?

Mam nadzieję, że wszystko dobrze.

Całujemy Cię, do zobaczenia :-))))))

Buba+Bolek

— Rozmawialiśmy z panią psycholog, rozmawia-
liśmy z Natalią i dwie noce ze sobą. Chyba na razie
odłożymy rozwód — powiedziała Beata, potrząsając
rudą grzywą.

— Tak?

— Tak. Andrzej zachowuje się ostatnio... rewe-
lacyjnie. A mój facet, może słyszałaś?

— Coś słyszałam. — Kiwnęłam głową.

— Więc okazało się, że on sypia także z dziew-
czyną z działu marketingu. Oczywiście oprócz mnie
i żony.

— O, musi być w świetnej kondycji! — wyrwało
mi się.

— Niezupełnie. Chodzi naspeedowany.

— Jaki chodzi?

— No épa, ukryty narkoman po prostu. Wiele osób na
wysokich stanowiskach bierze, żeby to wszystko wy-
trzymać, stresy, nadmiar pieniędzy i strach o pozycję.

Jednak herbata jest najlepsza, pomyślałam. A mo-
że to też uzależnienie? Filiżanki parowały niespiesz-

nie. Beata trzymała papierosa w smukłych palcach o ciemnobrązowych paznokciach i pachniała perfumami za pięćset złotych.

— Czyli co, wracacie wszyscy razem do domu?
— spytałam.

— Tak, jutro. I będziemy musieli zmienić rozkład dnia, tak radzi pani psycholog. Całkiem sensowna kobieta, choć pierwsze wrażenie robi okropne.

— Bo nosi spódniczkę za siedemdziesiąt złotych?

— Nie musisz być złośliwa, daruj sobie. Nie jest mi lekko, wyobraź sobie.

Bo jesteś zbyt żarłoczna, pomyślałam, i sama pod sobą dołki kopiesz. Ale w gruncie rzeczy wstydziałam się tych myśli.

— A co to za facet, ten, z którym byłeś w szpitalu? — zainteresowała się nagle.

— A, to jest Cza... to znaczy taki mój znajomy, informatyk.

— I co, w środku nocy naprawiał ci komputer?

— Nie. To jest, mhm, to znaczy, jesteśmy ze sobą, od pewnego czasu.

— O! Super gość. Z górnej półki. No wiesz, nigdy bym nie pomyślała, że ty...

— ...taka krzywa kądziołka, zwiędła ruta... — odpowiedziałam domyślnie.

— Te twoje cytaty. No, fajny typ. — Wypiła łyk herbaty, zastanowiła się i dodała z pewnym trudem: — Gratuluję.

— Dzięki.

Była blada i zrezygowana. Każdego kiedyś rozjeżdża walec i moja siostra właśnie to przeżywała.

— Pamiętasz, jak mama zawsze mówiła? „Wszystko się jakoś ukształtuje, proszę księcia, wszystko się ukształtuje” — powiedziałam.

— No tak, mama też lubiła cytaty. Tak mi jej brakuje, nigdy bym nawet nie przypuszczała... — Łza kapnęła jej do filiżanki. Byłam wstrząśnięta. Moja siostra nigdy nie płakała, chyba że ze śmiechu.

W kawiarni powoli robiło się tłoczno, dym ciężko kłębił się nad stolikami.

— Chodźmy stąd — powiedziałam.

— No właśnie, jadę do szpitala.

— Pozdrów Natalię. Zajrzę do niej jutro.

— A... dzisiaj byłaś? — spytała niepewnie.

— Tak. Pogadałyśmy sobie.

— Wiesz, czasem się zastanawiam, czy ja w ogóle powinnam mieć dziecko. Może ja nie mam... talentu?

— Masz, tylko musisz jeszcze znaleźć czas.

— Ty tak czasami nadajesz jak ksiądz proboszcz!
— najeżyła się znowu.

— Może w protestantyzmie byłabym pastorem?

— zamyśliłam się. — W ogóle muszę sobie znaleźć nowy zawód, bo umrę z głodu.

— Mhm. No wiesz, gdybyś potrzebowała pomocy, jakiejś pożyczki czy coś w tym rodzaju, to Andrzej i ja... oczywiście chętnie, nie krępuj się.

— No przecież nie dlatego to powiedziałam!

— Wiem, ale jakby coś, to pamiętaj.

Ucałowała mnie nagle i poszła w stronę Starego Rynku, postukując pięknymi czółenkami, w płaszczu do kostek przywiezionym dwa tygodnie temu z Paryża. A jednak w pochyleniu jej głowy widziałam rozpacz i strach.

Postanowiłam, że przez pierwsze trzy dni będę się wysypiać, bo wtedy najlepiej układa mi się w głowie,

a potem już wrócę do normalnego wstawiania rano i zabierania się do pracy, a zwłaszcza do jej szukania. Wiedziałam, że to może być długa droga.

Zgodnie z radami ludzi doświadczonych poszłam zobaczyć, gdzie jest urząd zatrudnienia. Nie mogłam jednak się przemóc, aby stanąć w długiej, smutnej kolejce, wśród nędzarzy przemieszanych z ludźmi dobrze ubranymi oraz zwykłymi oszustami, o sobie tylko znanych źródłach dochodów. Zwłaszcza widok zabiedzonych, źle ufarbowanych kobiet z małymi dziećmi budził we mnie poczucie winy.

Może przyjdę się zarejestrować kiedy indziej, pomyślałam. W jednym z pokoiów urzędował radca prawny, udzielający informacji na temat zaciągania kredytów na rozpoczęcie działalności gospodarczej. O, skoro mam tak serdecznie dosyć szefów, może założę coś własnego. Tylko co?

Radca prawny, siwy i śmiertelnie znudzony, wyjaśnił mi niechętnie, że o zakładaniu firmy to on właściwie nic nie wie, najlepiej iść do ośrodka na Klasztornej, a jeśli chodzi o kredyt, to trzeba najpierw zostać oficjalnym bezrobotnym, czyli marsz do kolejki.

Nie znoszę kolejek. A zwłaszcza tych, które ciągną się przez dwa piętra.

Z ulgą opuściłam ten ponury gmach, przesycony zapachem nieszczęścia i bezradności, i zaciągnęłam się świeżymi spalinami. Byłam wolna.

W ośrodku na Klasztornej bardzo miła pani wypożyczyła mi poradnik „Jak założyć własną firmę”. Ominięłam część dotyczącą księgowości, bo wiedziałam, że z pewnością tego nie pojmem. Przeszłowałam całą resztę i wniosek nasuwał się sam:

łatwo założyć, jeszcze łatwiej zbankrutować. Czyli wchodzimy w to.

— Własną firmę? Ale co ty chcesz robić? — spytał zaskoczony Tomek.

— Mhm, może redakcję i korektę, w końcu jestem polonistką, może tłuc jakieś drobne teksty i slogany reklamowe, nie wiem dokładnie. Obecnie przeprowadzam badania rynku i definiuję target, jak piszą w poradnikach. — Poprawiłam słuchawkę. — A co u ciebie?

— Co definiujesz?

— Target. Ustalam, kto może być ewentualnie odbiorcą moich prac i za ile.

— O kurde, myślałem, że to jakieś nowe przekleństwo.

— Właściwie tak! — zachichotałam. — Ale co u ciebie?

— Wyobraź sobie, że zgłosili się z firmy motoryzacyjnej, potrzebują rzeczownika prasowego ze znajomością angielskiego i niemieckiego. Ktoś mnie polecił, co mi szkodzi, spróbuję.

— O, świetnie! — ucieszyłam się. — A kiedy zaczynasz?

— Za tydzień. Z jednego kieratu w drugi, nawet się specjalnie nie odeśpię.

— Potem się odeśpisz, a to fajna propozycja! Naprawdę się cieszę!

— A czy ty już nawet, przepraszam za pytanie, nie odpowiadasz na ogłoszenia o pracy? — zaniepokoił się.

— Odpowiadam. Ale nie jestem zmartwiona, kiedy nikt się do mnie nie odzywa. No wiesz, czyta-

ją rok urodzenia i adios, babciu. A swoją drogą doszłam do wniosku, że chyba już fizycznie nie jestem w stanie znieść pracy biurowej.

— Dlaczego?

— Przecież ja ciągle brałam środki przeciwbólowe, z powodu bólu brzucha.

— Pamiętam, ale co to ma do rzeczy? — zdziwił się.

— W tej chwili nic mnie nie boli, wyobraź sobie. Po prostu ustąpiło. To pewnie nerwica albo uczulenie na biuro.

— Albo na szefów. Mhm, to jest argument. Ale ja i tak się denerwuję, co z tobą, więc obiecaj mi, że mimo wszystko będziesz szukać.

— Będę, obiecuję.

— A jak się urządzę w nowym grajdole, to przyjdiesz z wizytą, mam nadzieję?

— Oczywiście. A co u Haliny?

— Wczoraj spotkałem ją na mieście, ale nie mogła rozmawiać, bo śpieszyła się do fary. Podobno ktoś znajomy zaproponował jej miejsce w jakiejś administracji, mówi, że to niezła rzecz... Ale widziałem, że chyba nie ma czasu na pracę — zachichotał.

— Ona zawsze jest zalatana od rana do wieczora.

— No tak, wiadomo. Zadzwońię do niej. A ty koniecznie daj znać, jak ci tam jest w tej nowej firmie.

— Jasne. I ty też czasem się odezwij. Na razie, do usłyszenia!

— Cześć. I trzymam kciuki!

Odłożyłam słuchawkę. Całe szczęście, że tak dobrze mu się układa, pomyślałam. Jest szansa, że wszyscy jakoś sobie urządzimy nowe życie.

— Bo ja bym wolał, żebyś została utrzymanką — oświadczył wieczorem Czapla. — Oczywiście żartuję! — dodał pośpiesznie, widząc moje oburzenie. — Ale może choć co drugi tydzień?

— Zobaczymy. Ale to nie byłoby dobre, bo musiałabym cię słuchać i w ogóle być niewolnicą — zamysliłam się.

— Właśnie o to chodzi. Niewolnica, marzenie każdego normalnego mężczyzny! Zawsze uśmiechnięta i posłuszna, naciera człowieka olejkami i drapie po plecach, i nie realizuje się zawodowo ani kreatywnie.

— No coś ty, przecież sam umarłbyś z nudów — zdziwiłam się.

— Wiem.

— Ale olejek mogę kupić i cię natłuścić. Jutro.

— Uchowaj Boże! — wzdrygnął się. — Będę się kleił.

Patrzyłam na niego, siedzącego w fotelu i w okularach na nosie czytającego „Newsweeka”. Ja czytałam „Politykę”, a potem się wymienialiśmy. Czapla już na stałe ulokował dwa wygodne fotele i stół w ten sposób, aby można było i czytać, i oglądać telewizję. Miałam też w jego łazience komplet wszystkich moich kosmetyków oraz te, które on mi kupował, ufając opiniom sprzedawczyń z drogich sklepów. Także dyżurne piżamki i koszulki, ale z zastrzeżeniem, żeby ich nie prał, od czasu, gdy wygotował jedwabną koszulkę i teraz pasowała jedynie na pluszowego misia siedzącego w dawnym pokoju Marysi.

Zupełnie nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mogłam dawniej żyć. Bez niego.

Iznowu prosił drobny śnieżek. Czerwone jabłka wyglądały bardzo czysto i świątecznie na tle rozbielonego podwórka. Zachwycony kundelek razem ze swym kilkuletnim panem biegał wokół piaskownicy i szczekał jak opętany.

Właśnie wysłałam kolejnego maila w odpowiedzi na ogłoszenie o pracy, kiedy zadzwonił telefon.

— Joasiu, dzień dobry. To ja — przedstawił się konspiracyjnie Tadzinek.

— O, dzień dobry! I co słychać, jak się czujesz?

— Jak ja się mogę czuć w moim wieku, wszystko mnie boli, reumatyzm łupie, ale podobno przejdzie, gdy się pogoda wyklaruje. Tak mówili w radio.

— Na pewno! A co u Tiny?

— Mhm. Dobrze — powiedział oschle. — Nie rozmawiamy ze sobą w tym tygodniu.

— Aha.

— I właśnie chciałem cię prosić, czy mogłabyś zajrzeć do mnie?

Mój Boże, czyżby nowe kurczęta, spłoszyłam się lekko.

— Tak, mogę, teraz mam dużo czasu i nadrobiam zaległości. A... coś się stało?

— Nie, ale mam sprawę i chcę się ciebie poradzić, a to nie na telefon, bo wiadomo, komuchy podsłuchują. To kiedy przyjedziesz?

— Mogę być dzisiaj po czwartej.

— Dobrze, czekam.

Jak zwykle już od progu owionął mnie zapach niemodnej wody toaletowej i jak zwykle wujek zmartwił się, że nie mogę wypić kieliszka wódki, bo prowadzę. Usiedliśmy, a Tadzinek wyjął z biurka pomarańczową teczkę.

— Widzisz, twoja mama prosiła mnie kiedyś, że-
bym napisał wszystko, co pamiętam z dawnych cza-
sów. No i tak ostatnio zacząłem pisać, ale nie wiem,
czy dobrze. Referaty i tabele, transport i magazyno-
wanie, bardzo chętnie, ale te wspomnienia, to jest
bardzo trudne. — Westchnął ciężko. — A ty się na
tym znasz, więc chciałem cię prosić, czy mogłabyś
rzucić okiem, czy tak może być?

— Oczywiście.

— Ale nie czytaj wszystkiego, bo to jeszcze nie-
skończone, powiedz tylko, czy ten styl może zostać.

— Dobrze.

Otworzyłam teczkę pełną drobno zapisanych
kartek, każda innego koloru i grubości, wiadomo,
papier należy oszczędzać.

— A ja ci zrobię herbatkę. — Tadzinek podrep-
tał do kuchni, włączając po drodze płytę *Najpięk-
niejsze arie*.

Spojrzałam na pierwszą stronę.

*Nasi przodkowie przybyli z Bambergu w Bawarii
w pierwszej połowie XVIII wieku, sprowadzeni przez
biskupa poznańskiego dla osiedlenia się w okoli-
cach Poznania, ponieważ w wyniku wojen i epide-
mii cholery tereny te prawie zupełnie pozbawione zo-
stały ludności. Zapisy w księgach kościelnych para-
fii św. Wojciecha w Poznaniu zawierają daty ich ślu-
bów, urodzeń i zgonów.*

Zajmowali się rolnictwem i rzemiosłem. W wyniku małżeństw zawieranych z Polkami, a przybyłych Niemek z Polakami, wszyscy prawie się spolonizowali i to do tego stopnia, że jeśli nie byli zobowiązani do kontaktów z Niemcami lub do załatwiania spraw w urzędach pruskich, to w ogóle nie mówili po niemiecku, na przykład moja babcia Teodora.

Kiedy przybyli z Bambergu, otrzymali grunty w Winiarach koło Poznania. Po kilkudziesięciu latach uprawy, jeszcze przed rokiem 1828, rząd pruski przystąpił do wykupu tych ziem pod budowę Fortu Winiary, dziś zwanego Cytadelą. Pamiętam z opowiadań ojca, jak odbywał się wykup.

Otóż po wstępnych rozmowach przyjeżdżał powozem oficer, zabierał właścicieli do notariusza i po podpisaniu aktu sprzedaży wypłacał z worka trzymanego przez adiutanta złote talary. Talary te nasze praprababki zgarniały do trzymanego przy stole fartucha, jak ziarno.

Po sprzedaży swej ziemi musieli przenieść się w inne miejsce, które również nazwali Winiarami. Stąd dzisiejsze Winiary leżą w pewnym oddaleniu od Cytadeli.

— Z cytryną? — zapytał Tadzinek. — I proszę, pierniki toruńskie.

— Z cytryną, chętnie.

Przewróciłam kilka kartek.

Przed wojną nasze przedsiębiorstwo często kupowało od wojska starsze, wysłużone konie, które mogły jeszcze kilka lat pracować. Kiedyś dziadek zdobył w ten sposób ładnego konia, któremu najwidoczniej bardzo trudno było rozstać się z wojskiem. Kie-

dyś stał z wozem przed składem, a woźnica przekazywał przesyłkę i inkasował pieniądze. Ulicą przechodziło w tym czasie wojsko z orkiestrą konną. Koń przeczekał, aż kolumna przeszła, zawrócił wozem na ulicy, wstąpił do szeregu i razem z wozem i towarem pomaszerował do koszar.

Innym razem, gdy pomagał na wsi przy uprawie ziemi, usłyszał trąbkę ćwiczącego w pobliżu wojska. Porwał swego towarzysza z zaprzęgu i razem z pługiem popędził ustawić się w szeregu.

— Biedny emeryt! Musiał się strasznie czuć, wygnany z domu — powiedziałam.

— Kto?

— Ten wojskowy koń.

— Tak, w końcu musieliśmy go oddać. Za bardzo tęsknił — wujek smutno pokiwał głową. — No i co, mogę tak pisać?

— Wujciu, piękne historie. A będzie jakiś romans?

— Jaki romans, to jest historia przedsiębiorstwa — nastroszył się.

— Szkoda. Ale potem opisz prywatne historie.

— A kogo to obchodzi — powiedział cichym głosem.

— Wszystkich. A zwłaszcza takich, jak Natalia. Przecież ona za jakiś czas będzie tego wszystkiego szukać.

— No nie wiem.

Przewróciłam kolejne kartki, tym razem zapisane ołówkiem, oczywiście szkoda atramentu.

21 stycznia 1945 roku na dworcu nie było już żadnego kolejarza i stacja była nieczynna. Słyszeliśmy odgłosy wybuchów rosyjskich bomb i pocisków

artyleryjskich. Razem z ojcem chodziliśmy wciąż do stajni doglądać koni, które okazywały wielki niepokój i zdenerwowanie. Zostało wtedy 25 koni i osiołek, należący wcześniej do dzieci stacjonującego w Gnieźnie, osławionego generała SS Jurgena Stroopa. Tego samego, który prowadził likwidację powstania w getcie warszawskim.

Raz po raz wyglądaliśmy z bramy na ulicę, a tam straszny obraz. Nie wyewakuowani niemieccy żołnierze z lazaretu, który mieścił się w gimnazjum handlowym, sami podjęli ucieczkę na dworzec, z nadzieją, że uda się im jeszcze odjechać przed zagarnięciem przez sowietów. A więc wszyscy ciężko ranni, obandażowani, bandaże okrwawione, bez rąk, bez jednej lub obu nóg, ciągnieni przez mniej poszkodowanych kolegów na różnych przedmiotach, jak drzwi od szafy, deski od stołów, szuflady; niektórzy bez ubrań, tylko w lazaretowych koszulkach mimo mrozu, okryci jedynie pokrowcami z łóżek lub kocami.

Nie odjechali, pozostali w poczekalni i holu dworca osobowego.

— O Boże, to horror — wzdrygnęłam się.

— Tak było. A co dopiero ranni Rosjanie. Nimi w ogóle nikt się nie zajmował. Marli jak muchy, wszyscy leżą na gnieźnieńskim cmentarzu.

— A ten Stroop, coś mi się przypomina, że matka mojego kolegi była u niego kucharką, jako młoda dziewczyna. I mówiła, że w domu był bardzo miły i elegancki.

— O, w domu to oni wszyscy byli mili. Bestie — wzdrygnął się Tadzinek.

Siedzieliśmy nad wystygłą herbatą w szarym bloku na Ratajach, i pięćdziesiąt lat po wojnie czu-

łam wokół siebie zabandażowane duchy żołnierzy spędzonych tu ze wszystkich stron świata. I słyszałam moją babcię, jak wyklóca się z Niemcem, inżynierem Datzem, o okropności wojny. Zawsze harda i elegancka.

Odprawa ma ten urok, że można sobie za nią kupić wymarzoną małą czarną sukienkę, podkreślającą figurę. I kiedy wychodzi się na kolację do eleganckiej restauracji, to człowiek się czuje ubrany.

Właśnie zapięłam zamek i nałożyłam czótenka. Poprawiłam włosy, sprawdziłam makijaż i wyszłam z łazienki. W korytarzu stanęłam przed lustrem i obrzuciłam się jeszcze jednym, kontrolnym spojrzeniem. Aha, łańcuszek. Brakuje łańcuszka na szyi.

— Już idę — powiedziałam do Czapli, który siedział w pokoju ubrany w elegancki, klasyczny strój i oglądał wiadomości. Popatrzył na mnie uważnie i zapaliły mu się w oczach te światełka, które tak lubiłam.

Poszłam do sypialni i zapięłam łańcuszek oraz bransoletkę. Wszystko mniej więcej pasowało i byłam z siebie bardzo zadowolona. Poszłam do dużego pokoju.

— I co, może tak być? — spytałam z udawaną skromnością.

— Mhm. Wyglądasz... wyglądasz po prostu pięknie — powiedział Czapla i patrzył na mnie zachwyconym wzrokiem. Jego gładko wygolona, a jednak nadal ocieniona zarostem twarz, kontrastowała z białą koszuli i zgaszoną barwą krawata. Klasyczne stroje są takie zmysłowe, pomyślałam.

— Ty też, panie Marku. Wyglądasz cudownie — powiedziałam szczerze i cicho.

Czapla wstał i zaczął iść w moją stronę. Z nieznanym sobie powodów odwróciłam się i zaczęłam nagle układać papiery i gazety leżące na fotelu, jakoś dziwnie onieśmielona. Już czułam jego zapach, już mnie obejmował i całował w kark, przyciskając mnie do swego silnego, twardego ciała.

— Za sekundę przychodzą Bolki — wymamrotałam niewyraźnie, przytrzymując jego ręce na biodrach.

— Niemożliwe, nikt nie przychodzi tak punktualnie, to nawet niegrzecznie — oświadczył mętnie.

I już czułam jego rękę na piersi, a drugą pieszczącą mnie między udami. Nogi jak zwykle odmówiły mi posłuszeństwa i pochyliłam się w stronę fotela, opierając ręce na poręczach.

— Tak, tak stój — szepnął Czapla i zsuwał ze mnie rajstopy i majtki. Pochylił mnie jeszcze bardziej do przodu i poczułam jego mocne, gorące pchnięcia, które zazwyczaj odbierały mi rozum.

Ale nie dziś.

Po pierwsze, przerażała mnie myśl, że za chwilę przyjdą Bolki na nasze pierwsze wspólne spotkanie, ponadto sukienka może się wygnieść i oni się wszystkiego domyślą, a w dodatku, co najgorsze, wisiałam na tych poręczach niepewnie jak tatarnik nad przepaścią, z twarzą rozpłaszczoną na oparciu fotela, zagrożona uduszeniem.

— Marek — jęknęłam.

— Tak, skarbie. Jesteś cudowna. Pragnę cię jak zwierzę — wyszeptał chrapliwie w moje włosy.

— Marek, ale ja nie mogę...

— Jeszcze chwileczkę, nigdzie się nie śpieszymy, poczekam na ciebie...

Było mi bardzo niewygodnie, kręgosłup wyginał się w nienaturalną stronę i czułam, że zaraz pęknie. I rzeczywiście, rozległ się potworny trzask i runęliśmy na podłogę razem z fotelem. Drewniana, złamana noga skoczyła w bok, papiery i gazety rozsypały się po całym pokoju. Czapla po sekundzie zaskoczenia tylko przesunął mnie na dywanie i poczułam na brzuchu jego ciężar, i teraz już rzeczywiście byłam jak jego zachwycone zwierzę albo kobieta jaskiniowca.

Dziesięć minut później, kiedy właśnie usiłowaliśmy złapać oddech, odezwał się domofon. Zerwaliśmy się w panice z podłogi.

— Ty otwórz, bo masz mniej do ubierania — powiedziała do Czapli i uciekłam do łazienki.

— Dobrze — odpowiedział, równocześnie przeczesując włosy palcami i gorączkowo zapinając spodnie. I jeszcze pocałował mnie w ucho.

Przez drzwi słyszałam, jak otwiera bramę, mówiąc, że Joanna właśnie poprawia makijaż, i po chwili Bolki wchodzi do mieszkania, witając się uprzejmie i przedstawiając. I automatycznie, z wieoletniego nawyku, stają na progu pokoju.

Właśnie wyszłam z łazienki i z radosnym uśmiechem zbliżyłam się do nich.

— No cześć, jesteście!

Spojrzeni na mnie z lekkim zdziwieniem, a potem obrzucili wzrokiem pokój, na którego środku leżał przewrócony fotel i lekko sfałdowany dywan pokryty rozsypanymi papierami.

— No właśnie, te stare meble czasem są, niestety, niepewne — oświadczyłam beztrzesko. — Właśnie pękła noga, zupełnie bez uprzedzenia.

— A, drobiazg, to się błyskawicznie naprawi —

ocenił lekko Czapla. — Często kleję meble, tak że nie będzie problemu.

— Oczywiście, oczywiście — powiedział Bolek uprzejmie.

Usiedliśmy na pozostałych fotelikach i kanapie, żeby wypić małego drinka przed kolacją. Było bardzo miło. Oprócz bałaganu w pokoju nic nie wskazywało na życie erotyczne dzikich, pan Stoiński wyglądał nienagannie. Powoli zaczęliśmy się zbierać, bo stół mieliśmy zamówiony na godzinę dziewiątą.

Właśnie wkładałam żakiet, kiedy Buba podeszła do mnie i z troską szepnęła:

— Ale wiesz, jest mróz.

— Wiem, oczywiście — spojrzałam na nią zdziwiona.

— No bo właśnie się zastanawiam, mhm, czy ty już w ogóle dzisiaj nie zakładasz rajstop?

Spojrzałam w dół. W czółenkach tkwiły gołe, blade nogi. Zdażyłam ubrać tylko majtki.

Północ już minęła. Leżeliśmy nadzy, wtuleni w siebie i bezpieczni, mimo że za oknami przejmująco wył wiatr. Ciepłe światło małej lampki odgradzało nas od zimnego świata.

— Tak sobie myślę, wiesz... nigdy nie myślałem, że tak może być — powiedział Czapla.

— Dlaczego? Przecież... przecież byłeś żonaty.

— Tak. Moja żona była wspaniałą kobietą i nasze małżeństwo też było bardzo dobre. Ale myśmy się pobrali raczej z przyjaźni i przyzwyczajenia, zaraz po studiach — przerwał na chwilę. — Nie mogę być nieojalny. Było nam dobrze. Ale nigdy nie przeżyłem czegoś takiego, jak teraz z tobą. Takiego... opętania.

Serce drgnęło mi mocno, bo czułam to samo.

— A może to tylko na początku, a potem... nam przejdzie? — spytałam niepewnie.

— Nie wiem. — Objął mnie ciasno. — Jesteś dla mnie... jesteś naprawdę jak druga połówka. Pod każdym względem. Kobieta z mojej rasy.

— Może już się spotkaliśmy w poprzednich wcieleniach?

— Mhm. Może tak, nie wiem. Nie mam skłonności do mistycyzmu. Najważniejsze, że teraz jesteś. Myślałem już, że nie ma takich kobiet, że ci wszyscy powieściopisarze po prostu zmyślają. — I dodał cicho: — Czekałem na ciebie... bardzo długo.

— Ja też. Trzymaj mnie mocno.

Wtuliłam twarz w jego ciepły włochaty tors.

— Dlaczego tak dygoczesz? — spytał stłumionym głosem.

— Z nerwów — a po chwili dodałam: — Z miłości.

Czułam, że łzy spływają mi wolno po policzkach, a Czapla je całuje, powoli i drżącymi ustami. Objęliśmy się i pozaplatali tak ciasno, że już bardziej nie można było. Leżeliśmy i słyszeliśmy, jak mocno biją nam serca. Bo przecież przeszliśmy już smugę cienia.

Na parapecie znowu przysiadł ten niebieskoszary gołąb z ciemnym łebkiem. Zaglądał do środka i drobił nóżkami po blasze. Jego czarne oczka błyszczały mądrze, jakby zaraz miał coś powiedzieć. Ale jeszcze nigdy się nie zdecydował.

Nie umiałam tego wyjaśnić, ale w ogóle nie czułam śmierci mamy. Cieszyłam się, że skończyły się jej męczarnie i że jest gdzieś tam daleko, wśród sta-

rych znajomych i rodziny, gdzie nie ma bólu. A równocześnie cały czas wydawało mi się, że krąży tu blisko, na Pakulskiej, w domu u ojca, wokół Natalii, i że słyszy dokładnie moje rozmowy z Czapłą. Nie, żeby podsłuchiwała, ale że siedzi gdzieś wygodnie w fotelu, pali papierosa, pije herbatę z cytryną, czyta swój ulubiony tygodnik, a cały czas owiewają ją łagodne fale napływające z ziemi, przynoszące wszystkie wiadomości, uczucia i wydarzenia. I przechodzą przez nią łagodnie i bezboleśnie, a ona wysyła do nas odpowiedzi, spoglądając swymi brązowo-zielonymi, uśmiechniętymi oczami.

Stałam i patrzyłam na gołębia. On zbyt dużo nie rozmyślał, a jednak zawsze robił rzeczy słuszne i właściwe. Więc jak to jest? Poddać się fali, niech świat przepływa przez człowieka, jak światło przez szkło?

W gruncie rzeczy to nudy na pudy, jak w ta-
siemcowym serialu. Ale to prawda — mó-
wił Czapla.

— To znaczy co?

— Pani prezesowa już od tygodnia jest w Stanach,
na jakimś bardzo prestiżowym szkoleniu dla mene-
dżerów i niewątpliwie chłonie wiedzę jak gąbka.

— Co w tym złego?

— Wszyscy przypuszczają, że to szkolenie może
potrwać nawet... parę lat. W firmie zginęły doku-
menty, a za to pojawiła się Agencja Bezpieczeństwa
Wewnętrzne.

— Żartujesz! — Z wrażenia nasypałam sobie
trzecią łyżeczkę cukru do herbaty.

— I aresztowali prezesa i jego asystenta.

— Asystent pewnie sypiał z prezesową?

— Żeby tylko. Chyba był wszechstronny.

— O! Czyli trzymał całą firmę w garści — zamy-
śliłam się.

— Można to tak elegancko powiedzieć, ale sędzę,
że chodziło o zupełnie inną część ciała.

— No tak.

— I zaczęły się przesłuchania. Już kilka osób od-
pytywano, jutro dalszy ciąg.

— A ciebie pytali?

— Jeszcze nie, chyba jutro albo pojutrze, nie
wiem dokładnie.

— Ciekawe, co z tego wyniknie.

— Krążą najróżniejsze wersje. Łącznie z tym, że Justyna miała rzekomo być rosyjskim szpiegiem, działającym na rzecz mafii paliwowej.

— No coś ty, James Bond i spółka? Dlatego lubi martini! — roześmiałam się.

— Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego się wydarzy.

— Obyś żył w ciekawych czasach, to się sprawdza.

Umilkliśmy na chwilę. Był wieczór i regały z książkami tonęły w półmroku. Właściwie należało już iść spać.

— A dziś jest środa — oświadczył nagle Czapla. Spojrzałam na niego zaskoczona.

— No i dlatego chcę ci powiedzieć, bo przecież kobiety zwykle potrzebują dużo czasu, żeby się spakować, że zamówiłem weekend nad morzem, to chyba do piątku zdążysz?

— Weekend? Gdzie? — spytałam zachwycona.

— Tego nie mogę powiedzieć. W każdym razie w hotelu, z którego okien widać morze.

— Naprawdę? Od roku nie miałam wakacji, tak się cieszę! I uwielbiam morze, skąd wiedziałeś? — rzuciłam mu się na szyję.

— Mam swoje źródła — powiedział z przemądrzałą miną. — I kod dostępu.

Przyszło kilka maili o treści „Szanowna pani. Dziękujemy za przesłanie oferty, skontaktujemy się w kolejnym etapie rekrutacji. Z poważaniem, mgr Ygrek Iksiński”. W „Wyborczej” znowu szukali handlowców i doradców klienta (chciałabym usłyszeć te rady) oraz członków zarządu huty i tipserek.

Z dnia na dzień robiło się coraz zimniej, a na wystawach pojawiły się radosne gwiazdorki, skandy-nawskie stroiki i super promocje. Na razie jednak nie ubierano jeszcze udręczonych kasjerek w czer-wone czapki Mikołaja, zakończone białym, wylenia-łym pomponem. Wszystko we właściwym czasie. Marketing czuwa.

Właśnie weszłam do domu, rozcierając zmarz-nięte ręce, gdy zadzwonił telefon.

— Ciociu, tu Natalia.

— Cześć, żabko. Jak się czujesz? — spytałam niespokojnie.

— Całkiem dobrze. To znaczy nie jest mi bardzo wesoło, ale nie czuję już tej okropnej trzęsionki.

— Aaa, to najważniejsze. Wróciłaś do szkoły?

— Tak. Właściwie nie chciałam już tam cho-dzić, ale pani doktor mnie przekonała. Że zbliżają się święta i karnawał i muszę wskoczyć na właści-we tory.

— I co?

— Jakoś wytrzymuję. Zwłaszcza że Arek, pamię-ta ciocia, jeździ teraz tym samym autobusem i co-dziennie sobie gadamy. Nawet wczoraj był na obie-dzie, bo go pani Zdzisia zmusiła.

— A co... u mamy? — spytałam ostrożnie.

— Chyba coś się zmieniło w kancelarii, coś mówi-ła o reorganizacji, i od szóstej są codziennie w domu. Nawet ostatnio jedliśmy razem kolację, Don był zachwycony i w ogóle się nie ruszał spod stołu.

— No tak, wreszcie miał stado w kupie — roze-śmiałam się. — Psy są kochane.

— A kiedy nas ciocia odwiedzi?

— Nie wiem, dziecko. Teraz wyjeżdżam w pią-tek na dwa dni, a potem zobaczymy — przecież nie

powiem, że jej mama jakoś mnie nie zaprasza. —
Może w przyszłym tygodniu wpadniesz do mnie?

— Chętnie. Z Donem, oczywiście.

— No jasne!

— Cześć, ciociu. I dziękuję — powiedziała Natalia.

— Aha, i śniło mi się, że wypadły mi wszystkie rzęsy
razem z korzeniami, z lewego oka, co to znaczy?

— Jeśli razem z korzeniami, to znaczy, że wyda-
rza się nowe, bardzo ciekawe i przyjemne rzeczy!

— Ciocia się śmieje.

— Absolutnie nie. Po prostu znam się na snach.

Cześć, kochanie. I pozdrów rodziców.

— Dobrze. Cześć.

Przyszedł mail od Buby.

Kochana Joasiu, dopiero dzisiaj piszę, bo mam urwanie głowy w szkole. Ta reforma mnie wykończy, już prawie w ogóle nie ma czasu na uczenie, tyle biurokracji. I zwolnienia oczywiście, oszczędności itd. Nie rozumiem, jak można jeszcze bardziej oszczędzać. Nie chcę widzieć tej biednej młodzieży za kilka lat, po prostu męczennicy bez perspektyw, niedouczeni i, właściwie, oszukani. Marzę o emeryturze, ale to jeszcze długa droga. Na razie łykam tabletki na uspokojenie, trochę pomaga.

Ale przede wszystkim piszę, żeby Ci podziękować za świetny wieczór, no i pogratulować pana Nosa. Rzeczywiście, jest bardzo interesujący! Nawet Bolek stwierdził, że „do rzeczy gość”. I patrzy na Ciebie odpowiednim wzrokiem, wiesz, o co chodzi. Szkoda tylko, że po-

woduje takie dotkliwe straty w umeblowaniu, no ale skoro także naprawia...

U nas nic nowego, Wichłacz kupił Sylwii pierścionek zaręczynowy, bardzo ładny, i wymieniają meble. Maćkowiak ma już wygojony palec, a nawet odnotował nowe sukcesy medyczne. Wyobraź sobie, Bolek oddał samochód do przeglądu i wracał z Poznania pekaesem, i oczywiście kogo spotyka, Maćkowiaka, promiennego, uśmiechniętego od ucha do ucha. Przeciska się do Bolka z drugiego końca autobusu, wreszcie go dopada i po kilku uprzejmych uwagach na temat pogody mówi:

- Panie Bolku, jak ja się teraz świetnie czuję, ta nowa dentystka postawiła mnie na nogi!

- Cieszę się - mówi Bolek, i rzeczywiście się cieszył, że nie musiał asystować przy wrywaniu zębów, bo ostatnio sąsiad chodził skrzywiony, z obolałą szczęką.

- Niech pan sobie wyobrazi, mam nową protezę, o! - I tu rozdziawił się szczerze, a blask jego uzębienia rozświetlił pół autobusu. - I niech pan powie, jakie ta technika robi postępy, stara proteza była ciężka jak kamień, a ta, proszę, nigdzie nie uwiera i leciutka jak piórko. - Po czym ku osłupieniu Bolka i wszystkich pasażerów wyłuskał protezę z ust i położył sobie na dłoni, całą oklejoną śliną. - No zobacz pan, prawie nic nie waży!

- A, to widać już na oko, świetna jakość - wił się Bolek, jakoś nie chcąc wziąć zębów do ręki.

- Teraz czuję, że żyję! - Maćkowiak potoczył triumfalnym wzrokiem po autobusie, a po-

tern znowu z lubością przyjrzał się swemu nowemu nabytkowi i po namyśle zainstalował go w szczęce. Pasażerowie wypuścili wstrzymane na chwilę oddechy, i pekaes znowu mknął przez ośnieżone laski i pola.

Tak to my się tu na wsi zabawiamy.

Ostatnio zrobiłam makaron zapiekany z sosem z rokpoła, ale to chyba przereklamowane, może lepszy byłby z winem.

Co robisz w Święta? Musimy się spotkać, ale tym razem u nas. Oczywiście razem z Markiem S.

Szambo działa rewelacyjnie, żadnych restrykcji.

Całujemy Cię
odezwij się
do zobaczenia
Buba+Bolek

I znowu telefon.

— Tu Tina, dzień dobry, Joasiu — usłyszałam głęboki, przyjemnie modulowany głos z lekkim wileńskim zaśpiewem. — Czy ty może wiesz, co się dzieje z Tadzinkiem?

— Nie, a co ma się dziać? — przestraszyłam się. — Kilka dni temu widziałam go, był w całkiem dobrej formie.

— Nie, nic takiego, tylko jakoś ostatnio nie rozmawiamy ze sobą, więc chciałam się dowiedzieć, czy wszystko w porządku, wiesz, to jego serce, ja się jednak denerwuję.

— Zadzwońię do niego i spytam. A dlaczego ciocia nie zadzwoni sama?

— Ja, do tego sztywniaka? — oburzyła się. —

Ja nie mogę znieść tych jego poznańskich nawyków, tego „nie przejeżdżaj na czerwonym świetle, lepiej nie krzyczeć w sklepie, nie rozpalajmy ogniska pod lasem, bo będzie pożar, po co te zapasy kiełbasy, lepiej kupować na bieżąco”, no, ja się niedługo wykończę! Żyję jak w więzieniu, na to mi przyszło. A przecież — i już zaczynała nucić — „żyłam sztuką, żyłam miłością”, a teraz stoję nad grobem i muszę przestrzegać jakichś kretyńskich przepisów drogowych. Co to za świat, co za ludzie, zupełnie bez wyobraźni.

— Mhm, no tak. A jak się ciocia czuje, to znaczy ze zdrowiem?

— Ach, fatalnie. I jeszcze ten głupi lekarz powiedział, że muszę schudnąć i jeść surówki, no przecież to bez sensu. Chcę oczywiście schudnąć, ale od surówek jest mi zimno w brzuchu. Więc po prostu rzucam słodycze, tak postanowiłam.

— Tak?

— Tak, zamiast trzech prince polo zjadam wieczorem tylko jedno. Chyba że jest mróz, to półtora.

Z trudem się opanowałam.

— A, to świetnie ciocia robi. I niech się ciocia nie denerwuje, zadzwonię do wujka i dam znać.

— Dobrze, dziecko. On jest taki chudziutki, ale jakoś źle się czuję bez niego. To jednak tyle lat, jak jesteśmy razem.

Odłożyłam słuchawkę. I zadzwonił telefon. Ja chyba zarejestruję się jako centrala telefoniczna, pomyślałam.

— Joasiu, to ja — powiedział Tadzinek.

— O, dzień dobry. I co tam?

— A, ja już zdrowszy nie będę. Śnieg pada u nas na Ratajach, a u was?

— U nas też. A co u Tiny? — spytałam chytrze.

— No wyobraź sobie, dzwonię do niej, a tam ciągle zajęte, gada i gada z koleżankami. O czym one tak gadają? — spytał niespokojnie.

— No przecież musi z kimś rozmawiać, skoro jest zupełnie sama, a co ma robić, patrzeć w pustą ścianę?

— No tak — skruszał nagle — a ona, biedaczka, z tą swoją tuszą nie może sama wyjść na zaśnieżony chodnik, bo się poślizgnie i połamie, co innego, gdy ja ją trzymam.

— No właśnie. Niech wujek dzwoni do skutku, albo niech wujek od razu do niej jedzie, bo może ona w ogóle głoduje, skoro nie wychodzi?

— O, ty masz rację. Kupię coś, jakąś kiełbaskę albo śledzika i jadę — zdenerwował się Tadzinek.

— To do widzenia, Joasiu.

— Pozdrów ją ode mnie!

Dobrze, to by było na tyle. Teraz sobie spiszę, co zabrać nad morze i co zrobić w zakresie farbowania, depilacji i innych peelingów. Chyba zdążę do jutra do godziny piątej.

Zadzwoił telefon. Takie jest prawo fizyki. Albo nikt nie dzwoni przez cały dzień, albo wszyscy jeden po drugim.

— Joasiu, kochanie, jak się czujesz? — spytał Czapla.

— Dobrze, nawet bardzo dobrze, a ty?

— Ja też całkiem nieźle, tylko masa roboty. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że dzisiaj nie przyjadę, bo muszę wszystko skończyć, żeby jutro spokojnie wyjechać. Więc będę w pracy do wieczora, jutro krócej, i o piątej przyjeżdżam po ciebie. Może być?

— Może. Ja też dzisiaj biegam, i ojciec będzie na obiedzie, więc wszystko dobrze.

— Odbijemy to sobie nad morzem. I... kupiłem ci mały prezent.

Coś mnie tknęło.

— Czy to są może... stringi? — spytałam podejrzliwie.

— Tak! — powiedział zaskoczony. — A jak na to wpadłaś?

— A, taki przypadkowy strzał, wiesz, jak to czasem jest — westchnęłam. — I ty myślisz, że ja się w to ubiorę?

— No oczywiście, a czemu nie? — spytał zdziwiony. — Koronkowe. Trzy panie mi doradzały, zanim wybrałem. Bardzo...

— ...twarzowe? — domyśliłam się.

— O, właśnie. Bardzo!

— Mhm. Dobrze, kochanie. Ale czy to jest wersja zimowa?

— To znaczy jaka? — spłoszył się.

— Podbita futrem.

— Nie — zamilkł na chwilę. — Takich nie było w tym sklepie!

— No oczywiście, że nie, bo to się kupuje u kurnierza, kotku.

— Gdzie na przykład? — spytał zdezorientowany, a po chwili zreflektował się: — Nie, no przecież ty mnie podpuszczasz!

— Absolutnie nie — zachichotałam. — Jesteś kochany. Przyznaj się, zamierzałaś oddać te majtki do przeróbki?

— Mhm. Właściwie nie — odparł niepewnie. — Ale to są szczegóły. Tymczasem biorę się do pracy, zadzwonię jeszcze wieczorem. Całuję cię.

— A ja ciebie.

Miałam słabość do tego człowieka. I już.

Ojciec przyjechał ośnieżony i zmarznięty. Zawsze się upierał, że spacer z miasta dobrze mu robi, ale docierał do mnie w kiepskim stanie. Zdjął kurtkę, wszedł do kuchni i postawił na stole małą butelkę wódki.

— Jestem dzisiaj bardzo przygnębiony — powiedział. — I zimno mi, więc to do herbaty.

Zrobiłam herbatę, podałam kieliszek i zaczęłam obierać ziemniaki.

— Czytam nasze listy z lat pięćdziesiątych, gdy byłem w wojsku, a mama studiowała. Mam ich chyba ze sto. I wszystko wraca, czuję nawet smród koszar. — Wypił wódkę. — Zupełnie jakbym to wszystko jeszcze raz przeżywał, te okropne, stalinowskie czasy. I to, co zrobiono mamie i mnie. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Jak czytam, niedobrze, jak staram się nie czytać, jeszcze gorzej.

— To może czytaj małymi porcjami?

— Tak, już nawet zacząłem sobie dzielić, bo tak mi serce skacze, że chyba dostanę zawału. A ja myślałem, że to już wszystko jakoś się uleżało, a tu nic. — Dolał sobie wódki. — Czytam i płaczę. A przecież jestem mężczyzną.

— To nie ma znaczenia, tato. W takiej sytuacji wszyscy płaczą. I trzeba się wypłakać, bo inaczej zalega w środku.

— Tak myślisz?

— Tak. To jest właśnie żałoba.

— Mhm.

Wstał i podszedł do okna, patrząc smutno na osiedlowe, zasypane śniegiem podwórko. Kilkoro dzieci usiłowało ulepić bałwana, a dozorca z du-

żym liliowofioletowym nosem zeskrobywał lód z chodnika.

— A te jabłka jeszcze nie pogniły? Ciągłe czerwone! — zaśmiał się cicho. — To ci pomysł!

Ulubione dania na chwilę poprawiły mu humor. Po obiedzie stwierdził, że fotografie rodzinne w pokoju krzywo wiszą.

— Daj gwoździki i młotek, przewiesimy — oświadczył rażno.

Trochę się przestraszyłam, ale cóż było robić. Odszukałam młotek, pokraczne obcęgi i gwoździe, jak się okazało, niewłaściwe. Wspólnymi siłami, znacząc brudnymi palcami pół ściany, zmieniliśmy układ zdjęć oprawionych w drewniane ramki.

— No, teraz to zupełnie co innego! — ucieszył się ojciec, patrząc z podziwem na swoje dzieło.

— Mhm. Te, które były za wysoko, teraz są chyba za nisko — powiedziałam mało dyplomatycznie.

— Ależ skąd, świetnie pasują. Dobre odległości to grunt.

Jutro przewieszę, pomyślałam sobie. Najważniejsze, że znaleźliśmy naprawdę dobre miejsce na portret mamy i teraz patrzyła na nas, oświetlona łagodnym blaskiem lampy.

Ojciec pytał o sprawę Beaty i Andrzeja, i co z tym biednym dzieckiem, Natalią. I w którym domu zrobimy Wigilię. Lecz ciągle balansował między przeszłością i terażniejszością, jakby na granicy dwóch światów. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że można być tak rozdartym i zrozpaczonym.

Kiedy około siódmej odwoziłam ojca do domu, w ciemnym powietrzu tężał mróz.

— Muszę wracać, bo koty jeszcze nie dostały obiadu, a one jedzą ostatnio coraz więcej, to tak na

mróz — mówił. — I dzisiaj już chyba nie będę czytać listów.

— No właśnie, poczytaj jutro — powiedziałam.

Bo przecież w dziennym świetle może nie będzie tak strasznie, pomyślałam.

Piątkowy ranek obudził mnie jasnym słońcem. Z czego to ja się tak cieszyłam, zastanawiałam się półprzymtomnie, ach, przecież jedziemy nad morze!

Wczoraj przed północą pan Stoiński zadzwonił, że dobranoc i miłych snów, a on posiedzi jeszcze w pracy do pierwszej, więc ze wszystkim zdąży. I spytał podstępnie, czy może jestem już spakowana. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że w pewnym stopniu tak.

Właśnie, dzisiaj dokończymy te wszystkie przygotowania, i wreszcie wolność. Już widziałam się maszerującą z Czaplą brzegiem morza, a wieczorem w jakimś zakazanym klubie, w stanie pomroczości jasnej.

Telefon do ojca, telefon do Tadzinka, telefon do Natalii, siedem maili w sprawie pracy, telefon od Haliny, telefon od Buby, telefon od Tomka, peeling, obiad, dwóch akwizytorów, pan „proszę otworzyć, ulotki roznoszę”, dozorczyńni z nowym rachunkiem za centralne ogrzewanie, wyłamany domofon, telefon „czy to chirurgia? przepraszam, pomyłka”, gdzie są zapasowe rajstopy, skończyło się masło, paznokieć złamany w drzwiach od szafki kuchennej, prysznic, już nic się nie zmieści w tej torbie, uff, siedemnasta.

Opadłam na fotel. Jestem gotowa, bardzo proszę. Właściwie powinnam jeszcze bardzo szybko przemyśleć i wypełnić formularz dotyczący rejestracji

działalności gospodarczej, ale to może w poniedziałek. A teraz przychodzi Czapla. Przejrzę sobie tak z grubsza nowy program telewizyjny.

O wpół do szóstej ołśniło mnie, że Marek dzisiaj w ogóle nie dzwonił, co było dość dziwne. O szóstej stwierdziłam, że to trochę długo trwa, a on jest zwykle punktualny. Wzięłam do ręki komórkę. Nie odbierał, głuchy telefon. Zadzwoiłam do domu, włączyła się sekretarka. Po namyśle wybrałam jego numer służbowy. Piątkowy wieczór, pustki.

Na miłość boską, przecież nie blondyna, to już przerabialiśmy. Poczułam, że ogarnia mnie strach. Nie znałam nawet telefonu Marysi, a zresztą trudno, żebym poszukiwała ojca u córki, trochę to dziwne.

Kobieto, zastanów się. Wypadek albo... uprowadzenie przez mafię, ten obraz nieraz powracał w moich koszmarnych snach. Jeśli wypadek, trzeba obdzwonić szpitala, jeśli mafia, nie ma dokąd dzwonić. Jedynie iść na policję. Ale co im powiem, że mi się tak wydaje, bo facet nie przyszedł na spotkanie?

Siedziałam złana zimnym potem. Podniosłam się gwałtownie z fotela i podeszłam do okna, może tam leży w zaspie, nieprzytomny. Na śniegu zobaczyłam jedynie stare kanapki wyrzucone przez sąsiadów, kości z zupy i rybią głowę, do której skradały się dwa koty.

Wiedziona bezmyślnym odruchem włączyłam Internet, jakbym tam mogła znaleźć wiadomości o Czapli.

I prawie znalazłam.

As polskiego lotnictwa zmarł w nędzy
***Życie Warszawy*: Generał Stanisław Skalski**
zmarł w nędzy zaledwie dzień po uroczystych

obchodach Święta Niepodległości. Pobity, okradziony, od września mieszkał w przytułku.

„Pod koniec życia już prawie na nikogo nie mógł liczyć” - mówi jeden ze znajomych generała. „Padł ofiarą przestępców” - dodaje. Okradziono mu mieszkanie i oszczędności całego życia. Najwybitniejszy polski pilot myśliwski trafił we wrześniu do zakładu opieki ze śladami pobicia.

Prokuratura zajmuje się sprawą kobiety, która opiekowała się generałem i miała od niego wyłudzić upoważnienie do reprezentowania go przed wszelkimi instytucjami. To ona umieściła gen. Skalskiego w zakładzie opiekuńczo-lecznicznym. Przed Sądem Rejonowym w Warszawie od lipca toczy się proces dwóch mężczyzn, których oskarża się o wyprowadzenie z konta generała 130 tys. zł oraz o próbę wyłudzenia od niego wartego 370 tys. zł mieszkania - pisze „Życie Warszawy”.

Historycy do dziś spierają się, ile dokładnie nieprzyjacielskich samolotów zestrzelił gen. Stanisław Skalski. Padają liczby od 18 do 22, co daje mu miejsce w czołówce polskich pilotów myśliwskich.

To pewnie jeden z tych, którzy walczyli w bitwie o Anglię. Czyli w kraju bez zmian.

Zatrzęsłam się. Przeszłam na stronę z informacjami o szpitalach dyżurnych. Tylko jak ja mam się przedstawiać, kim ja jestem dla Czapli i czy będą mi chcieli udzielić informacji? Usiłowałam wynotować sobie numery telefonów, ale cyfry skakały mi przed oczyma. Za chwilę umrę ze strachu, pomyślałam.

Zadzwoił telefon. Rzuciłam się na słuchawkę.

— Dobry wieczór, czy pani Joanna Maler? — spytał męski głos.

— Tak, słucham?

— Tu Mariusz Pokacki, jestem lekarzem, dzwonię ze szpitala. Pan Marek Stoiński prosił, abym się z panią skontaktowałam.

— Ale co się stało?!

— Pan Stoiński miał wypadek, w nocy, ale dopiero teraz mogłam do pani zadzwonić. Proszę się nie denerwować, już wszystko w porządku.

— Jadę.

Lekarz podał mi adres i piętro. Nakładając w biegu buty, wypadłam z domu i wsiałam do samochodu. Nie pamiętam trasy, którą jechałam. Dlaczego ten lekarz nie powiedział mi nic więcej, na miłość boską, może Czapla leży cały rozpruty?

Zaparkowałam przed wielkim, nowoczesnym budynkiem i wpadłam do środka. Dochodziła ósma, goście powoli żegnali się z chorymi i zjeżdżali lśniącymi windami. Wsiadłam na chirurgii i odszukałam pokój Czapli.

Przed drzwiami zatrzymał mnie młody człowiek i uprzejmie poprosił, abym pokazała mu dowód osobisty.

— Bardzo panią przepraszam, ale takie są przepisy — uśmiechnął się i zaczął sprawdzać, czy ja to ja.

— Ale co się dzieje?

— Jestem na służbie i mogę wpuszczać tylko niektóre osoby. Panu Stoińskiemu przydzielono ochronę. Czy pani już rozmawiała z lekarzem?

— Nie — w pośpiechu zupełnie o tym zapomniałam.

— To proszę najpierw iść do lekarza, trzecie drzwi na prawo.

— Ale ja nic nie wiem, co się w ogóle stało?

— Pan Stoiński został wczoraj napadnięty i pobity, ale już wszystko dobrze. Myślę jednak, że lekarz więcej pani powie.

A więc przeczucie mnie nie myliło. Zapukałam do drzwi dyżurki, otworzył młody człowiek w okularach.

— Czy pan doktor Pokacki?

— Tak, słucham panią?

— Nazywam się Joanna Maler, przed chwilą rozmawialiśmy, tam przed pokojem stoi policjant, proszę mi powiedzieć, co się stało!

— A, pan Stoiński. Proszę wejść.

Zamknął za mną drzwi i usadził w foteliku.

— Proszę pani, wczoraj po drugiej w nocy przywieziono pacjenta, pobitego kijami bejsbolowymi. Ma złamaną nogę i nos, i generalnie jest mocno potłuczony, ale żyje. A niewiele brakowało. Uratował go sąsiad, przez przypadek. On tu chyba nawet gdzieś krąży, bo strasznie się przejął.

— Ale kto go pobił i gdzie? I dlaczego?!

— Przed samym domem, czekali na niego. A dlaczego, bada policja, i oni chyba nawet to wiedzą. Krótko mówiąc, naprawdę, najgorsze już za nami, to znaczy noga złamana w kostce i pod kolanem, złożona i w gipsie, nos złożony i opatrzony. Pacjent dostaje silne środki przeciwbólowe, bo to wszystko, razem z potłuczeniem całego ciała, jest bolesne. Aha, i twarz jest oczywiście... dosyć opuchnięta, ale to zejdzie.

— A... jeśli to się stało w nocy, dlaczego nikt wcześniej mnie nie zawiadomił? — spytałam drżącym głosem.

— Cóż — spojrział na mnie uważnie. — Dopiero

niedawno odzyskał przytomność. Komórka została rozbita w trakcie napadu, a w notesie były dziesiątki telefonów, nie wiedzieliśmy, który jest ten właściwy, proszę nas zrozumieć.

— Rozumiem. Ale czy to znaczy, że ma... uszkodzoną głowę albo mózg?

— Nie, nic podobnego. Jutro zrobimy jeszcze tomografię, ale wszystko wygląda normalnie. Na szczęście. Teraz już może pani do niego iść, wolałem panią jednak uprzedzić. Aha, ma kłopoty z mówieniem, z powodu opuchlizny.

— Dziękuję — wstałam nieprzytomnie i wyszłam na korytarz.

Policjant przepuścił mnie bez wahania i weszłam do pokoju. I znowu szpital, i znowu nieruchome ciało wśród kroplówek. Ale to nie była błada buźka Natalii, lecz czerwono-fioletowe, spuchnięte mięso z konstrukcją tamponów pośrodku.

Niepewnie zbliżyłam się do łóżka.

— Marek? — wyjąkałam.

— Mhm — doszło mnie spod opatrunków i ręka leżąca wzdłuż ciała poruszyła się. Nie mogłam otworzyć zapuchniętych oczu. Usiadłam na krzesełku i nawet nie wiedziałam, gdzie można go pocałować, żeby nie sprawić bólu. Dotknęłam lekko jego dłoni.

— Nic nie mów, lekarz wszystko mi powiedział, i może jeszcze gdzieś złapię twojego sąsiada. Czy bardzo cię boli? Głupie pytanie, pewnie tak. Co oni ci zrobili! A policjant stoi za drzwiami. Czyli to jednak mafia, prawda?

— Nnnie...

— Justyna?

— Mhm.

— To ona ich nasłała?

— Mhm.

— Ale po co?

Czapla z wielkim wysiłkiem zrobił ruch palcami, jakim określał plotkarzy i nieuleczalne gaduły.

— Gadać, plotkować, nadawać? — zastanawiałam się głośno.

— Mhm

— A, żebyś nie gadał podczas przesłuchania!

— Mhm.

I teraz naprawdę się przeraziłam.

— Oni mieli cię pobić, czy... zabić? — wyjąkałam.

Czapla zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Zresztą nic nie mów, nie męcz się. Później porozmawiamy. Teraz musisz pewnie dużo spać, zwłaszcza przy tych silnych lekach. Ale jestem głupia. Nic ci nie grozi, policjant tu jest, lekarze i wszyscy — mówiłam, niespecjalnie w to wierząc, bo w końcu byłoby tysiąc sposobów, żeby się tu dostać. Przecież ja też mogłam być przekupiona. Zimne dreszcze przebiegały mi po plecach.

Trzymałam jego rękę w dłoniach i patrzyłam na zmasakrowaną twarz. Ten potwór to był Czapla. Mój Czapla. Łzy spływały mi po twarzy, starałam się jednak nie pociągać nosem, ale chyba bezskutecznie.

Po kwadransie zauważyłam, że śpi. Delikatnie uwolniłam ręce i cicho wyszłam na korytarz. Przede wszystkim chciałam znaleźć sąsiada i spytać lekarza, czy mogę zostać na noc, czy coś załatwić, przywieźć, czy dyżurować.

Wpadłam na krótko ostrzyżonego, barczystego bruneta, czekającego pod drzwiami obok policjanta.

— O, dzień dobry, czy to może pan jest sąsiadem Marka? — spytałam.

— Tak, jestem Przemek, a pani jest panią Joanną?

— Tak.

— No właśnie, okropna historia, ale na szczęście wyszedłem z domu w odpowiedniej chwili.

Poszliśmy w kierunku rzędu krzesełek i usiedliśmy.

— Wie pani, to może trochę... śmieszne, ale pan Marek żyje, ponieważ psy miały sraczkę, przepraszam za wyrażenie.

Spojrzałam na niego bezmyślnie. Czułam, że już nic mnie nie zdziwi.

— Tak? — spytałam uprzejmie.

— Tak. Ja jestem treserem psów policyjnych i stale pracuję z moim pieskiem, ale akurat wczoraj miałem dwa, bo kolega musiał nagle wyjechać do matki i na ten jeden dzień oddał mi swojego pod opiekę. Tak że byłem w domu z dwoma, i nie wiem, co one zjadły, żona też nie pamięta, w każdym razie oba miały problem, no, rozwolnienie niesamowite. Co chwila chciały wychodzić. Prawie druga w nocy, a pieski znowu piszcza!

— A co to za pieski, miniatutki jakieś?

— Nie, skąd, owczarki niemieckie. No więc wychodzę z nimi przed bramę, a tu widzę kilka metrów dalej facet leży, już się nawet nie rusza, a dwa karki okładają go kijami bejsbolowymi. Wie pani, to był moment, po prostu spuściłem psy i wydałem polecenie — zabłyśły mu oczy. — I tak, jak były szkolone, poszły jak burza, każdy złapał jednego bandzióra za rękę, tu, powyżej nadgarstka, i nie puszczał. I po zawodach. Wezwałem policję i ich zgarnęli.

— Jak to, nie pobili kijami psów?

— Nie, nie ma takiej możliwości. Pies jest zbyt

blisko, nie można wziąć rozmachu, a przy najmniejszym poruszeniu sprawcy zaciska zęby.

— A potem co, zgodziły się ich puścić? Bo podobno...

— Oczywiście. Na komendę puściły. Dobrze wyszkolone, sprawdziły się! — ostrzyżony promieniał. — No i natychmiast polazły na trawnik w sprawach żołądkowych. A ja podchodzę bliżej i teraz dopiero widzę, że to pan Marek z naszej klatki, zalany krwią, z dziwnie przekrzywioną nogą, no jeszcze chwila, a byłoby po nim. Bo oni walili z całej siły. Jak maszyny. A dopiero zaczęli.

Zrobiło mi się niedobrze. Coś zaczęło mi trzepotać koło żołądka i poczułam zimny pot na szyi i jakoś na głowie, i usłyszałam huk. Chyba trzasnęłam w coś głową.

Czułam ulgę. Leżałam sobie. Wreszcie, bo przecież już byłam taka zmęczona. Coś szumiało i usłyszałam głos:

— Ona zemdłała, dajcie wodę! Pani Joanno, pani Joanno — ktoś mnie klepał po policzku.

— Już wstaję, już za chwilę — wymamrotałam, ale jakoś nie miałam siły. Otworzyłam oczy i ujrzałam przestraszoną twarz pana Przemka i pielęgniarkę ze szklanką wody w ręce. Dała mi jakąś tabletkę i kazała popić, a po chwili przyciągnęła łóżko na kółkach i ułożyli mnie na nim, po czym okryli kocem.

— Niech pani poleży chociaż piętnaście minut — powiedziała. — Za dużo wrażeń, proszę odpocząć.

Leżałam bezmyślnie, a pan Przemek niespokojnie mnie obserwował. Całe szczęście, że nie miałam problemów gastrycznych i nie musiał mnie wyprowadzać.

— Przepraszam, naprawdę nie powinienem tyle gadać, aż pani zemdłała. Odwiozę panią do domu.

— Nie, ja zaraz wstanę i jeszcze muszę się dowiedzieć, co będzie z Cza... z Markiem, czy nie powinnam tu przy nim zostać.

— Wątpię. Ma tu dobrą opiekę. Ale najważniejsze, co powie lekarz.

Pół godziny później lekarz oświadczył stanowczo, że mam jechać do domu i odpocząć, bo Marek teraz będzie spał całą noc, a wrócić mogę jutro i przy nim posiedzieć. I ewentualnie przywieźć szczoteczkę do zębów, mydło, soki i dobrą herbatę. I piżamę, piżamę, myślałam gorączkowo, ręczniki i skarpetki, muszę natychmiast włączyć pralkę. I jakoś zawiadomić Marysię.

Weszłam jeszcze na chwilę do Czapli. Spał spokojnie i głęboko. Na stoliku leżał notes, odnalazłam telefon do córki. Pocałowałam Marka delikatnie w czubek głowy i wyszłam.

Policjant spisał sobie moje dane, chciał ze mną jutro rozmawiać, on czy może jego przełożeni, już wszystko mi się wymieszało. Pan Przemek odprowadził mnie do samochodu, upewnił się, czy prosto jadę, i także wybierał się do domu. Co za dzień, myślałam, sunąc białymi ulicami, co za upiorny dzień. Przecież naprawdę mogli go zabić, a ktoś odnalazłby rano zmasakrowane zwłoki bez żadnych dokumentów. Boże. Dzięki Ci, Boże, że na to nie pozwoliłeś.

Jutro dam na mszę dziękczynną. Jak prawdziwa kobieta w filcaku.

— W końcu okazało się, że Justyna rzeczywiście była kimś w rodzaju agenta i współpracowa-

ła z większą grupą, która z kolei działała na rzecz koncernu rosyjskiego chcącego wykupić Rafinerię Gdańską. Afera jak z wieczornych wiadomości. Może nawet powstanie komisja śledcza do zbadania sprawy. I polecą głowy — mówił Czapla.

Przez ostatni tydzień bardzo wydobrzała. Siedział całkiem swobodnie na szpitalnym łóżku, a jego twarz zaczynała przypominać ludzką.

— Ale chyba nie te, które powinny. Pewnie jak zawsze wpadną płotki i posłańcy. Mocodawcy żyć będą długo i szczęśliwie — krakałam.

— Też możliwe. Ale na razie prawie wszystkich wyłapano. Justyny szuka Interpol. A ci chłopcy, którzy mnie tłukli, mówili najpierw, że chcieli tylko papierosa, a ja się na nich rzuciłem i działali w obronie własnej, a teraz już przyznali, że mieli zlecenie „porządnie uszkodzić”.

— Od kogo?

— Rzeczywiście od niej.

— No widzisz.

— No widzę.

Patrzyliśmy na siebie z uśmiechem.

— A nos masz całkiem prosty — powiedziałam.

— Jeszcze opuchnięty, ale taki jak przedtem.

— Dobrze złożony.

— I w ogóle chyba będziesz przystojny.

— Miło mi to słyszeć, proszę pani. Staram się. Nawet ćwiczę hantlami, bo przecież muszę wejść o kulach na drugie piętro.

— Rzeczywiście! W ogóle o tym nie pomyślałam.

— Przeraziłam się. — A kiedy cię w końcu wypuszczą?

— Za kilka dni, jeszcze chcą coś sprawdzać. Czy mam dobrze w głowie — uśmiechnął się.

— A jak czujesz?

— Wszystko w porządku.

Teraz dopiero, kiedy minęło przerażenie i strach o jego bezpieczeństwo, zdałam sobie sprawę, że w gipsie na ogół tkwi się około sześciu tygodni. I trudno będzie Czaplę biegać po piętrach do sklepiku i z powrotem.

Usiadłam bliżej niego i spytałam:

— A może byłoby lepiej, gdybyś ze szpitala przyjechał do mnie i na jakiś czas, no wiesz, dopóki się lepiej nie poczujesz, zamieszkalibyśmy... razem. Bo przecież gotowanie i tak dalej...

Spojrzał na mnie bardzo poważnie.

— Naprawdę, chciałybyś kulawego dziada w twoim domu? Ja będę bardzo męczący, bo to unieruchomienie będzie mnie wkurzać, to wiem na pewno.

— Jakoś to zniosę, albo będę często wychodzić.

— Mhm. A co byś powiedziała — objął swymi dłońmi moje ręce — co byś powiedziała na taki wariant, bo ja mam jednak więcej pokoi, więc może to ty zamieszkałabyś u mnie, mimo że to drugie piętro? Wybrałabyś sobie pokój i gdybyś miała mnie dosyć, wywieszałabyś tabliczkę „Śpi się” albo „Pracuje się”.

— Ale komputer. I Internet — wypaliłam bezmyślnie. — Bez tego nie mogę pracować.

— Nie ma problemu. Pokój z Internetem. I kawa do łóżka. — Po chwili dodał: — I nie musisz się obawiać, że będę cię ciągle napastował, będziesz wolnym człowiekiem.

— Tak? — spytałam lekko zawiedziona.

— Zawsze będę wysyłał maila, czy można wpaść wieczorem...

Objęłam go za szyję.

— Dobrze. Spróbujmy. Ale co na to powie Marysia? — zaniepokoiłam się.

— Mhm. To samo, co ja na Krzysia.

— To znaczy co?

— OK.

Bardzo wolno, dźwigając się na kulach, Czapła wchodził po szerokich schodach na drugie piętro. Jego rzeczy nieśliśmy wszyscy, Marysia, jej chłopak i ja. Gdy dotarliśmy do drzwi mieszkania, po zniekształconej jeszcze twarzy Marka spływały krople potu.

Weszliśmy do środka, Czapła z westchnieniem opadł na krzesło w pokoju. Marysia i Krzysiu poszli robić herbatę. Podeszłam do niego i objęłam go ostrożnie, kładąc mu głowę na ramieniu.

— Już nie mogłem wytrzymać w tym szpitalu — powiedział, obejmując mnie w talii. — Budziłem się w nocy i nie mogłem cię znaleźć, tylko piżamy pachniały twoim proszkiem do prania i czymś takim słodkim — wtulił twarz w moją szyję.

— Wanilią. Trzymam w szafie wanilię.

Usłyszeliśmy kroki, odsunęłam się. Młodzież przyniosła herbatę, ciasteczka i popielniczkę.

— To jak my to teraz urządzimy, kiedy jesteś w gipsie, może wrócę do domu? — zaproponowała niepewnie Marysia.

Krzysiu i Czapła mieli jednakowo przepłószone spojrzenia i obaj natychmiast zapanowali na sobą.

— Kochanie, ja mam tylko chorą nogę, i to jedynie chwilowo, dziękuję ci bardzo, ale nie ma takiej potrzeby. Doskonale dam sobie radę. Może raz po raz zrobisz mi zakupy, bo to na razie kłopot, ale

poza tym wszystko w porządku. Joasia czasem zajrzy, czasem znajomi, zresztą mam telefon, zawsze dam znać, co się dzieje.

— Tato, zastanów się. Przecież ty się ledwo trzymasz na nogach.

— Nie, dziecko, uwierz mi. W domu zaraz dojdę do siebie. Zresztą możliwe, że Joasia będzie tu częściej, zwłaszcza w czasie mrozów, bo po co tyle jeździć — przekonywał mętnie Czapla.

— To chyba dobry plan — wsparł go Krzysiu gorliwie. — Ja też w każdej chwili jestem do dyspozycji.

— No proszę! — ucieszył się Marek. — Żyć, nie umierać.

Trochę się wzdrygnęłam na te słowa, bo przecież żył tylko przez przypadek. Patrzyłam na jego posiniaczoną twarz i prawie czułam ciosy kija, ból złamanego nosa i rozciętego łuku brwiowego.

— No dobrze, ale obiecaj, że będziesz rzeczywiście dzwonił, a nie tylko raz na tydzień — poddała się Marysia. — Zresztą ja będę często zaglądać.

— Wszystko się ułoży — powiedziałam. — Najgorsze są pierwsze dni, potem już jakoś idzie. Też miałam kiedyś złamaną nogę. Ale oczywiście nie byłam tak strasznie pobita — zreflektowałam się.

— Herbata stygnie — zauważył Czapla. — A czy można do tego dolać trochę wódki?

— Można — powiedziała Marysia, wstała i wyjęła z szafki koniak. — O, jaki śliczny słonik! — Trzymała w palcach mosiężną figurkę.

— Podobno przynosi szczęście — wyjaśnił Czapla z nieprzeniknioną twarzą. — Zwłaszcza kiedy stoi z butelkami.

Napiliśmy się koniaku. Nie mogłam uwierzyć, że znowu jesteśmy wśród regałów, spokojni i bez-

pieczni. Raz po raz ukradkiem patrzyłam na Czapkę i czułam ciepłą falę rozlewającą się po całym cieple. Siedział w dżinsach z obciętą nogawką i we flanelowej koszuli, z zagipsowaną nogą opartą na stołku, smukłymi, silnymi palcami trzymał kieliszek i słuchał jakiejś opowieści Krzysia z życia studentkiego. Śmiał się tym swoim gardłowym śmiechem i lekkie, promieniste zmarszczki tworzyły się w kącikach jego oczu. Kochałam go. Już nic nie mogłam na to poradzić.

— Niesamowite! — powiedział i spojrzał na mnie rozjaśnionym wzrokiem. — Słyszałaś o czymś takim?

— Nie, jeszcze nigdy — oświadczyłam ryzykownie, bo w ogóle nie wiedziałam, o co chodzi.

— No właśnie, ja też nie.

Posiedzieli jeszcze pół godziny i Krzysiu zauważył, że teraz czas na odpoczynek, ojciec musi się położyć. Pożegnali się i wyszli. Wolno zamknęłam drzwi na zamki.

Wróciłam do pokoju.

— Czego szukasz? — spytałam, widząc, że rozgląda się uważnie.

— Patrzę, czy Marysia czegoś nie zapomniała. Czy mogłabyś sprawdzić w kuchni, może gdzieś leży jej komórka albo coś w tym rodzaju? — spytał.

W kuchni i w łazience nic nie było.

— Nic nie widzę — powiedziałam do Czapli.

— Czyli nie wróci za chwilę. — Jego oczy obejmowały mnie od stóp do głów. — Joasiu, chodź do mnie.

Uniósł się lekko, rozpiął dżinsy i zsunął slipki. Na tle flanelowej koszuli w granatową kratkę ujrzałam jego nabrzmiałą, sztywną męskość. Z jed-

nej strony pomyślałam sobie, że to dość bezpośrednie podejście do sprawy, a z drugiej musiałam przyznać, że mało jest równie pięknych widoków, no ewentualnie Wielki Kanion albo Jezioro Wiktorii, z trzeciej zaś poczułam słodki cios w kręgosłup i gorączkowo zaczęłam rozpinać spódnicę. Cierpię na tę nieszczęsną przypadłość, że w takich sytuacjach mózg mi się wyłącza. Zupełnie jakbym miała budowę uproszczoną.

— Potem się rozbierzemy, kochanie, teraz tylko zdejmij majtki — jęknął Czapla.

Zrzuciłam buty, szarpnęłam rajstopy i zdałam majtki. Podbiegłam do niego i pocałowałam go w usta.

— Usiądź na mnie. Moja śliczna.

Podniosłam spódnicę i opadłam w dół, przyjmując jego mocne, gorące ciało. Rozkosz rozsadała mnie wielką, pulsującą falą, aż po czubki włosów i koniuszki palców. Kochaliśmy się mocno i zachłannie, pot ściekał nam po twarzach. Słyszałam jego szybki oddech i mój krzyk.

— Jest dopiero trzecia. I właściwie, skoro ja jestem inwalidą, a ty bezrobotna, to moglibyśmy sobie uciąć poobiednią drzemkę, normalnie w łóżku, jak ludzie — szeptał pan Stoiński prosto do mojego ucha trzymając mnie ciasno w ramionach. Co o tym myślisz?

— Mhm. Popieram — odszepnęłam.

Pocałowałam go w ucho.

— W takim razie idę — powiedziałam.

— Ale nie tak od razu!

— Idę, już idę natychmiast.

Zsunęłam się z niego i szłam ku drzwiom, obciążając spódnicę.

— Na chwilę zajmę łazienkę — powiedziałam.

Już w korytarzu usłyszałam, że Czapla wybiera numer na komórce. Wzięłam prysznic, włożyłam bamboszki, nasmarowałam się balsamem. Mój Boże, jak stare dobre małżeństwo. I gdzieś tu była moja koszulka, o, jest. Uczesana i zadowolona, z błyszczącymi w lustrze oczami, wyszłam z łazienki.

Pan Stoiński siedział na krześle w korytarzu i bacznie przyglądał się swoim kulom. Podniósł głowę i objął mnie rozjaśnionym spojrzeniem.

— Łazienka wolna — powiedziałam. — Pomóc ci z rozbieraniem?

— Nie, skądże. Sam sobie poradzę. Idź się połóż, ja zaraz przyjdę.

I nadal siedział bez ruchu.

— A... dojdiesz sam do łazienki?

— Oczywiście, oczywiście. Przecież nie jestem niemowlakiem.

— A powiedz mi, dlaczego tak tu siedzisz? — spytałam niepewnie.

— Lubię sobie tak czasem posiedzieć — poklepał rączkę od stojącego obok roweru. — Dobrze mi się tu myśli. Idź, bo zmarzniesz.

— Dobrze — wyjąkałam.

Idąc do pokoju, starałam się ukryć przerażenie. Wszystkie tomografie, prześwietlenia i inne badania nie wykazały żadnych uszkodzeń głowy ani mózgu, więc co się dzieje? Czy urazy dopiero teraz zaczną się ujawniać? I co ja mam zrobić w razie czego?

Zakopałam się pod kołdrę. Trzeba szybko coś wymyślić. Na razie będę udawać, że wszystko w porządku, i obserwować. Jeśli się pogorszy, wezwę dyskretnie lekarza. A jeśli zacznie być agresywny?! Rozejrzałam się po sypialni i spostrzegłam so-

lidną figurkę z brązu, wysokości około pół metra. Widziałam ją wiele razy, ale dotąd raczej podziwiałam w niej harmonijne kształty tańczącej kobiety. Dopiero dziś zainteresowała mnie jej przypuszczalna waga i poręczne przewężenie w okolicy kostek tancerki, które mogłabym objąć dłonią. No, coś tu mamy na wszelki wypadek.

Kobieto, ty masz po prostu chorą wyobraźnię. To, że Czapli trochę mąci się w głowie, nie znaczy, że zaraz zacznie mordować. Może po prostu zrobiło mu się słabo, a wstydzi się przyznać, jak to z face-tami bywa.

Poczułam wyrzuty sumienia i wykopałam się spod kołdry. I właśnie wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Usłyszałam, że Czapla wstaje i kuśtyka, aby otworzyć. Zamienił kilka słów z jakimś mężczyzną, drzwi się zamknęły. Powoli zbliżał się do sypialni. Wyjdę i zobaczę, co się właściwie dzieje, raz kozie śmierć, pomyślałam.

Na progu stanął Marek. W lewej ręce, oprócz kuli, trzymał bukiet różowoliliowych storczyków. Podszedł powoli, objął mnie i powiedział cicho:

— Witaj w domu.

Pojechałam na Pakulską po niezbędne rzeczy. Coś w rodzaju małej, tymczasowej przeprowadzki. Czapla wytłumaczył mi i narysował szczegółowo na kartce, jak przekierować mój telefon na jego numer, ale dopiero miałam się do tego zabrać.

Chodziłam po mieszkaniu i niemrawo zbierałam różne przedmioty. Jednak jestem stara i zasiedzia-ła, trudno mi zostawić tak nagle swoje łóżko, lam-pę i stopy gazet, pomyślałam. Co to będzie, napraw-

dę nie wiem. I chciałabym, i boję się, jak mówią mądrzy ludzie. Może wezmę jeszcze ze trzy książki, na przykład Agatę Christie, tak na wszelki wypadek.

Podeszłam do regału i wyjęłam kilka cienkich tomików. Zahaczyłam rękawem i jakaś mała, żółta książeczka upadła na podłogę. Podniosłam ją. Powrózę sobie, piąty wiersz od góry, powiedziałam, i na oślep otworzyłam.

*I nie miłować ciężko, i miłować
Nędzna pociecha, gdy żądzą zwiedzione
Myśli cukrują nadto rzeczy one,
Które i mienić, i muszą się psować.*

*Komu tak będzie dostatkami smakować
Złoto, scepter, sława, rozkosz i stworzone
Piękne oblicze, by tym nasyczone
I mógł mieć serce, i trwóg się warować?*

O, ty dziadu wstrętny, zgorzkniały, zbyt mądry, pomyślałam i wcisnęłam Sępa na półkę. Kocham cię, ale nie dzisiaj.

Zadzwoił telefon.

— Ciociu, no wreszcie. Dzwonię i dzwonię, a cioci nie ma — powiedziała Natalia.

— Bo byłam u Marka, wczoraj wrócił ze szpitala. I co słychać?

— Wszystko dobrze. Rodzice szykują dużą Wigilię u nas w domu, mama na pewno do cioci zadzwoni.

— Czyli plany się zmieniły? — spytałam zdziwiona. Ojciec chciał, aby Wigilię zrobić u niego.

— Nie wiem. Pani Zdzisia już wszystko obmyśla i razem będziemy gotować.

— No, jestem ciekawa! Ja też coś chętnie ugotuję, na przykład barszcz i uszka, powiedz mamie. A co w szkole i jak ty się w ogóle czujesz?

— W szkole dobrze. — A po chwili dodała: — I chyba Arek się wkręcił.

— Co mu się stało? — spytałam przerażona. — Miał jakiś wypadek?

— Nie! — zaśmiała się. — Wkręcił się, czyli... zakochał.

— O, a w kim?

— No ciociu. We mnie!

— To pięknie! — ucieszyłam się. — A ty? Też się... wkręciłaś?

— Mhm, może trochę, jeszcze nie wiem — powiedziała trochę niezdecydowanie, ale radośnie.

— No widzisz, żabko. Są przyjemne rzeczy na tym świecie!

— O, mama odbiera mi słuchawkę. Pa!

— Joasiu?

— No cześć.

— Już ci Natalia mówiła, Wigilia będzie u nas, chyba że coś się zmieni. Zaprosiłam też brata Andrzeja i Jacka, no i ciebie, przepraszam, was, bo mam nadzieję, że przyjdiesz z tym informatykiem, czyżak to jest u was?

— On jest w gipsie.

— Cały?!

— Nie, tylko noga, ale myślę, że będzie mógł przyjść, zwłaszcza że mieszkanie na parterze, choć to właściwie bez znaczenia. Ale my przyszlibyśmy z córką Marka.

— Oczywiście.

— Dzięki za zaproszenie, porozmawiam z Czapłą i dam ci znać.

— Jeszcze może ktoś będzie, ale nie wiem na pewno, może lepiej tylko rodzinie. No i nie mam pewności, co z Jackiem, ale chyba da się namówić, chociaż on jest ostatnio w kiepskim nastroju. No wiesz, ta proteza i tak dalej.

— Proteza? — nadstawiłam uszu. — Pierwsze słyszę.

— Mówiłam ci przecież, a może to nie tobie, nie pamiętam już, to był taki szok. Pamiętasz, latem podczas wichury drzewo przygniotło samochód pod Kościanem. To był właśnie Jacek, stracił pół nogi. Teraz chodzi z protezą.

— Zaraz, zaraz, to jest ten wasz znajomy radca prawny?

— Tak, kiedyś go widziałas. I ta noga go dobiła, bo przecież jego żona od czterech lat siedzi w Monachium i co roku przedłuża pobyt, więc on w końcu wniósł o rozwód. I potem ten wypadek. Miewa napady smutku, sama rozumiesz.

— Rozumiem. A on lubi kobiety kobiece czy chude? — Mózg pracował mi na pełnych obrotach.

— Woli kobiece. A co ty knujesz? — zaniepokoiła się.

— A, tak sobie tylko myślę. Po prostu za jakiś czas Ania znowu będzie miała włosy, i tak się zastanawiam. ..

— ...czy mogliby się poznać. Ciągłe świrujesz — zaśmiała się.

— Nie świruję, tylko mam koncepcję, tak się to nazywa.

— Aha. No dobrze, z koncepcją czy bez, jesteście u nas na Wigilii.

— Będziemy, tak myślę. A widzę, że wasze dziecko w dobrej formie?

— Tak. Chyba tak. Jeszcze porozmawiamy, później. To do usłyszenia, cześć.

— Cześć.

Trochę byłam zaskoczona. Ale i zadowolona. A z trzeciej strony, coś za dobrze, plątały mi się po głowie podejrzliwe myśli. Jednak jestem nasączona Sępem. Włączyłam Internet.

Kilka maili, jeden od Buby.

Kochana Joasiu,

dawno nie pisałam, ale okropnie się czuję, zwłaszcza, że idą Święta. Czasami jednak myślę, że ten świat jest źle urządzone i los rzuca człowiekiem jak papierowym okręcikiem w rynsztoku, pamiętasz tę bajkę?

Dwa tygodnie temu poszłam do kościoła, jakiś taki miałam nastrój zdechły i chciałam się zastanowić. Siedzę w ławce, cisza, spokój, kilka staruszek zmawia różańce, aż tu nagle słyszę miauczenie. O kurczę, myślę sobie, koty biegają nawet w kościele, a przecież tu chyba nie ma myszy ani kiełbasek. Ale nic, siedzę, chciałam zebrać myśli, a kocur miauczy nadal. Patrząc, skąd to dochodzi, chyba z konfesjonału, może go ktoś zatrzasnął, biedne zwierzę. W końcu podeszłam, otwieram drzwiczki, a tam nie ma żadnego kota, tylko plecak, taki, z jakim młodzież chodzi do szkoły. I to ten plecak miauczy i kwili.

Myślałam, że dostanę zawału. W plecaku był noworodek zawinięty w chłopcę koszulę i swetry. I karteczka: „Zaopiekujcie się naszym dzieckiem, prosimy”. No więc jak byś to zrozumiała? Jeżeli ja całe życie nie mogłam zajść

w ciąży, a teraz Bóg zsyła mi dziecko, to chyba jest moje, prawda?

Ale nieopatrznie poszłam z tym plecakiem na policję, żeby zgłosić znalezienie i potem dopiero zabrać je do domu. I oczywiście zaczęło się piekło, protokoły, szpital, badania, dziecko zatrzymane na obserwację, poszukiwania rodziców.

Joasiu, to było straszne. W końcu znaleziono rodziców, myślałam, że mi serce pęknie. Czternastolatka i piętnastolatek, tak bali się swoich rodzin, że ta biedna dziewczyna rodziła w altanie jakichś znajomych, a on odbierał, czy Ty sobie to wyobrazasz?! Natychmiast wzięto ją do szpitala, bo była w bardzo złym stanie, ale teraz już dobrze.

I teraz modlę się codziennie, żeby mi oddali to dziecko, bo jest taka szansa. Te biedne małolaty (przeszli piekło) się zgadzają, teraz pozostaje tysiąc procedur do załatwienia.

I co Ty o tym myślisz? Bolek jest trochę przerażony, ale ja mu tłumaczę, że nie można wszystkiego tak po inżyniersku rozważać, że czasem trzeba przyjąć to, co przychodzi, bez zbędnych rozmyślań, bo człowiek i tak nigdy nie wie, co z czego wyniknie. Jak sądzisz?

To jest dziewczynka.

Więc teraz łykam relanium i czekam. Nie wiem, jak to wytrzymam, ale muszę. Powinna kupować jakieś prezenty świąteczne, a zupełnie nie mam do tego głowy. Zresztą najczęściej wpadają mi w oko sklepy z rzeczami dla dzieci, staram się nie wchodzić, ale już coś kupiłam, oczywiście Bolek nic nie wie, bo by się zmar-

twił, że wariuję.

Joasiu, odezwij się. I jak Marek się czuje?

Kończę, bo znowu będę płakać.

Całuje Cię,

Buba

Napisałam:

Kochana Bubo,

bardzo się cieszę. Jestem pewna, że dostaniesz to dziecko, i nie czuj się jak stateczek w rynsztoku. Teraz ja Ci piszę:

JEŻELI NIE TY, TO KTO, JEŻELI NIE TERAZ, TO KIEDY? Musi być jakaś sprawiedliwość na tym świecie!

A Bolkiem się nie przejmuj, bo mężczyźni potrzebują trochę czasu, żeby się przywiązać do dziecka, podobno tak to jest.

Trzymam kciuki, pisz na bieżąco, co się dzieje, a może spotkajmy się w czasie świąt?

Marek od wczoraj jest w domu, właśnie pakuję rzeczy, bo na kilka tygodni przeprowadzam się do niego, i oczywiście jestem przerażona i „wątła, niebaczna, rozdwojona w sobie”, rozumiesz. Czuję się, jakbym skakała na głowę z trampoliny. Ale będę odbierać u niego maile i telefony, nic się nie zmienia.

Ściskam Cię bardzo mocno, i Bolka.

Będzie dobrze, zobaczysz

Joasia

Więc wszystko spakowane. Naczynia pozmywane, okna zamknięte, kaloryfery lekko skręcone, kwiaty podlane. A, jeszcze książka kucharska, za-

wsze się przyda. I jeszcze sobie spojrzę na podwórko, ciekawe, kto tak wali trzepaczką w ten dywan, aż pogłós obija się o bloki? No proszę, facio spod piątki.

Bo ja tu mieszkam od urodzenia. Tu zawsze będzie moje miejsce. Nawet jeśli się wyprowadzę. Nawet jeśli się zestarzeję. Tylko tutaj śnieg skrzypi melodią z dzieciństwa, bezpańskie koty są najszybsze, a latarnia kołysze się, dźwięcząc, w podmuchach grudniowego wiatru. Tylko tutaj leżą cierpliwie wielkie, czerwone jabłka.